

L. W. W. W.
L. W. W. W.
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 241

MIŁOŚĆ W OPAŁACH

Powieść z dziejów Kroacyi

napisał

T. T. JEŻ.



Z. Miłkowski

Część II.

Cena 25 kop.

W prenum. 19¼ k.

WARSZAWA

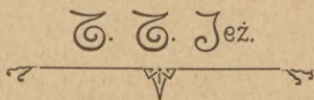
Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—
1902.

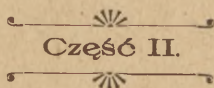


MIŁOŚĆ W OPAŁACH.



MIŁOŚĆ W OPAŁACH

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.



WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.



130684

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Июля 1902 года.

XIII.

Przygoda wielkiego marszałka.

Polowanie nie wypadło tak, jak — zdaje się — wypaść było powinno. Nieprzewidziany w programie wypadek spadnięcia z konia szyki pomieszał; aresztowanie markiza pomieszenie szyków spotęgowało. Odbiło się to na powrocie do stolicy, który się dokonał w tym samym, co wyjazd z takowej porządku i z taką samą na pozór swobodą. W oczach jednak jadącego przodem cesarza malowało się roztargnienie, które się wyraziło przez to, że się cesarz, jak to w zwyczaju jego było, przy pawiloniku na punkcie zbornym nie zatrzymał i gości zaproszonych nie pożegnał. Przejechał — za nim pociągnęła kawalkata cała. Orszak posuwał się kuregalopem i dopiero u bramy miasta kuregalopek zmienił się na stęp, a to dla tej przyczyny, że widzieć się dały drogę zalegające tłumy ludu. Koń cesarski z natchnienia własnego kroku zwolnił. Lud okrzyki *Hoch!* wydawał; u samej zaś bramy burmistrz na czele rady miejskiej w strojach odświeżonych drogę najjaśniejszemu panu zastąpił i w krótkiej przemowie wyraził uczucie wdzięczności dla Pana niebios i ziemi, który świętą osobę jego opieką swoją osłonić raczył:

— W bolesnym — jak powiadał — wypadku... w wypadku, o którym, gdy wiadomość do miasta do-

szła, serca wiernych poddanych twoich przejął smutek niewysłowiony. Wieść ta była dla nas wieścią hiobową... Zmieniła ją radosna i dlatego, najjaśniejszy panie, widzisz na obliczach naszych w połączeniu nieoschłe jeszcze łyzy smutku rozpaczliwego i wyraz radości niewysłowionej...

Przy wzmiance o łzach i rozpaczy burmistrz się skrzywił; przy wzmiance o radości uśmiechem oczy nappełnił i usta rozciągnął. Wypadło to arcykomicznie i byłoby dwór do śmiechu pobudziło, gdyby się był zaśmiał cesarz. Cesarz atoli, słuchając, wzrok miał w uszy konia, na którym siedział, wlepiony i najmniejszy oblicza jego ruch nie poświadczył, jako krasomówcze przemowy okresy do słuchu mu wchodzą. Przemowy nie słyszał; kontorsyi burmistrza nie widział; dolna mu warga drgała; dworzan płci obojej wargi drgały także, żaden z nich atoli ani śmiechem nie wybuchnął, ani nawet uśmiechem ust nie okraślił. Każdy z nich stosował się do cesarza z wyjątkiem księżny Julii, która się stosowała do samej siebie. Zawadzało jej mocno—aresztowanie markiza. Luboć się już, jak jej się zdawało, dostatecznie z etykietą i ze zwyczajami dworskimi oswoiła, nie mogła jednak pogodzić się z myślą aresztu tego...

— Za co?...

Zapytanie to, w głowie młodej kobiecie tkwiące, przeszkadzało jej uwagę na akcentowaną mimiką komiczną przemowę zwracać. Patrzyła—nie widziała. Trzymała się gromady, nie wiedziała bowiem, co z sobą począć. Domyślała się, iżby *crimen lesae* etykiety popełniła, gdyby się od drużyny oddzieliła i do siebie udała. Trzymała się przeto gromady i z nią razem, pod przewodnictwem cesarza, dotarła na podwórzec pałacowy. Przed wnijsciem głównem cesarz się zatrzymał. Na dokonany przezeń ruch, znamionujący ochotę zsięścia z konia, z koni zsiadło towarzystwo całe. Goście cesarscy znaleźli się na bruku

podwórca prędzej, niż cesarz sam, który z bruku podwórca pośpiesznie wszedł na schody, przekroczył otworzone przed nim na ścieżaj podwoje i znikł. Znikł—bez oglądania się po za siebie.

Pośpiech ten miał na sobie pozór ucieczki — ucieczki, stanowiącej samo przez się pogwałcenie etykiety dworskiej.

Dworzanie osłupieli.

Bez rozkazu, bez skazówki najmniejszej pozostawiona—porzucona raczej—przed progiem płci obojej gromada nie wiedziała, co począć z sobą. Pano wie i damy spoglądali jedni na drugich, a w oczach ich malowało się zdumienie. Samo już prowadzenie drużyny do punktu zbornego do zamku formę naruszało. Naruszało ją jednak w części. Najjaśniejszemu panu podobać się mogło po wypadku, o którym ludność stolicy zawiadomioną została, pokazać się ludności na czele zastępu, co był wypadku świadkiem. Powinien był jednak o świadkach pamiętać. Powinność ta frasowała szczególnie wielkiego marszałka dworu, który od pawilonu zbornego do zatrzymania się przed progiem zamkowym myślał nad rozwiązaniem niesłychanie ważnego zadania, przedstawiającego się mu pod postacią następującego zapytania:

— Gdyby najjaśniejszy pan najmiłościwiej gościom na pokoje wejść rozkazać raczył, jak się wnijście to uskuteczniłoby mogło?...

Zapytanie tyczyło się odzieży. Wystąpienie gości na pokojach w odzieży łowieckiej wydało się wielkiemu marszałkowi czynem, przechodzącym pojęcie wszelkie. Nie przypuszczał, ażeby się cesarz miał do tego zapomnieć stopnia i wprowadzić na posadzki pałacowe damy w amazonkach, mężczyzn w botfortach. Coś podobnego wydawało mu się wprost rzeczą niemożliwą. Uspokajała go atoli do pewnego stopnia nadzieja rozkazu. Nadzieja ta zawiodła. Dygnitarz znalazł się w kłopotcie niewysłownym. Sta nął, we drzwi, za którymi cesarz znikł, oczy wlepił

i miał wyraz człowieka zawstydzonego i przerażonego. Przerażenie pochodziło z poczucia ogromnej, jaka na niego spadała, odpowiedzialności. Zwrócił się do wielkiego łowczego z zapytaniem w oczach. Wielki łowczy ramionami ścisnął i mruknął:

— *Casus fatalis!*...

Sytuację wytłómaczył, ale rady nie udzielił.

Sytuacja wyrażała się przez to, że kilkadziesiąt osób, należących do najznakomitszych w cesarstwie rodzin, skwarzyło się na słońcu.

Słońce, luboć jesienne, przypiekało. Przypiekanie spowodowywał podwórzec zabudowany, w którym kamienie, szkła, blachy rozgrzane wypromieniały ciepłik skoncentrowany. Damy wyglądały niby piwonie. Księżnej krew o mało z policzków nie tryskała. Było jej duszno, a przytem niepokój ją przejmował. Oglądała się. Wydało się jej, że w jednym z okien pałacowych widzi za szybą oblicze cesarza. Spojrzała raz, spojrzała raz drugi; przekonała się, że w rzeczy samej było to cesarza oblicze: nie łudziła się chyba pod tym względem, iż wzrok cesarski na postaci jej spoczywał. Przez szybę tego widzieć nie mogła. Złudzenie to jednak zadowolenia nie sprawiało—przeciwnie. Męża jej aresztować kazał i jej się przypatruje! Drażniło ją to. Chciałaby się usunąć jaknajrychlej.

Chęć tę dzielali z nią wszyscy.

Młody jeden pan, kapeluszem się wachlując, do marszałka podszedł i zapytał:

— Ekscelencyo... i jakże?...

— Polowanie się powiodło — odpowiedział dygnitarz.

— No... tak... — odrzekł młody pan tonem od niechcenia.—Powiodło się...

— Znakomicie...

— O, znakomicie... Luboć... — zaczął tonem, zapowiadającym obiekcyę.

— Najjaśniejszy pan — podchwycił dygnitarz — wyrazić się raczył, że się powiodło znakomicie...

— A... — młody pan na to.—Jeżeli tak, wypadło więc jakby mu Dyana we własnej przewodniczyła osobie... Ale... nie o to mi chodzi—zaczął.

Wielki marszałek przerwał:

— Wasza książęca mość arabczyka dosiadałeś... Czy to ten zdobyty?...

— Nie... nie ten...

— Byłem przekonany, że ten...

— Tamten przecie siwy...

— Siwy?... nie gniady?...

Wielki marszałek w sposób ten zagadywał, usiłując odwracać zapytanie, na któreby odpowiedzieć nie umiał! Udaowało się mu to z młodym księciem. Przystąpił jakiś baron—i tego zagadać potrafił. Powiodło mu się z grafem. Wogóle z panami radę sobie dawał; ale zwróciła się do niego jedna z blondynek, rudawa trochę i nie dała mu się z tropu zbić.

— Ekscelencyo—zaczęła.

— Powinszować pani muszę—podchwycił.

— Ale...

— Wyglądałaś świetnie...

— Czy my tu na podwórzu długo jeszcze pozostawać mamy?—zapytała wręcz.

— Pogoda dzisiejsza dziwnie łowom sprzyjała—wielki marszałek na to.

— Czekamy już godzin dwie przynajmniej...

— Godzin trzy—poprawiła szatynka, co do blondynki przyszlusowała...

— Cztery co najmniej — odezwiała się podchodząca w chwili tej brunetka.

— Pół godziny jeszcze niema — zareplikował wielki marszałek.

— Ekscelencyo! — wykrzyknęło kilka naraz.

Posypały się z ust pięknych sprostowania, co do czasu i reklamacye, co do pozostawiania na podwórzu.

— Póki tego będzie? — odezwała się jedna to-nem pretensyi.

— Paniel — zawołał wielki marszałek, dłonie podnosząc. — Moje *pleno titulo*, paniel... Cierpliwościl... chwileczkę jeszcze cierpliwościl... Czyżbyście na tę zdobyć się nie mogły cnotę?...

— Sił brak! — odparła jedna.

— Ale nie brak poświęcenia — odrzekł marszałek.

— Poświęcenia? — powtórzyło kilka z akcentem zdziwienia; jedna zaś zapytała: — Dla kogo?...

— Dla najjaśniejszego pana... Dla najjaśniejszego pana — powtórzyła dwukrotnie, dobitnie, z akcentem oznaczającym, że chodzi o rzecz wagi ogromnej.

Z mężczyznami powiodłby się manewr podobny. Z damami atoli rzecz nie poszła tak gładko, pomimo że i im na gotowości do poświęcenia się nie brakowało, o czem poświadczył wydany przez jedną z nich okrzyk.

— Dla najjaśniejszego pana! — zawołała — ach!... czegożbym ja dla najjaśniejszego pana nie zrobiła?... Dla najjaśniejszego pana?...

— O księżno! — odparł wielki marszałek wzruszony i rozrzuwiony.

— Tak... gdyby najjaśniejszy pan zażądał ode mnie życia, dałabym mu bez namysłu życie... wszystko... ale... — zaczęła.

— Pani...—pochwycił wielki marszałek, przeczuwając restrykcyę jakąś groźną. — Chwilka cierpliwości mniejszą jest, aniżeli wszystko...

— Na podwórzu... na słońcu?—zapytała.

— Poświęcenie...

— Cóż najjaśniejszemu panu po poświęceniu, które prowadzi do zemdlenia?

Gdy wyraz ostatni wymówiony został wśród dam, które wielkiego marszałka otoczyły, słyszeć się dały stękania i pojękiwania. Były to wszystko damy młode i mniej więcej piękne, wydawały więc stękania i pojękiwania dźwięczne. Wydzierające się z piersi ich „achi i ochi” brzmiały srebrzyscie. Przypuszczać należy, że brzmienia te, zlewające się w rodzaj pewien chóru śpiewnego, wzruszały wielkiego marszałka, człowieka acz leciwego i poważnego, ale jarego i podpasionego, a więc odczuwającego na sobie wpływ kukań niewieścich. Położenie męża tego przyrównać dałoby się do położenia przepióra wśród bijących na trwogę przepiórek. Otaczające go damy, podchwyciwszy ostatni tej księżny, co z nim mówiła, wyraz, jedna po drugiej wywoływać zaczęły:

— Jam blizka zemdlenia!...

— Duszno mi... och!...

— Ja mdleję... ach!...

— Po co my tu? — odezwała się jedna głosem skargi tkliwej.

Wielki marszałek miał na zapytanie to tłómaczenie racjonalne: „Cesarz rozkaz dać zapomniał.” Ale — czyż on powiedzieć mógł, że „cesarz zapomniał?” W czasach owych było to rzeczą nieprzypuszczalną. Nie — wielki marszałek do tłómaczenia podobnego uciec się nie mógł. Nie pozwalało mu na to sumienie. Wielki marszałek przeto myśli o zapomnieniu cesarskiem odganiał od siebie i raczej dopuściłby, ażeby mu język w gębie usechł, aniżeli by

niał odpowiedzialność własną podobnem osłonić tłumaczeniem.

— Cierpliwości!... poświęcenia!... Poświęcenia, cierpliwości!—przemawiał do dam z błagalnym w głosie akcentem.

Akcent ten nie zdołał katastrofy odwrócić. Jedna z dam—hrabina, czy baronowa któraś—zemblała. Mężka towarzystwa połowa pogarnęła się do niej z ratunkiem. Słyszeć się dały okrzyki trwogi, okrzyki, które wielkiego marszałka zatrwożyły. Okrzyki podobne na podwórzu cesarskim?—skandal!... Mdlejące damy w zamku, w którym, niby w świątyni, chodzono na palcach i mówiono po cichu?... Jeżeli nieczekanie na rozkaz było w mniemaniu jego występkiem, to występkiem jeszcze większym przedstawiło się mu dopuszczenie dam do rozruchów mdławych pod boki cesarza. Horror! Przed czemś podobnem wzdragała się dworska dusza jego. Nie—tego on nie dopuści. Nie—tego on dopuścić nie może. Przed nim stanęła alternata, złożona z dwóch pogwałceń formalności, z których jedno było złem, drugie gorszem jeszcze. Przedstawiło się mu do wyboru: to, albo to. Poznał, że wahać się nie można, poczuł w sobie popęd heroiczny—wybrał. Na odpowiedzialność swoją wziął złe mniejsze.

— Niech będzie, co chce — odezwał się tonem, który drżeniem swoim zdradzał postanowienie heroiczne.—Panie i panowie, w wypadku tym nadzwyczajnym odważam się na czyn, który mieć może następstwa groźne!... Żegnam was w imieniu najjaśniejszego pana!...

Wyrazy ostatnie wymówił z pewnym rodzajem uniesienia, znamionującego dziwienie się odwadze własnej. Wymówił je i stanął w postawie, wyrażającej oczekiwanie na następstwa. Myśliwi tymczasem koni dosiadali. Panowie posługiwali damom, udzielając im

pomocy do podnoszenia nóg na wysokość strzemion i usadawiania się na siodłach. Czynności tej młodzież oddaje się z ochotą. Wielki marszałek przypatrywał się onej obojętnie, myśląc o czynie własnym, nie zważał przeto, jak jeden z grafów młodych podsadzał małżonkę jego, jak ona następnie rękę mu na siodle przysiadła, jak na młodego człowieka wymownie spojrziała i jak młody ów pan, wyekspedycowawszy wielką marszałkową, poskoczył do markizy Frangopano i jej również do wsiadania na koń pomagał. Ale mu ona na siodle ręki nie przysiadła. Podziękowała, wdzięcznie się uśmiechnęła i odjechała.

Jak skoro ona poprzedzając towarzyszącego jej masztalerza, za bramą zamkową zniknęła, jedno z okien zamkowych z trzaskiem się otworzyło i w oknie ukazała się postać cesarska.

W chwili tej młody graf do wielkiego marszałka się zbliżył w intencji zamienienia z nim słów kilku.

Lecz na doprowadzenie intencji swojej do skutku czasu mu zabrakło. Z okna słyszeć się dał głos cesarza. Głos zabrzmiał gniewnie, ucinkowo, metalicznie. Wielki marszałek skamieniał; młody graf również. Nie rozumieli oni tego, co cesarz powiedział. Wnet atoli zrozumieli. Przed nimi zjawił się komendant warty pałacowej i zwracając się do wielkiego marszałka, w te do niego przemówił słowa:

— Z rozkazu najjaśniejszego pana mam zaszczyt aresztować ekscelencyę waszą... Upraszam ekscelencyi waszej o oddanie mi szpady i o udanie się na strażnicę...

Wielki marszałek w milczeniu szpadę odpiął i oficerowi wręczył.

Komendant zwrócił się do grafa:

— Z rozkazu najjaśniejszego pana mam zaszczyt aresztować waszą nawskrośjasność... Upraszam nawskrośjasności waszej o oddanie mi szpady i udanie się na strażnicę...

Nawskrośjasność w milczeniu, z wielkim atoli w oczach zdumieniem, szpadę odpięła i oficerowi wręczyła.

— Proszę *pleno titulo* panów za mną—przemówił ten ostatni.

Wielki marszałek i młody graf poszli za oficerem, który ich zaprowadził na strażnicę i z oznakami grzeczności wielkiej oddał pod wartę, zalecając komendantowi warty, ażeby ich nie puszczał bez wyraźniejszego najjaśniejszego pana rozkazu.

— Warta ścisła—dodał.

Wskutek zalecenia tego winowajcy ulokowani zostali w izbie do strażnicy przyległej, zaopatrzonej w drzwi mocno okute i okna grubo okratowane. Meble w izbie tej składały się z pryczy i stołków paru. Służyła ona za więzienie dla paziów, gdy się z nich który zbytku lub przekroczenia dopuścił. Paziowie zależeli od zwierzchniej wielkiego marszałka władzy. Z powodu tego była mu ona znaną, pozostawała bowiem w rozporządzeniu jego. Posyłał do niej chłopców, smarkaczów i oto — dostał się sam. Nie spodziewał się czegoś podobnego. Ztąd też, gdy się drzwi za nim zamknęły, opanował go smutek wielki—tak wielki, że nie usłyszał wyrazów, które do niego wystosował młody graf.

— Oto się nam, ekscelencyo, trafiło!...

Wielki marszałek wyrazów tych nie usłyszał. Na środku izby stanął, ręce wyciągnął, palce u rąk splótł i głowę spuścił.

— Oto się nam, skscelencyo, trafiło! — powtórzył graf.

— Ha!—odrzekł wreszcie.

— I za cóż to?

— Za co?...

— Dopuszciliśmy się przestępstwa jakiegoś. Spadła na nas kara.

— Kto wie, czy to kara,...

— Cóż więc?...

— Może więzienie prewencyjne — odpowiedział wielki marszałek z westchnieniem.

— I czeka nas sąd?

— Kto wie...

— Który—ciągnął graf—wskazać nas może na utratę czci, majątku, na banicyę, na śmierć?

— Kto wie...—odrzekł wielki marszałek tonem rezygnacyi pokornej.

— To mi się podobał—zawołał graf.—Radhym jednak istotę winy mojej znać...

Marszałek westchnął.

— Czy wiesz, ekscelencyo, czemeś przewinił?

— Wiem—westchnął.

— A, to co innego. Powiedz-że mi...

Wielki marszałek głową pokiwał i na stołku usiadł.

— Powiedz przynajmniej, jaki ja w winie twojej udział wziąłem, albo wziąć mogłem?

— Żadnego, zdaje się...—odpowiedział zapytany głosem niepewnym.

— Los twój jednak z tobą dzielam...

— Jakaś w tem jednak musi być racya — zaczął graf. — Jakaś popełniłem winę... Kiedy?... jaką?... Dawniej, czy obecnie?... Dawniej?... — zamyślił się na chwilę.—Nie... nie przypominam sobie nic a nic... Obecnie zaś popełnić mogłem coś zdołnego chyba w tym momencie, kiedy najjaśniejszy pan okno otworzyć raczył.

— Najjaśniejszy pan w oknie stał i patrzył...

— Patrzył... Cóż widział?... Ach!...—wykrzyknął graf i dłonią się w czoło uderzył.—Niezawodnie widział...

— Co?—zapytał wielki marszałek.

— Al... co?... Dokonałem dwóch czynności, z których jedna... Nie widziałeś, ekscelencyo?

Wielki marszałek przypominając sobie, wzniosł do góry oczy i po chwili odpowiedział:

— Markizie Frangopano na koń wsiąść pomogłeś...

— Tak... Ale to nic...

— Pomogłeś wsiąść na koń żonie mojej...

— Niestety—odparł graf z westchnieniem.

— Miałżebyś oddaną żonie mojej usługę uważać za winę sobie.

Młody graf z pod oka na wielkiego marszałka spojrział i odpowiedział:

— Nie... nie ja uważam, ale najjaśniejszy pan dostrzegł może coś...

— Co, na przykład?... Raczył chyba nie upodobać sobie tego, żeś pomocy udzielił małżonce winowajcy...

— Może... zapewne... — podchwycił graf tonem, jakim się wygłasza domysł, rozwiązujący zagadnienie.—Tak... zapewne... W takim jednak razie, celem poznania doniosłości winy mojej, radbym się, ekscelencyjo, dowiedzieć o twojej ..

— O mojej?... Ach! — odrzekł wielki marszałek.

— Czegożeś się dopuścił?...

— Zgwałcenia formy—odpowiedział głosem takim, jakimby mówił: „Morderstwa.”

Odpowiedział i westchnął głęboko.

— W czym?—zapytał graf.

— Niema co tać... losy nas połączyły ciosem spólnym, wyznam więc przed tobą, żeś pożegnał gości myśliwych bez czekania na rozkaz najjaśniejszego pana... Dopuszciałem się występku ogromnego... — powtórzył z przyciskiem tragicznym.

Tragiczność przycisku oddziaływała na grafa, który oczy szeroko otworzył i rzekł:

— *Casus fatalis*... Przecież... nadzieję mieć wolno...

— Nadzieja też mnie nie opuszcza... Lieczę na

Boga, na łaskawość, na miłosierdzie najjaśniejszego pana, a przytem i na to, że w razie tym zachodzi okoliczność, która winę moję do pewnego bodaj stopnia łagodzi...

— Winszuję ci, ekscelencyo, tembardziej, że przypuszczam, iż okoliczność ta i mnie posłuży...

— Zapewne, widzi bowiem Bóg, który mnie sądzić będzie, że jeżeli winę popełnił, to nie dla czego innego, jak dla odwrócenia skandalu... Damy mdleć zaczęły... Wszak widziałeś?—zapytał.

— Czemuż najjaśniejszy pan rozkazu pożegnania gości dać nie raczył?—odezwał się graf.

— Czemu?... ha! — odparł wielki marszałek z gestem odpowiednim. — Wolę cesarza zgwałcić w intencyi, która, mam w Bogu nadzieję, uwzględnioną i policzoną mi na karb gorliwości w służbie najjaśniejszemu panu będzie...

XIV.

Głowy kapuściane.

Przygoda, jaka spotkała wielkiego marszałka dworu i młodego hrabiego, członka rodziny z dziada pradziada do dworu przywiązanej, równie jak przygoda, której uległ markiz Frangopano, wywarły w wie-deńskim świecie wrażenie zaniepokojenia zagadkowe. Co do markiza, jako też co do wielkiego marszałka zagadka rozwiązać się dawała. Biegli w dogmatach, dotyczących się majestatu monarszego, rozumieli, że pierwszy popełnił występki *lesae majestatis*, drugi

zaś popełnił występki, który się także do tej kategorii odnosił. Jeden świętą cesarza osobę w objęcia pochwycił, drugi na rozkaz nie czekał. Występki tego rodzaju wytłómaczyli wierszami Syrokomla i ołówkiem Andriolli, przedstawiając chłopą, co „za czub wojewodę wlecze.” Wojewoda, polując na kaczkę, z czołna do wody wypadł, topił się i byłby się utopił, gdyby go chłop z wody za czuprynę nie wyciągnął. Chłop za wyratowanie wynagrodzenie sute otrzymał, za ujęcie atoli ręką chłopską czupryny wojewodzińskiej dostał baty. Pomiedzy markizem Frangopano i wielkim marszałkiem z jednej, a Leopoldem I-ym z drugiej strony zaszedł wypadek analogiczny. W stosunku do cesarza byli oni tem, czem chłop był w stosunku do wojewody. Okoliczność ta pogorszała położenie winowajców — podnosiła występki do znaczenia zbrodni, której jednak dopuściło się tylko dwóch: markiz i wielki marszałek. Ale — jakąż była zbrodnia młodego hrabiego?

Pytanie to żywo mężów stanu, dworzan, starych i młodych, wojowników i ludzi cywilnych, ich żony, siostry i córki, wszystkich zajmowało. Zajmowało wszystkich tak żywo, że wobec niego na drugi plan zeszyły stosunki dyplomatyczne i sprawy polityczne. Wysunęła się naprzód sprawa, która w cień usunęła Turcyę, Wenecyę, Polskę, Francyę, Hiszpanię, a nawet i Stolicę Apostolską. Najdrobniejsze onej szczegóły nabrały znaczenia ogromnego. Analizowano i komentowano każdy ruch, każdy gest Leopolda I-go. Zastanawiano się nad tem, jak on z konia zsiadł, jak na schody wstępował, jak w oknie stał, jak okno otworzył, jak patrzył, jak mu wargę dolna drżała. Mówiono po cichu, tajemniczo; mężowie stanu nie wypowiadali zdania swego, rezerwując się aż rzecz wyklaruje się dostatecznie. Tejże samej o tyle, o ile reguły trzymały się „damy stanu” — rodzaj niewiast wielką acz niewidoczną przy takich, jakim był dwór

wiedeński w czasach owych, dworach rolę odgrywających. Zaznaczała się wśród nich stara księżna Rakoczy, wielka pani, wielka religijna Zelantka, wielka jezuitów przyjaciółka i protektorka, żyjąca niby na uboczu i do niczego się niby nie wtrącająca. Ona także zdanie swoje rezerwowała i ostrożność zachowywała, ale o wszystkim wiedzieć chciała, mając na widoku syna, który na północnych Węgrzech zajmował stanowisko panującego udzielnego i miał przed sobą do rozwiązania zadanie, przekazane mu w spadku po ojcu, a niezmiernie skomplikowane interesami polityczno-religijnymi, opierającymi się o Konstantynopol, Wiedeń, Presburg, Klausenburg, Zagrzeb, a wybiegającymi ku Bukaresztowi, Jassom, Warszawie, Paryżowi, ku Moskwie nawet. Stara księżna wśród powikłań tych wypatrywała dla syna drogę, przyświecając sobie pochodnią wiary. Pochodnia ta wydawała się jej pewną. Dlatego też trzymała się oburącz dworu wiedeńskiego, praktykując dewocję, ciekawość, jako też kombinowanie zdarzeń i wysnuwanie z takowych wniosków. Taką była działalność jej i — rzecz prosta — działalności tej za oś służyła osoba cesarska. Leopold I-y był dla starej księżny przedmiotem uwagi i badań ustawicznych. Studyowała go i myślała o nim we dnie i w nocy, modląc się i po modlitwie nastrojając ducha do modlitwy następnej. Wiadomość o łowach zamierzonych wywołała na usta jej uśmiech, po którym oczy wzniosła, westchnęła i rzekła:

— O Jezu najśłodszy!... markiza Frangopano...

Domyśliła się, że łowy urządzone zostały na intencję Włoszki, której widok zapalił oczy Leopolda I-go polyskiem, nigdy przedtem nie oglądanym. Polysku tego nie dopatrzył nikt, tylko ona. Uśmiechnęła się, wnet bowiem wykombinowała widok dla syna we względzie układanego dla niego małżeństwa z Heleną Zrińską. Markiza była małżonką brata rodzonego matki Heleny.

— To dobrze—w duchu sobie powiedziała, upatrując w tem palec Opatrzności.

Na intencję tę zamówiła niezwłocznie mszę jednę, drugą i trzecią, rozdawała ubogim jałmużnę i do ołtarza św. Franciszka obrus pannom swoim dzierzgać kazała. Stanowiło to ramy do zabiegów, ku którym się w duchu nastrajała, ustawiając wytyczne w kierunku młodej kobiety, co zdoła postacią swoją wywołać połysek w oczach cesarza. Połysek ów zdradzał zagranie krwi młodej w istocie, której serce wyziębiono, a głowę rozpalano.

— Palec Opatrzności — powtarzała sobie, przechodząc w myśli wszystkie kobiety piękne, co się przesunęły przed sennemi młodego cesarza oczami. Palec Opatrzności... Byle się jeno ta kukółka wenecka do zniesienia w gnieździe mężowskiem jajka ułożyć umiała... A...

Głowę kiwnęła. Znaczyło to, że przysposabiać ją na ten koniec zamierzyła. Nie wzięła się jednak do tego obcesowo, przekonaną będąc, iż rzecz zrobi się sama, nie przypuszczała bowiem, ażeby się wśród poddanek Leopolda I-go znaleźć mogła kobieta, któraby nie ulegała urokowi okupionej za jakąbądź cenę łaski cesarskiej. Chodziło jej też nie o konkluzję zarysowującego się dramatu, ale o przystawienie do ognia tego pieczeni własnej—o ujęcie sobie z góry tej, której w momentach pewnych Leopold I-y nie do odmówienia mieć nie będzie.

Otwierała się dla księżny działalność dyplomatyczna wielce interesująca, a wymagająca wielkiego taktu, niemałej przezorności i ogromnej ostrożności. Nie nagliła przeto — wyczekiwała, studyowała. Do studyowania przybył jej materiał świeży pod postacią młodej kobiety i jej do osobistości rozmaitych stosunku. Potrzebowała się w tem pierwszej dokładnie rozpatrzyć i rozpoznać.

— Po co ona przybyła?...

Zapytanie to przedewszystkiem w umyśle księżny strzeliło. Wiedziała, że do Wiednia powołał młode małżeństwo w formie życzenia wyrażony rozkaz cesarski; wiedziała jednak, że każdy, co rozkaz tego rodzaju przyjmuje, nie przyjmuje go bezinteresownie. Któżby się bezinteresownie do tronu zbliżał? Tron w czasie owym identyfikowano z ołtarzem, a ponieważ do podnóży ołtarza nie przystępowano inaczej jak w celu zaskarżenia sobie miłosierdzia, łask i korzyści rozmaitych, a zatem w celu nie innym przystępowano do podnóża tronu. Jeden wyobrażał drugi z powodu jednakowego obydwóch pochodzenia. Stara księżna przeto domyślała się, że młode stadło przywiozło z sobą, jeżeli nie z góry powzięte, to *a posteriori* ukute widoki i zamiary, które w tym razie posłużyłby mogły za pomost pomiędzy stronami. Ztąd zapytanie, dotyczące się pobudek przybycia miało znaczenie swoje.

Wiadomo, że młoda para z zamiarami przybywała. Hrabina Piotrowa powierzyła w Czakowcu młodej księżnej do przeprowadzenia interes, którego ta jeszcze poruszyć należycie czasu ani sposobności nie miała. Pochwycił ją wir życia dworskiego i pochłonał uwagę jej całą. Rzuciła słówko tu i owdzie; słówko to w obieg poszło, doniosłość atoli miało tak długo, póki nie nadeszły wypadki, które je niejako zdmuchnęły. Aresztowanie markiza dało do myślenia. Po dokonaniu onego, przy osobie księżny Julii sformowała się próżnia niby: gdy z polowania powracała, panowie i panie stronili od niej, jakby w gronie ich intruzką była. Gdy zaś po aresztowaniu markiza nastąpiło aresztowanie wielkiego marszałka i hrabiego, w umysłach nastał odmęt, podobny do fermentu w kadzi, w której wycisk winogrodu na wino się przerabia. W mózgach ekscelencji i nawskróś jasności różnych zrobiło się krążenie pierwiastków myśli, dające w rezultacie zawrót głów.

Księżna Rakoczy nie została uwiadomioną o wy

padkach, jakie na polowaniu i wskutek polowania zaszły w takim, jak następowały, porządku. Doszły one wiadomości jej w porządku odwrotnym, od aresztowania młodego hrabiego zaczynając. Wieczorami zbierało się u niej kółko—parę dam, kilku panów, co nawy karyery swojej trzymali na wodach fortuny Rakocznych i oglądali się na cesarstwo. W kółku tem żywo bardzo interesowano się termometrem atmosfery dworskiej. Od chwili przeto wrażenia, jakie księżna Julia w czasie audyencji sprawiła, zajmowano się nią z troskliwością szczególną — z tą jednak troskliwością, która się nie zdradza okrzykami i wybuchami, a to z tej racyi, że towarzystwo to poufne składało się z ludzi w intrygach dworskich biegłych i wytrawnych. W gronie tem, rzecz prosta, pojawiały się sutanny i birety, równie jak i habity zakonne. Gościem częstym był Franciszkanin, ojciec Spinola, który za cel życia wytknął sobie zlanie w jedno wyznania katolickiego z wyznaniem protestanckiem na podstawie ustępstw wzajemnych, ustępstw, domagających się od protestantów zrzeczenia się wszystkiego, co ich od katolików różni, od katolików zaś niczego. Na tem polegać miała wzajemność. Dzięki wzajemności tego rodzaju ojciec Spinola znajdował w sferach rządzących, tak duchownych, jak świeckich, uznanie i poparcie i miewał częstą z księżną Rakoczych styczność z powodu, że nazwisko Rakocznych służyło protestantyzmowi w Węgrzech i Siedmiogrodzie za sztandar i osłonę. Księżna w sprawie tej brała udział gorący. Przekonana, że mąż jej skazanym jest na męki piekielne, pragnęła synowi losu podobnego oszczędzić. Garnęła więc do siebie osoby duchowne, nadewszystko zaś te, co w sferze dworskiej tkwiły.

Wieczorem, w dniu, w którym tyle zaszło wypadków, przy ognisku jej zasiadło grono zwyczajne. W gronie tem księżna nie było ani jednego. Zebrało

się osób mniej, niż zwykle, co księżnę zdziwiło trochę. O powód obecnych zapytała.

— Zatrzymał ich zapewne wypadek?...—odrzekł zapytany.

— Jaki?...

— Aresztowanie młodego hrabiego X...

— O?...—odezwała się. Jakże się to stało?...

— Przyaresztować go kazał sam najjaśniejszy pan...

Stara księżna raz i drugi zeicha chrząknęła, chwilę milczała i o szczegóły się dowiadywać jąła. Obecni, z których żaden w polowaniu udziału nie brał, poinformować jej należycie nie mogli. Powtarzali, o czym słyszeli, a jeden rzekł:

— Nastąpiło to wskutek aresztowania wielkiego marszałka...

— O?...—odezwała się księżna. Toć całe chyba towarzystwo pod klucz się dostało...

— Nie całe, ale... i markiz jeszcze...

— Al...—zawołała.

W piersi jej zbierał się okrzyk zdziwienia głośny. Powstrzymała się jednak i spokojnie zapytała:

Zkąd-że to poszło?...

— Wasza książęca mość wie, co najjaśniejszego pana spotkało...—odrzekł jeden.

— Nie wiem o niczem...

— Rzecz szczególna!... Wiedeń cały zaalarmowany i do owacyi napędzony został...

— Z powodu?...

— Najjaśniejszy pan raczył... z konia spaść...

— Zapatrzył się na markizę...—podchwyciła.

Odezwanie to niedyskretne wywołało wśród obecnych wejrzenia zagadkowe i ściskania ramionami.

Księżna uwagi nie powtórzyła, ale z zajęciem troskliwem, w którym nastrój naciągany czuć się dawał, zaczęła:

— Z konia spadł!... oh!... z konia!... no, proszę!... I cóż?... jakże?... Złamał, zwichnął co sobie?...

Nieszczęście jakie?... No?... Oh! Boże jedyny!.. Trójco Przenajświętsza!.. Ledwie żyję... ledwie dyszę, tak mnie ta wiadomość przejęła... Och!...

— Nic z tego najjaśniejszego pana nie spotkało?...

— Jam przy tem nie był... nie wiem; ale ludowi radować się nakazano dlatego właśnie, że Opatrzność nad najjaśniejszym panem czuwała...

— Czy pewno?...—zapytała.

— Nieinaczej... i jutro w kościołach wszystkich odbędą się nabożeństwa dziękczynne...

— A... — w pamięci sobie księżna zanotowała i dodała: — Posłać muszę do wielkiego marszałka dworu z zapytaniem o zdrowie jego cesarskiej mości...

— Wielki marszałek aresztowany...

— O!?!—wykrzyknęła.

— Miałem już zaszczyt o tem wysokości waszej oznajmić!...

— Prawda... zapomniałam... Trzeba jednak, ażeby jego cesarska mość wiedział, że mnie obchodzi najdroższe zdrowie jego...

Zawiadomienie tego rodzaju trudności nie podlegało. Organizacya służby dworskiej, doprowadzona do najwyższej doskonałości swojej, nie dopuszczała opróżnienia stanowiska i funkcyi, dlatego tylko, że zabrakło nagle osobistości, co stanowisko to zajmowała i funkcyę tę pełniła. Dostojnik każdy posiadał zastępcę, do którego szlusował zastępcę, mający znów zastępcę i t. d. Gałęzie służbowe, hierarchicznie organizowane przedstawiały szeregi funkcyonaryuszy, przyozdobionych w tytuły z przystawkami: *ober, unter, hoch, gross* i t. p., wedle których utrzymywał się porządek ścisły. Miała przeto gdzie i jak zamanifesoować się troskliwość księżny Rakoczy o zdrowie Leopolda I. Czy o to jej jednak chodziło?

Zapewne, obchodziło ją zdrowie Leopolda I, jak obchodziło wszystkich, co wprost lub ubocznie od niego zależeli. Interesowano się nim w Paryżu, w Rzy-

mie, w Wenecyi. Władca mocarstwa, zajmującego bardzo ważne w Europie stanowisko, nie był i być nie mógł osobistością, której zdrowie byłoby obojętnem. Obecni podówczas w Wiedniu ambasadorowie francuski i wenecki, jako też legat papieski, jak skoro się o wypadku na polowaniu dowiedzieli, wnet nacisnęli sprężyny wszystkie, celem pobudzenia gorliwości agentów swoich, którzy w zamku, cesarzowi służąc, funkcyę oczów i uszów króla francuskiego, doży weneckiego i Stolicy Apostolskiej pełnili. Tych w rzeczy samej, dla powodów bardzo ważnych, zdrowie obchodziło. Powody podobne przenikały troskliwość księżnej Rakoczy, inaczej jednak. Cechował je cel wyraźny, podszyty widokami osobistemi, osnuwającemi się około osobistości syna. Chodziło jej o zbawienie duszy własnej za pomocą zapewnienia synowi królowania w niebie i panowania na ziemi. Była to sprawa mocno powikłana i księżnaby z pewnością poddać jej nie mogła, gdyby nie miała podtrzymania i poparcia ze strony dyplomatów w sutannach i habitach, którzy w wieku owym po Europie krążyli, dworów się czepiali i interesy polityczne sprawowali. Stanowiło to cechę wieku.

Dzień, wypadkami zagadkowemi brzemienny, kończył się posępnie. Ciepło parne, jakie do południa panowało, ostygąć powoli zaczęło. pod wpływem chmur, które się od zachodu pokazały i na horyzoncie się ku górze posuwały, idąc na spotkanie słońca. Słońce się za nie ukryło. Błękit niebios zniknął stopniowo, aż zniknął całkowicie i obciągnął się zasłoną dymną, właściwą jesieni. Wieczór nastał bez księżyca i bez gwiazd. W mieście zapanowały ciemności. W ulicach tu i owdzie rzucały blask płomienie pieców garkuchnianych, przy których na rożnach obracano powoli pieczone i pieczenie, przeznaczone dla podróżnych i roniące woń rozkoszną daleko. W dzielnicach oddalonych spotykać można było latarnie zapalone u wnijsia do pałaców arystokracji wiedeń-

skiej, wielki zbytek, na który pozwalali sobie jeno ludzie, co, dzięki bądź stanowisku wysokiemu, bądź bogactwom ogromnym, uważali siebie za obowiązanych swoje *durchlaucht* latarniami oświecać. Gdzie ani gar-kuchni, ani pałacu nie było, tam miasto zalegała ciemność absolutna, ruch wszelki ustawał, ulice pustoszały, przebiegał po nich chyba kot, lub przeciągał patrol drabów policyjnych. Rzadko bardzo zdarzał się zapóźniony na wieczerzy w domu obcym mieszczanin, niosący w żołądku funtów kilka mięsiva i mel-szpażów, poprzedzany przez pachotków z latarniami; częściej trafiał się pojazd magnata, przed którym pacyjcy wieźli pochodnie smolne.

W dniu upamiętnionym spadnięciem Leopolda I z konia, wieczorem, pojazdy się po ulicach Wiednia snuły gęsto. Spotykały się i wymijały. Przy wymijaniu biegnący przodem laufowie wykrzykiwali głośno imiona, nazwiska i tytuły. Jakichże nazwisk nie ogłoszono wieczoru tego! Wszystko, co Wiedeń posiadał najznakomitszego, znajdowało się w ruchu, spływającym, niby potoki w doliny, do mieszkań dostojników najwyższych. Wszystkich ważna zajmowała sprawa. Niby to o wypadek chodziło; wypadek jednak stanowił maskę, która osłaniała niepokój, jaki ogarnął najwyższe towarzystwa sfery z powodu, że humor młodego cesarza zamanifestował się w sposób niezwykle zagadkowy. Wynalezienie do zagadki tej klucza—oto była troska ogólna. Szukano takowego, szukano wszędzie, z wyjątkiem domów czerwoną kredą niełaski zaznaczonych. Kolasy magnackie nie zatrzymywały się przed progami ani wielkiego Hofmarszałka, ani, szczególnie, księstwa Frangopano.

Pomiędzy godziną 9-tą a 10-tą, co było bardzo późno, albowiem w Wiedniu, w epoce owej o godzinie 9-ej spać się łożono, przy blasku dwóch pochodni smolnych, niesionych na drzewcach giętkich przez dwóch huzarów konnych, na okrzyki laufrów, rzucających nazwiska rozmaite, odpowiadać zaczął okrzyki:

— Jej wysokość... jej nawskróśjasność, najdo-
stojniejsza księżna i pani z Batorych Rakoczy!...

Magnaci, którym do uszu wyrazy te wpadały, doznawali zdziwienia niejakiego. Jej wysokość z powodu tak wieku, jako też stanowiska towarzyskiego, wieczorami u siebie przyjmowała, jeżeli zaś z domu wyjeżdżała, to do zamku chyba, albo też do osoby tości jakiejś, zaliczającej się do rodzaju „książąt krwi“. Do rodzaju tego zaliczała się sama. Każdy przeto, co wywołanie nazwiska jej słyszał, zapytał siebie w duchu, dokąd ona jedzie i byłby zdziwionym mocno, gdyby widział, jak kolasa jej zatrzymała się na przedmieściu przed domem latarniami nieoświeconym, pomimo, że miał pozór pałacowy. Zdanie to wchodziło do tej kategorii, co się intrygującą nazywa z powodu, iż wszyscy wogóle mieli ochotę do domu tego jechać, nikt atoli nie jechał z obawy kompromitacyi. Dom ten był mieszkaniem księstwa Frangopano.

Księstwo ze strony swojej niemałego doznali zdziwienia, ujrawszy w progach swoich, o tej porze spóźnionej, gościa tak dostojnego. Dzień cały nie zajrzał do nich nikt, wieczorem zaś spadła figura taka! Markiz i księżna Julia, witając ją, mówili o wielkim, jaki ich spotyka, zaszczycie. Markiz przedstawił jej krewniaka swego.

— Hrabia Orfeusz...

— Nie jesteśmy całkiem nieznajomi—odrzekła.

— Miałem ten zaszczyt — odpowiedział hrabia z ukłonem.

— Ale — przerwała, do gospodarstwa mowę zwracając—dziwić was musi moja wizyta spóźniona...

— W rzeczy samej—zaczął markiz.

— Tembardziej, że dziś do was duch żywy nie zajrzał...

— W rzeczy samej — powtórzyła za mężem księżna Julia, której oczy, gdy patrzyła na księżnę Rakoczy, napełniał wyraz niepokoju, połączony z tym

wyrazem, w którym się przebija wzywanie o ratunek, pomoc lub radę przynajmniej. Wyraz ten przypomniał trochę trwogę gazeli i było z nim młodej kobiecie do twarzy. Księżna Rakoczy patrzyła na nią przez chwilę z tem zadowoleniem, z jakim się patrzy na arcydzieło sztuki. Po chwili uśmiechnęła się i zapytała:

— Wiecie, pocem do was przyjechała?

Księżna Julia odpowiedziała lekkim ramion ścśnieniem i zamierzała coś dodać, ale jej stara księżna przerwała:

— Przyjechałam do was celem sprawdzenia domysłu swego... Sprawdziłam takowy i mogłabym już odjechać, gdyby mnie nie przytrzymywała potrzeba uspokojenia was i rozmówienia się z wami... Wszak prawda—zagadnęła—niepokój was ogarnął?

— Do pewnego stopnia—odrzekł markiz.

— Wyznajcie, że do stopnia wysokiego... Spadła na was niełaska, to jest rzecz straszniejsza, aniżeli powódź, pożoga, zaraza morowa, trzęsienie ziemi i inne podobne plagi, które szkody wielkie sprawiają, ale przemijają, podczas kiedy niełaska, gdy jest rzeczywistą, trapić nie przestaje i dziś i jutro i zawsze, przybierając postacie coraz to odmienne... Niełaska straszniejszą jest nad wszystko... Owóż, uspokójcie się, plaga ta na was nie spadnie...

— Spadła już—wtrącił markiz.

— W sposób taki, w jaki deszcz wiosenny z grzmotami i błyskawicami spada na posiewy... Zachmurzyło się nad wami niebo dworskie, ale się wypogodzi niebawem... Wierście mi, ja się na tem znam...

Hrabia Orfeusz odchrząknął.

Księżna Rakoczy zwróciła na niego wejrzenie badawcze, pomilczała chwilę i zapytała:

— Czy i ty się, hrabio, znasz?

— Ph... — odparł — potroszę... Pozwolić sobie mogę domyślać się...

— Nie domyślaj się, jeżeli nie chcesz o samym sobie dobrego stracić mniemania... Domyślaniem bawi się w chwili obecnej w Wiedniu tysiące... tysiące głów...

— Wśród których moja jedna...

— Znalazłaby się — podchwyciła — jak na grzędzie zasadzonej kapustą...

— Wysokość wasza jesteście złośliwą...

— Mówię jak jest i nie mylę się, gdyby bowiem było inaczej, przed pałacem waszym stałyby w chwili tej kolas seciny... Dla was słońce wschodzi...

Rzekłszy to, wstała, ujęła młodą księżnę pod ramię i od niechcienia, jakby czyniąc zadość ochocie przejścia się, wyszła z nią do komnaty przyległej.

— Piękna moja — zaczęła — powiedz mi, czego dla siebie pragniecie?

Księżnę Julię zapytanie to zaskoczyło znienacka.

— Nie rozumiem pani — odrzekła

— Jakich zaszczytów... urzędów?... Musieliście przecie do Wiednia przyjechać z czemś... z zamiarem jakimś...

— Z jednym tylko...

— Wykołatania dla Piotra Zriniego baństwa?... Niczego więcej?...

— Niczego — odpowiedziała i, jakby nagle przypominając sobie, dodała: Ah!...

— Hrabianka Helena?...

— Tak jest...

— To dobrze... Znajdujemy się na drodze do brej... Losy nasze zależą, najpiękniejsza, od ciebie...

XV.

Konjunktury.

Markizostwu wizyta księżny Rakoczy nie wyjaśniła sytuacji, luboć uspokoiła ich. Uspokojenia powód opierał się na tej oddawna znanej wypróbowanej regule, że łaska pańska na pstrym jeździ koniu. Pomimo przeto, że niełaska wynikała z powodów bardzo ważnych — ze zbrodni, należących do rodzaju *lesae majestatis*—liczyć można było na zmianę wiatru, nawiewającego humory. Między Leopoldem I, a kobietami zachodziło podobieństwo wielkie. Humor znaczył u nich wiele i sprowadzał kaprysy, dzięki którym niełaska w jednym oka mgnieniu w łaskę się nierzadko zmieniała. W wieku Ludwika XIV było to rzeczą pospolitą. Tak rzecz tę rozumiał hrabia Orfeusz, który, nie będąc interesowanym osobiście, zapatrywał się na wypadki obiektywnie i czynił wniośki z punktu rozważy chłodnej. Widzenie swoje wykladał on tak:

— Reguła etykiety stoi, jak skała... Obejść jej nie sposób w warunkach zwyczajnych.. Ale w mocy najjaśniejszego pana jest wytworzenie warunków nadzwyczajnych, które pozwolą sprawę na inne przenieść pole...

— Na jakie, na przykład?—zapytał markiz.

— Na którymbyś się zasługą odznaczyć mógł... Jesteś poetą i wojownikiem, cesarz przeto wezwać cię może, bądź do napisania sonetu, bądź też do odniesienia świetnego zwycięstwa...

— Bez wojny?

— To rzecz najmniejsza... Wojna, która w ni-



czem etykiety nie nadwęży, jest w chwili każdej na zawołanie cesarskie... Chodzi jeno o to, ażeby do przeniesienia sprawy z pola na pole istniała podnieta jakaś...

— Jaka?... w czym?...

— Jaka?... nie wiem; w czym?... w duszy najjaśniejszego pana... W duszy... w sercu...—dodał po chwili namysłu. — Jest się cesarzem... jest się człowiekiem...

Hrabia Orfeusz znajdował się na drodze do odkrycia podniet psychicznych, z których wysnuwać można było przypuszczenie zmiany niełaski w łaskę. Mylił się jednak co do punktu zarówno wyjścia i dojścia, a omyłka jego w następujący wyraziła się sposób:

— Leopold I jest wprawdzie Jezuitów wychowankiem, nie wszyscy się atoli wychowawcy Jezuitom udają... Andrzej Batory, Jan Kazimierz krzywo im poszli, przypuszczać więc się godzi, że w Leopoldzie I zachowały się popędy szlachetne, które mu wyjaśnia, że postępek markiza, luboć formalnie jest pogwałceniem przepisów, nie jest jednak zbrodnią w intencji, że wyszedł on z pobudek troskliwości o zdrowie cesarskie... z pobudek tej cnoty chrześcijańskiej, co się nazywa miłością bliźniego...

— Być może... — odrzekł markiz, wysłuchawszy z uwagą tego psychologii w odniesieniu do Leopolda wykładu.

Księżna nic nie odpowiedziała. Zdawało się, że w zamyśleniu i rozmarzeniu tonęła, co było rzeczą naturalną, ze względu na postawienie kwestyi przez księżnę Rakoczy co do zależności losów od niej — od księżny Julii. Psychologiczny hrabiego wywód usiłowała w myśli do osoby własnej odnieść i szukała punktów łączności.

Markiz się odezwał:

— Chwiejna to jednak podstawa...

— Chwiejna... to prawda...—potwierdził hrabia.

— I... jeżeli księżna Rakoczy nie opiera się na innej, wróćąc nam powrót do łaski, to liczy się nie ma na co...

— Zapewne...

— I liczyć nie ma na co... i rozprawiać nie ma o czym... — rzekł markiz z akcentem zniecierpliwienia. — Rozprawiamy *de lana caprina*... W sumieniu mojem uczuвам się spokojny... Nie myślałem o cesarzu, gdym ujrzał człowieka plackiem na ziemi leżącego i pośpieszyłem na ratunek jego.

Zapomniałem, że *molae deorum sero molunt* i śpieszyłem, niby zbieg jaki, ze Trstu do Czakowca, z Czakowca do Wiednia... Żałuję pośpiechu tego; mogłem *festina lente* i zamiast w komedyi łowów wziąć udział w łowach rzeczywistych, jakie się obecninie w lasach, kniejach i ostępach czakowackich odbywają... A zresztą... wolałbym się zgoła ze Trstu nie ruszać...

— Dlatego, że *secessum et otia quaerunt carmina scribentes*...—zauważył hrabia Orfeusz.

— I dla tego i dla czegoś jeszcze... — odrzekł markiz, z wyrazem miłości w oczach na młodą i piękną spoglądając żonę.

Markiza wejrzenia tego nie odczuła, jak się zdaje, nie dała bowiem na nie odpowiedzi właściwej. Oczy jej nie strzeliły wymową kochania. Wzrok miała na męża zwrócony, patrzyła jednak tak, jakby próżnem było zajmowane przezeń miejsce. Patrzenie tego rodzaju złą bywa, dla małżonków zwłaszcza, wróżbą. Tknęło ono markiza; wzrok jego strzelił zdziwieniem; brwi zmarszczył i żonę zainteresował:

— Julio!...

— Ha, ha!...—drgnęła, niby ze snu nagle przebudzona.

— Zamyśliłaś się?...

— A .. tak... — flegmatycznie, na oczy firanki spuszczaając, odpowiedziała.

— Pani się frasujesz—wtrącił hrabia Orfeusz—niepotrzebnie... Ostatecznie... cóż złego stać się może? Domowy areszt nie zapowiada sądu zbyt surowego; gdyby zaś sąd wydać miał wyrok najsurowszy, toć wyroki wszelkie podpisuje cesarz, mocen, jeżeli by taką była jego dobra wola, nawet na śmierć skazanego na stopniach tronu posadzić... Przytem i to jeszcze na uwagę wziąć należy, że markiz podlega sądom nie cesarskim, ale korony węgierskiej...

— Tak...—potwierdził markiz.

— A zatem... nie frasuj się, pani i koligatko dostojna... Księżna Rakoczy nie napróżno ze słowami pociechy i uspokojenia przyjeżdżała... Nie ryzykowałyby się, gdyby wam co zagrażało... Coś ona wie...

— Wie? — z akcentem zapytania odezwała się księżna.—Zkąd?

— Al...—odparł hrabia.—Jest to najprzód przy dworze *persona grata*, a następnie, u ojca Müllera spowiadając się, spowiada ojców Müllera, Menegattiego, Sinellego, Spinolę i wszystkich mężów światobliwych, co nad duszą młodego cesarza czuwają... Jeżeli kto przeto, to przedewszystkiem ona posiadać może i musi świadomość sprężyn tajemnych, poruszających czynność dworską na zewnątrz... Ona tego szczególnie pilnuje...

— Nabożeństwu duszą całą oddana...—zauważyła księżna.

— Właśnie też... Gdyby nie to, nie mogłaby być ojców wielbnych spowiednicą... Na drodze tej utrzymują ją troski rozliczne: o zbawienie duszy własnej, o zbawienie duszy syna, o zapewnienie dla tego

ostatniego, spadkobiercy Batorych i Rakoczych, dóbr wiekuistych i doczesnych... i inne, i inne, z temi w bliższej lub dalszej pozostające styczności... Z troskami temi nabożeństwo się ściśle kojarzy... Zobaczysz ją wasza książęca mość jutro w katedrze św. Szczepana...

— Na nabożeństwo powszednie ma kaplicę domową...

— Ale jutro będzie niepowszednie...

— *Quo titulo?*—zapytał markiz.

— Naród cały powołanym jest do zanoszenia do Stwórcy modłów dziękczynnych za odwrócenie od monarchii obrazy, jaka mu zagroziła.

— Hm...—mruknął markiz.

— Zapewne...—zaczął hrabia i miał coś jeszcze na języku, ale mu przerwała księżna:

— Czy i ja mam na nabożeństwie być obecną?...

— Nie inaczej...—odparł hrabia.

— Franciszek aresztowany...

— Tem bardziej... Wasza książęca mość modlić się powinnaś podwójnie: za siebie i za męża...

— W katedrze?

— Stanowisko towarzyskie waszej książęcej mości nie pozwala jej modlić się za cesarza w jakimś na przedmieściu kościołku.

Młoda kobieta westchnęła. Westchnienie to pierś jej podniosło, jak westchnienie zwyczajne, których moc taką śmiertelnicy ronią, wyszłe atoli z piersi w towarzystwie drżenia lekkiego, które, gdyby zanalizowane być mogło, wykazałoby pierwiastek trwogi. Zatrwożyła się, usta otwierała w celu przemówienia jakiegoś i wyrazy jej na ustach skonały. Miała zamiar zapytać, czy w katedrze cesarz będzie, Czemu nie zapytała?

Czemu?

Stało się z nią coś dziwnego, a bardzo zwykłego i naturalnego. W duszę młodej kobiety zaroniło się powodzenie kobiety starej, ziarnem zapadło i kiełkowania proces rozpoczęło. Mężowi i męża krewniakowi dobranoc oddała; przy okazji tej powiedziała, że się niezdrową czuje; odeszła, rozebrała się, położyła i drzwi od sypialni kameryerze zamknąć kazała. W komnacie, w lampie alabastrowej, bladym płomykiem gorzała oliwa wonna. Księżna się zdaleka w płomyk ten wpatrywała i wpatrywanie się to hypnotyzowało ją. Doznawała w sobie czegoś nakształt przelewania się płynu subtelного. Sprawiało jej to drażnienie rozkoszne, łączące się z widziadłem, które jej z oczu nie schodziło. Widziała cesarza—widziała go, kiedy oczy miała otwarte i kiedy się jej na źrenice nasunęły powieki i wydeły na takowych wypukło, mając u spodu rzucające na policzki cień rzęsy jedwabiste, u góry łuki brwi czarnych. Widziała cesarza, ale nie tego, co ją na audyencji i recepcji przyjmował i na łowach jej przewodniczył—nie. Ten jej z oczu i z pamięci znikł, ustępując miejsca cesarzowi w najczystszej i najbardziej uroczej pojęcia tego ekspresyi, przedstawicielowi piękna, potęgi i wspaniałości. Płomyk lampy migotał; ona widziała i ten płomyk i tę postać, która, zdawało się, komnatę całą sobą zapełniała, posiadała jednak kształty człowiecze. Uderzały księżnę szczególnie ramiona, piersi i usta—ramiona grube, mocne, muskularne, piersi szerokie, usta wydatne i krwi pełne. Odczuwała je na sobie i w sobie, w złudzeniu uścisku, w którym się gięła, niby trzcina, i topiła, jak wosk w ogniu. Był to cesarz idealny—pan, mocarz, Herkules, wobec którego nie istniała możliwość oporu ze strony niczyjej, zwłaszcza zaś ze strony kobiety słabej. Takiego widziała, o takim rola; wyraz „cesarz” w duszy jej grał słodko, niby echo harfy, grzmiał hucząc, jak gromy w gó-

rach—zachwycił ją i trwożył. W zachwycie i trwodze spędziła noc całą, spała i nie spała, nawpół uśpioną zesła ją kameryera; na palcach się zbliżyła, cofnęła się i wychodzić chciała, kiedy ją księżna ode drzwi przywołała.

Kameryera trzymała w ręku tackę srebrną, a na tacce list.

— Od kogo to?

— Od jej wysokości księżny Rakoczy...

Księżna Julia kopertę rozerwała, list, który był krótki, oczami przebiegła i rzekła:

— Księżna po mnie przyjedzie... Czy to późno?...

— Dziewiąta na półzegarzu...

— Trzeba mi się prędko ubrać...

— Co jaśnie oświecona pani włoży?

— Strój do kościoła... Jaka tam pogoda?... — zapytała.

— Z nocy deszcz padać zaczął i pada...

Księżna stosownie do tego przygotować sobie kazała odzież, wytworną, bogatą, a do okoliczności zastosowaną. Okoliczności nakazywały jej żałobę. Włożyła więc na siebie materye i aksamity barwy ciemnej i przystroiła się w futerka i koronki. Odzież się na niej drapowała, służąc jako oprawa uwydatniająca jej kształty i wysuwająca niejako na plan pierwszy oblicze, wpół przysłonięte zasłoną przejrystą. Z pod zasłony przeglądało czoło jasne i warokocze grube. Wiały od niej uroki i ponęty, niby zakryte, a do szczegółów najdrobniejszych wykazane.

— O tak!... dobrze!... doskonale!... — zawołała księżna Rakoczy, gdy, przyjechawszy około jedenastej, obejrzała ją od stóp do głowy. — Uzbroidas się... Widzę, że rozumiesz o co chodzi... Wyglądasz prześlicznie...

— Wasza wysokość na mnie łaskawa...

— Gdzie o interes idzie, tam się komplementy nie prawią... Wyglądasz czarująco... Jedziemy...

Księżne wsiadły do wspaniałej, na żółto pomalowanej, rzeźbieniem i herbami przyozdobionej kolasy, którą ciągnęło sześć koni a poprzedzał laufer eskortowany przez huzarów. Biedny laufer piechotą biegł po błocie i wygłaszał nazwisko damy dostojnej, zajmującej wewnątrz kolasy. Powietrze, przesiąknięte wilgocią deszczu jesiennego, nappełniał huk jęklivy dzwonów, zwołujących mieszkańców stolicy do domów bożych. Wszystko, co żyło, do kościołów śpieszyło. Ruch w mieście zapanował ogromny. Lud pospolity deptał bruki piechotą, ciągnąc bokami ulic a pozostawiając środek żółtym, czerwonym, zielonym, błękitnym i innej barwy karetom, wiozącym członków rodów wysokich i wysokich dostojników, z których każdemu towarzyszyła eskorta konna i każdego nazwisko i tytuły ogłaszał laufer. Okrzyki te w powietrzu przy wtórze dzwonów brzmiały i ściągały na siebie uwagę tych, co piechotą szli. Niektóre wywoływały oznaki zadowolenia. Lobkowiczowi, Montekukulemu krzyczano: „Niech żyje!” Wiedeńczycy mieli w sferach wysokich faworytów swoich, wybieranych zazwyczaj wśród tych, co stali najbliżej tronu, który w czasach owych posiadał cały wielkości i świętości urok. Dlatego też, gdy się ukazała ośmiu końmi zaprzężona i szereg długi pojazdów poprzedzająca, a przez gwardye szlacheckie eskortowana kareta cesarska, krzyk „Hoch!” wszczął się i nie ustał tak długo, aż się zatrzymała przed krążgankiem katedry. Był to ciąg jeden wrzawy radosnej ludu, kochającego monarchę swego. Kareta się zatrzymała, wrzawa ustała; cesarz wśród szpaleru gwardyi wkroczył na krążganek, gdzie na powitanie jego oczekiwała kapituła z kardynałem arcybiskupem na czele; zatrzymał się, wysłuchał krótkiej po łacinie księcia kościoła przemowy i duchowieństwem oskrzydłony, przestąpił

próg świątyni, pod sklepieniem której uroczystym to-
nem odezwaly się organy.

Zbytecznem byłoby dodawać, że kościół był
przepełniony. Bliżej drzwi wchodowych tłoczył się
lud; ławki zajmowali *honoratiores* coraz to dostojniejsi
w miarę, jak się siedzenia zbliżały. ku wielkiemu oł-
tarzowi, odgrodzonemu baryerą. Za baryerą, po stro-
nie prawej, znajdowała się stała cesarska, aksamitem
karmazynowym wybita, w klęcznik z poduszką zaopa-
trzona, herbem państwa i koroną przyozdobiona i usta-
wiona naprzeciwko stał, przeznaczonych dla osób po-
między najdostojniejszymi najdostojniejszych. Jedną
z tych ostatnich zajęła księżna Rakoczy, drugą obok
księżna Frangopano.

Za wejściem cesarza wszyscy z miejsc powstałi.
Leopold I przeszedł przez środek nawy kościelnej
z oczami w dół spuszczone, nie patrzył ani na pra-
wo, ani na lewo, ani nawet przed siebie; promienie
wzroku jego obejmowały jeno tę część podłogi, na
której stopy w trzewikach z brylantowemi klamrami
stawiał; na poprzedzające wielki ołtarz stopnie wkro-
czył, do stali wszedł, usiadł, na klęcznik się osunął,
przeżegnał się i, siedzenie zajmawszy, ku wielkiemu
ołtarzowi obliczem się zwrócił. Nie widział nic i ni-
kogo, z wyjątkiem stołu wspaniale przyozdobionego,
na którym odbyć się miała ofiara pańska i kapłana,
który ze mszą wyszedł. Celebrował sam arcybiskup
w asystencyi biskupów i kanoników. Wystąpienie
cechowały wielka uroczystość i wielka pompa. Kaza-
nie miało za tekst: „Aniołom moim każę cię piasto-
wać”, a nabożeństwo zakończyło się wystawieniem
Przenajświętszego Sakramentu i hymnem: *Te Deum*
laudamus. Rozmiary tej wystawy kościelnej nie lico-
wały z rozmiarami przygody, chyba o tyle, że i na
gładkiej drodze nogę złamać a kęssem chleba powsze-
dniego udławić się można. Potrzebne jednak były.
Nadarzyła się okazja pokazania ludności majestatu
cesarskiego w obłokach dymu kadzidlnego, w bla-

skach wystawy — skorzystano z takowej tem skwapliwiej, że majestat ów w osobie Leopolda I prezentował się bardzo niepokaznie.

Cesarz siedział naprzeciwko dam i panów, zajmujących miejsca honorowe. W szeregu ich znajdowała się księżna Julia Frangopano.

Księżna zachowywała na zewnątrz spokój zupełny. Pochylona nad książką do nabożeństwa w modlitwie się być pogrążoną zdawała. Wejście jednak cesarza wywarło na nią wrażenie. Zaniepokojenie lekkie widzieć się dało w oczach, które zamigotały i wnet rzęsami się osłoniły, jakby w obawie, ażeby kto wrażenia tego nie dostrzegł. Wraz z tem na lica wybiło leciuchne zarumienienie. Cesarz miejsce zajął i oznaki te zniknęły; księżna z pod oka oblała postać jego wejrzeniem raz, oblała poraz drugi i trzeci i następnie nie przestawała na niego od czasu do czasu z ukosa spoglądać. Spoglądała, a w oczach jej, w głębi źrenic, malował się wyraz politowania, odpowiadający powtarzającemu się w umyśle ustawicznie zapytaniu: „To cesarz?... I to cesarz?... cesarz?...”

Przypuścićby można było, iż młoda kobieta przeprowadziła paralelę pomiędzy tym cesarzem rzeczywistym, a tantym, co się jej z płomyka lampy alabastrowej w postaci nocnego widziadła ukazał. Ale nie. O widziadle owem ani myślała, nawet o niem zapomniała. Ludziom często się zdarza nie pamiętać snu najbardziej sensacyjnego. Pozostawała atoli reminiscencya, polegająca na różnicy, jaka zachodziła pomiędzy owym mocarzem wyrojonym, a tym, co ubrany w ciało i kości, korzył się przed tajemnicą ofiary mistycznej, przedstawianą przy ołtarzu. Świadczyło to, że młoda księżna w cesarzu szukała człowieka, a w człowieku czegoś, coby ją uzupełniało i czegoaby ona uzupełnieniem była, nakształt tego, jak się w zlewie harmonijnym tonów muzycznych

uzupełniają wzajemnie bas i kwinta. Natura jej niewieścia prowadziła ją do szukania doboru, tłumaczącego się za pomocą uczuwanego z góry pociągu, łgnięcia istoty jednej do drugiej — łgnięcia, którego wyraz w znaczeniu podniosłem tłumaczy się miłością, a przewodnikiem bywa tego lub innego rodzaju urok.

Zapytanie to modlić się księżnie przeszkadzało i to sprawiało, że cała ta, taką pompą wystawną nacechowana uroczystość, wydała się jej śmieszna. Przypominała sobie Leopolda I, biorącego rozwód z kapeluszem, peruką i rozkraczonego w postaci żaby na ziemi. Śmiech ją pod piersiami łechtał, a zarazem wsłuchiwała się w nabożeństwo, wczytywała w modlitwy. Było to nadaremnie. Śmiać jej się chciało; wstręt nią wstrząsał; usta przygryzała, zęby zaciskała i musiała z siebie wydobywać całą, do jakiej zdolną była, siłę woli, ażeby na zgorszenie najwyższym Kościoła i państwa dostojnikom bądź śmiechem nie wybuchnąć, bądź też wstrętem nie syknąć.

— To cesarz?... i to cesarz?...

Wejście jej do kościoła i zajęcie miejsca w stalach obok księżny Rakoczy przyjęte przez dostojników wszelakiego rodzaju zostało jako wielkiej doniosłości zdarzenie. Sprawiało ono zrazu zdumienie ogólne. Wytrawni jednak politycy i dyplomaci, jeżeli zdumieniu niekiedy ulegają, to nigdy długo mu nad sobą panować nie dają. Zastąpiło je przeto wnet uważanie śledcze, które w języku dyplomatów nazywa się studyowaniem sytuacji. Przedmiotem studyów dla radców i radczyń, dla wojowników i mężów stanu, dla ludzi świeckich i ludzi duchownych stały się dwie osobistości: Leopold I i księżna Julia. Studya te z tego wychodziły punktu, że księżna Rakoczy nie odważyłaby się prezentować w warunkach takich z księżną Julią, gdyby w kroku tym nie upatrywała następstw ważnych. O istotę następstw owych chodziło, a chodziło tak bardzo, że w nabożeństwie nikt

inaczej, jak formalnie, udziału nie brał, nikt ceremonii nie widział, nikt kazania nie słuchał, nikt dziękczynień, z wyjątkiem jednej księżnej Rakoczy, przed tron boży nie stał.

Księżna Rakoczy szczerze się modliła i szczerze Bogu za spadnięcie cesarza z konia dziękowała. Nie przeszkadzało jej to wejrzeń badawczych od czasu do czasu na Leopolda I zwracać. Wejrzenia zwracała i niekiedy je dłużej zatrzymywała. I ona studiowała. Zrazu studia rezultatów nie dawały; cesarz, w modlitwie pogrążony, znieruchomił się, niby posąg, przykryty peruką ogromną; nie pokazywał patrzącym oblicza, a z peruki niczego dojść nie można było. Aż arcybiskup przed ołtarzem, przy grzmotowym wtórze organów i podniesieniu głosu, zaintonował: *Salvum fac imperatorem nostrum*. Wówczas cesarz głowę od pulpitu podniósł, wzrokiem powodzić do koła rozpoczął i nagle wzrok zatrzymał. W senliwością nabrzmiałych oczach jego jawił się błysk przelotny. Wybiegł i zniknął; wywołał jednak to następstwo, że od tej chwili cesarz co moment wejrzenie zwracał na przedmiot, który błysk wywołał, a którym była postać księżnej Julii.

Księżna Rakoczy podchwyciła błysk w przelocie i takie to na niej wrażenie wywarło, że młoda kobietę łokciem trąciła i z przyciskiem znaczącym chrząknęła; wnet jednak się pochyliła, westchnęła i za arcybiskupem drżącym od wzruszenia głosem wywozдить zaczęła: *Salvum fac...*

Gdy po nabożeństwie skończonem do karety obie te damy wsiadły, stara księżna młodą niezwłocznie zapytaniem zaczęła:

— A co?... he?... tryumfujemy?... co...

I na odpowiedź nie czekając, prawiła dalej:

— Baństwo dla Piotra pewne... Dziś jeszcze

wyprawie gońca do Franciszka z upoważnieniem oświadczenia się o rękę Heleny i z błogosławieństwem swoim... Szkoda, że w momencie tym nie mamy pod ręką jakiej jeszcze w rodzaju tym sprawy do ubicia... Ha...—westchnęła.

XVI.

Operacya zakulisowa.

W tym samym dniu, w którym się nabożeństwo dziękczynne odbyło, w Wiedniu zaszła zmiana towarzyska ogromna. Przed nabożeństwem znajdował się jeden, na który z czołobitnością i hołdami śpieszono, dwór; po nabożeństwie dworów takich stanęło naraz trzy, a mianowicie: cesarski, książęcy-Rakoczy i książęcy-Frangopano. Cesarski, rzecz prosta, prym trzymał dla powodów, które wykazywania nie potrzebują. Dwa domy książęce przedstawiały się jako instancye tajemniczo-zagadkowe i niezmiernie obiecujące. Krok księżny Rakoczy wyglądał napozór nakształt zuchwalstwa, które jednak, wedle jednogodnej wszystkich, co się w kościele studjom oddawali, obserwacyi, na cesarza dobre wywarło wrażenie. Nie nie rzekł, złego humoru nie okazał, nikogo nie kazał aresztować: dla ogółu stanowiło to wróżbę, w której biegli w materii dworskiej upatrywali doniosłości ogromnej zmiany. Cesarz od chwili *Salvum fac*, niby w obraz cudowny, w księżną Julię się wpatrywał.

— O... — każdy z najbieglejszych w umyśle sobie zakarbował.

Cesarz młody — księżna piękna.

Nie było ani jednego, co by nie znał historii Herkulesa, przyjmującego funkcję prządki i historii Samsona, wydającego tajemnicę włosa dla pięknej kobiety. Historia zburzenia Troi, dzięki piękności kobiecej, również była powszechnie wiadoma. Budowano więc na fundamencie, co miał takie po za sobą precedensy.

Najpierwszym z mężów stanu, co wschodzącą nad głową młodej kobiety jutrznię powitać pośpieszył, był książę Lobkowicz z małżonką. Książę zasłonił się pretekstem, oświadczając na wstępie, iż czyni za-
dłość tej enocie chrześcijańskiej, co więźniów odwiedzać nakazuje.

— Nie uskarżam się zbyt na więzienie moje... — odparł markiz.

— Formalność czysta... Najjaśniejszy pan musiał dostojność waszą, dla przykładu, na czas jakiś swobody pozbawić... Obszedł się z wami łaskawiej, niż z marszałkiem i hrabią, których zamknąć rozkazać najmiłościwiej raczył...

— Będzie nad nami sąd...

— Może... zapewne... zależy to od jego cesarskiej mości woli...

— Od woli jego królewskiej mości węgierskiej — poprawił Frangopano.

— No tak... — tonem niepewnym nieco odrzekł książę, znał bowiem skłonność Leopolda I do nieszanowania ograniczeń konstytucyjnych, przywiązanych do korony węgierskiej i usuwających obywateli królestwa z pod dowolności monarszej. — Tak... zapewne... Bądź co bądź jednak, nie będzie to niczem innym, jak dopełnieniem formalności, którą znana jego ce-

sarskiej mości łaskawość złagodzić i osłodzić potrafi... Serce jego najwięcej nad tem boli, że dostojność waszą ukarać musiał...

Rozmowa potoczyła się o dobroci serca Leopolda I, o bogobojności i o innych zalecających go cnotach...

Po Lobkowiezu nadjechał kanclerz Hoher, po nim ktoś z magnaterii węgierskiej; Węgra zmienił Czech, z którym równocześnie pozdrowienie składał Montekukuli, poprzedzający jednego z dygnitarzy kościelnych. Wizyty nie ustawały, odwiedzający sadzili się na grzeczność i serdeczność, wynurzali się, kołatali do przyjaźni młodych księstwa, od których się przed południem, niby od zapowietrzonych, odwracali, ofiarowywali im usługi swoje. Niektórzy z nich przewidywali zmianę w odniesieniu do Węgier polityki i przyznawali słuszość pretensjom węgierskim, bez względu na to, że celem okiełznania takowych zawartym został po świetnem st.-gotardzkim zwycięztwie, niekorzystny vasvarski pokój. Damy ze strony swojej zbliżały się i przysiadły do księżnej Julii, prawiły jej komplementy, wychwalały jej gust we fryzowaniu włosów i dobieraniu barw, unosiły się nad wonią wódek, którą jej odzież wydzielała i polecały jej pamięci i względom łaskawym ta syna, owa wnuka, inna męża, krewniaka lub kogoś, co był jej obojętnym, ale, albo posiadał wielkie, nie cenione nalezycie zalety, albo też uległ jakiemuś od woli jego niezależnemu nieszczęściu. Udzielały jej przytem, pod pieczęcią tajemnicy, wiadomości różnych ciekawych i interesujących o faktach i faksikach, co się już stały i o innych, których następstwa w ciągu dalszym ukazać się miały.

Chorągiewka się obróciła i serdeczność wielka otoczyła parę, która ze względu na to, że należała do rodziny Zrinich, uchodziła za podejrzaną i była dotychczas tolerowaną. Tolerancya ustąpiła miejsca uznaniu zupełnemu, bezwarunkowemu i potęgującemu

się z dnia na dzień. Zupełność i bezwarunkowość uznania tłumaczyła się formą stosunków towarzyskich, które po wsze czasy polegały na wyśrubowaniu wynurzeń do stopnia najwyższego. W zakresie tym nie ma miary pośredniej; jedni drugim bezwzględnie przyznają niepospolitą i znakomitą, tak, że potęgowanie niemożliwem się staje. Stało się jednak—zachodziło. Z dnia na dzień młoda para, pomimo, że markiz wciąż w stanie aresztu domowego pozostawał i markiza z racyi tej na pokojach cesarskich prezentować się nie mogła, odbierała dowody przyjaźni coraz tkliwszej ze strony tych wszystkich, co się przy wielkiem grzeli ognisku. Niektórzy z dygnitarzy najwyższych oświadczały się z gotowością poświęcenia dla księcia lub księżnej Frangopano. Nie było to bez kozery. Za kulisami coś się dziać musiało.

— Coś się dzieje — zauważył hrabia Orfeusz, który, z boku stojąc, przypatrywał się wypadkom z punktu obiektywnego.—Czy nie wypada powiedzieć: *Timeo Danaos et dona ferentes?*...

Uwagę tę wygłosił późnym wieczorem, gdy księstwo znużeni całodziennem gości przyjmowaniem, o spoczynku myśleli.

— Hm... hm?... — mruknął markiz.

— Miałyżby się na tronie zmienić dyspozycje względem Czakowca?...

— Zdarzają się rzeczy nadzwyczajne...

— Zapewne...

— Co to znaczy, że z Czakowca wiadomości nie mamy?—podchwyciła księżna.

— Uczują, polują... polują i uczują, nie dziw przeto, że czasu nie mają do pomyślenia o wyprawieniu do Wiednia gońca... Zresztą, może—dodał—na gońca z Wiednia w Czakowcu oczekują...

— Mam ochotę napisać do Piotrowej — księżna na to.

— Wstrzymaj się, aż się rzeczy wyjaśnią nieco—rzekł książę—to i ja napiszę do Piotra...

— Wyjaśnią się, napiszemy znów — odparła tonem tej niecierpliwości niewieściej, którą budzą zachcenia nagle. — Idę, piszę... mam całą noc dla siebie... *Adio*, panowie...

Odeszła, zostawiając męża i krewniaka; pokójce się rozebrać kazała; na siebie włożyła szlafroczek ciepły, na nogi pantofelki futrzane, na głowę czepeczek nocny, i zasiadła przed stolikiem nieopodal od komina, na którym polana brzoźowe jasnym, wesołym i rozkoszne ciepło szerzącym gorzały płomieniem. Przed nią stały dwie świece woskowe w lichtarzach srebrnych, leżał papier, stał kałamarz, w kałamarzu tkwiło pióro. Do pisania zabrała się nie odrazu. Pierwej pomyśleć musiała i gdy myślała, wytworzyła z siebie obrazek rodzajowy zachwycający. Kobieta piękna zachwycającą jest zawsze. W obrazku tym atoli zachodziła niezwykłość pozy, przedstawiającej zamyślenie wobec pióra i kałamarza, w oświetleniu świec jarzących i płomienia z drzewa brzoźowego. W oświetleniu tem, opłomieniającem jej policzki, zamyślenie przybierało akcent tej zagadkowości tajemniczej, która potęguje uroki niewieście. Uroczo też odbijało od takich, jak stół, papier, kałamarz i pióro, przedmiotów pospolitych, kancelaryą o mil sto cuchnących.

Zamyślenie jej nie trwało długo. Pióro w paluszki pieszczone ujęła, w inkauscie je umoczyła, w kałamarzu strzepnęła, nad papierem się pochyliła i pisać się jęła. Pisała szybko. Biała jej ręka suwała się po papierze tak prawie, jak ręka Liszta lub Rubinsztejna suwa się po klawiszach. Popędzały ją obfitość i bogactwo treści. Opisywała hrabinie Piotrowej kolejno: nowe, jakie zabrała znajomości, audyencyę, recepcyę, polowanie, aresztowanie markiza, nabożeństwo dziękczynne, zmianę nagłą w stosunkach towarzyskich, jaka po nabożeństwie nastąpiła i różne do faktów tych odnoszące się szczegóły. Pisała, pisała, i gdy się jej pod pióro polowanie nasunęło, po-

folgowała sobie, zdając z wypadku, jaki cesarza spotkał, sprawę w sposób humorystyczny. Biednego Leopolda I ośmieszyła na koniu i na ziemi. Przy okazji tej skreślić nieomieszkała postaci i rysów oblicza jego. We względzie tym nie żałowała ani barw, ani porównań. „Biedny człowiek.” Tak się wyraziła o mocarzu, któremu hołdowały miliony, ludzi a chciała dodać jeszcze: „wstręt budzi”, ale się wstrzymała, nie dla tego, iżby się rozmyślić miała, ale dlatego, że myśl tę zepchnęła inna, która jej w tem oka mgnięciu do głowy wbiegła.

Przy pisaniu młoda kobieta siedziała tak długo, że pokojówka, która czuwać aż ona do łóżka pójdzie musiała, trzykrotnie drzewa w kominie dokładała. Zapisła więc ćwiartek kilka i już dobrze z północy było, kiedy wstała od listu niedokończonego. Listu nie dokończyła, w ostatku bowiem przypomniawszy sobie, że hrabina Piotrowa powierzyła jej dwie ważne sprawy, o których ona słówkiem nie wspomniawszy. Dla napisania czegoś o sprawach tych, potrzebowała się z księżną Rakoczy widzieć. Dlatego to pisanie zawiesiła, na kameryerę zawołała, i gdy ta ją z pończoch wyzwoliła, w łóżku ułożyła i ciepło okryła, rzekła do niej:

— Jutro mnie rano zbudzisz...

— Jasna pani tak długo czuwała...

— To nic... Muszę, zanim się procesya wizyt rozpocznie, z domu wyjechać, powrócić i list dokończyć...

— Pracy tyle!... Jasna pani—zaczęła.

— Cóż robić!.. —przerwała pokojówce księżna, westchnęła i w chwilę później znów ją lampy alabastrowej płomyk hypnotyzował, ale tym razem widział nie wywołał. Młoda kobieta prędko zasnęła. Do sprowadzenia na nią snu przyczynił się zapewne szum głuchy, jaki sprawiał deszcz jesienny o okienice dudniący.

Deszcz dudnił, ona spała i obudziła się w rzeczy samej wcześniej — około dziewiątej. Ubrała się z pośpiechem tak wielkim, że w godzinę później siedziała już obok księżny Rakoczy, która tylko co w kaplicy zamkowej mszy wysłuchiwała. Księżna powitała ją uprzejmie.

— Czekałam, wyglądałam ciebie — mówiła. — Gdybyś mnie nie odwiedziła, byłabym cię dziś najechała... Mam ci dużo, dużo do opowiadania i do powiedzenia... a najprzód najjaśniejszy pan — zaczął z akcentem znaczącym—ten mi zaszczyt wyświadczyć raczył, iż mnie w gabinecie swoim przyjął... Miałam posłuchanie partykularne i przedstawiłam mu sprawę swoją i sprawę Piotra, ale nie od siebie...

— W imieniu Piotra? — zapytała księżna Julia.

— Nie... W twojem...

— W mojem?!... — wykrzyknęła zdumienia tonem.

— W twojem, moja najpiękniejsza, a to raz dlatego, żeś z żadaniami temi do Wiednia przyjechała, powtóre dlatego, że imię twoje słodko w uszach najjaśniejszego pana brzmi...

Na słowa ostatecznie rumieniec na policzki młodej kobiety wybiegł.

— *Est modus in rebus* — rzekła stara księżna i zapytała:

— Czy rozumiesz po łacinie?

— Nie wiele—odpowiedziała.

— Wy we Włoszech po włosku się porozumiewacie, my zaś mamy u siebie wieżę Babel językową i dlatego uczymy się po łacinie... *Est modus in rebus* znaczy, że trzeba z wiatrem płynąć... Wiatr na najjaśniejszego pana wieje od ciebie i dlatego odwołałam się do imienia twego...

— Jakżeż?... zkadże?...—zaczęła młoda księżna, jakając się, jakby jej co w gardle zawadzało.

— Jak?... zkad?... wie — odparła księżna Rakoczy tonem insynuacji dobrotliwej—ten chłopczyzna, co

z łuku do sere tak śmiertelników zwyczajnych, jak cesarzy strzela... Ja o tem nie wiem i nikt nie wie, to jeno pewne, że się tak stało, i ponieważ się tak stało, więc z tego korzystać należy... Opatrzność okazyi takich nie często następuje i nie każdemu nasuwa...

— Ja jednak... — tonem repliki odezwała się młoda kobieta i ucięła.

— Co ty?

— Męża mam...

— O tak... masz... to pewne...

— Więc?

— Bądź spokojna... to się zrobi... Interesuje się tem bardzo żywo ksiądz Müller... To rzecz jednak późniejsza, teraz zaś posłuchaj mego z posłuchania protokularnego sprawozdania... Powiedziałam najjaśniejszemu panu wręcz, żeś przyjechała z zamiarem zanegocjowania związku małżeńskiego pomiędzy synem moim a hrabianką Heleną Zrińską i wyjednania dla hrabiego Piotra stanowiska bana Kroacyi... Cesarz to sobie powiedzieć pozwolił...

— I obiecał...

— I nic nie obiecał, nic nawet nie odpowiedział, ale — powtórzyła dobitnie, wyrazy skandując — powiedzieć pozwolił...

Księżna Julia nic na to nie odrzekła.

— To wiele, to już bardzo wiele — ciągnęła księżna Rakoczy dalej. Pozwolenie takie, udzielone na mocy imienia twego, oznacza przywiązany do osoby twojej warunek, dzięki czemu sprawę załatwioną uważać należy... Jam już Franciszkowi posłała upoważnienie i błogosławieństwo; ty zawiadom hrabiego Piotra, że niebawem na stolicy bańskiej zasiądziesz...

Księżna Julia zrozumiała układającą się za kulisami operacyę, dowiedziała się, że operacyę tę prowadzi dwie takie, jak księżna Rakoczy i ojciec Mül-

ler, powagi i doznała czegoś nakształt zamętu w głowie. Zamiętu powód tkwił szczególnie „w przywiązaniu do osoby jej warunku” — w warunku, tyczącym się nie jej tylko samej. Gdyby o nią samę chodziło, bez wahania się dałaby folgę wstępowi, i nie szukając zastępy w obowiązku zaprzysiężonej wiary małżeńskiej, powiedziała wręcz, że się Leopoldem I brzydzi. Domyślała się jednak, że takie drażliwej tej sprawy postawienie odbiłoby się fatalnie na mężu jej, na rodzinie Zrinich i na całej tej sferze, co się w nich ogniskowała. Zaznaczyć przytem potrzeba, że od chwili, jak poznała cesarskie względem siebie sentymenta, uczuwać względem męża zaczęła spotęgowanie przywiązania i miłości. Gdyby cesarz był takim, jak ów, co się jej w płomyku lampy pokazał, kto wie, ażaliby twardo na punkcie wiary małżeńskiej stała. Tak atoli rzecz się przedstawiała inaczej.

Księżnej Rakoczy nie odpowiedziała nic, ale, jak się do niej przed chwilą z przyjazdem, tak się od niej obecnie z odjazdem śpieszyła.

— Uciekasz już... co?... — zapytała stara księżna tonem uprzejmości serdecznej.

— Muszę... Łaskawi odwiedzają nas...

— Gości was oblega dużo?

— Dużo — odpowiedziała.

— Solicytorowie... Tłum, co się do drzwi waszych ciśnie, ubiega się o twoje, moja najpiękniejsza, względy, przeczuwając w tobie potęgę... nowego Pompiliusza Egeryę...

— Nic z tego nie będzie — bąknęła księżna Julia.

— F?... — odezwała się przeciągle księżna Rakoczy, za ręce ją trzymając i w oczy jej z uśmiechem słodkim patrząc.

Młoda kobieta oburzona się czuła; oburzeniu jednak folgę w karecie dopiero dała. W popędzie pierwszym chciała o wszystkim męża zawiadomić; zanim atoli do domu dojechała, zmiarkowała się, po-

stanowienia nie powzięła żadnego, rzecz na delatę puściła, zresztą postąpić sobie nie mogła inaczej, zastawszy dygnitarzy kilku, których bawić trzeba było. Dzień na przyjmowaniu odwiedzających upłynął; wieczorem markiz ją zapytał:

— Masz list gotowy?... Jutro rano goniec odjeżdża...

— Słów kilka jeno dopiszę—odrzekła.

Znów do pisania zasiadła, siedziała, myślała i namyślała się. Ułożyła sobie plan postępowania. Za warunek—warunek. Na ślizką, co prawda, weszła drogę, zamierzyła bowiem ze stroną biegłą i potężną układy prowadzić, warunki stawiać, do niczego się nie zobowiązywać i do rezultatów pomyślnych dojść, ale drogi innej do wyboru nie miała. Albo, albo. Liczyła trochę na siebie, więcej na Opatrzność, list zakończyła, doniosła hrabinie Piotrowej sucho i krótko o nadziejach dla jej męża, list zamknęła, poleciła kameryerze, ażeby takowy gońcowi nazajutrz wręczyła i przed ułożeniem się na spoczynek gorąco i długo do Madonny się modliła. Modliła się szczerze, czuła się bowiem zagrożoną przez niebezpieczeństwo wielkie, do odwrócenia którego potrzebowała pomocy tej, którą Matką Niebieską zwała i za Orędowniczkę uciśnionych uważała. Sentymenty, jakie w cesarzu wzbudziła, przedstawiała sobie pod postacią utrapienia, zagrażającego zwalaniem zarówno ciała i duszy.

— Odwróć, Matko, odemnie ten kielich słodyczy mętnych... i nie dopuść utrapień blizkim moim...

Zalecało to dobrze kobietę światową. W sferze tej jakaż księżna nie stłumiłaby w sobie wszelkich dla człowieka tron zajmującego wstrętów? Tron! Ażebym doniosłość pojęcia tego zrozumieć, przenieść się potrzeba myślą w wieki owe i przedstawić sobie te blaski, tę potęgę, te uroki mistyczne, jakie od niego były. Nasi w linii prostej przodkowie osobę monarchy od tronu oddzielali — pierwszą za baj-bardzo mieli, przed drugim czoła chylili i dlatego zapewne

byli monarchistami wątpliwymi i republikanami nieo-
sobliwymi. W księżnej Julii zasada monarchiczna
ugruntowaną była mocniej, stąd opór, jaki się w niej
z góry przejawiał, miał znaczenie na zakarbowanie
karbem głębokim zasługujące.

List jej rano dostał się przedewszystkiem do
rąk markiza, który od chwili, jak jeszcze świtać nie
zaczynało, pisaniem był zajęty. Pisanie jego polega-
ło na przepisywaniu. Nie było to atoli kopiowanie
zwyczajne, ale przedstawianie liter w sposób taki, że
formowały się z nich wyrazy dziwaczne, z których się
szykował język niezrozumiały i niebywały. Sposób
ten, znany i dziś w rączkach pewnych pod nazwą „klu-
cza” praktykowany, posiadał w wieku owym zastoso-
wanie szerokie. Pisanie jednak kluczem stanowiło
w państwach niektórych przestępstwo kryminalne i do-
puszczało się wyjątkowo, za upoważnieniem specy-
alnym osobom wysokie zajmującym stanowiska. Upo-
ważnienie tego rodzaju posiadali: ban kroacki, pala-
tyn węgierski, wielkorządca Styryi, ambasadorowie
i inni. Ci kluczem korespondencyę pomiędzy sobą
i z osobistościami przez siebie w misjach specy-
alnych delegowanymi prowadzić mieli prawo, pod wa-
runkiem atoli złożenia klucza w rękach wielkiego
kanclerza państwa, który miał w celu tym osobne
pod ręką biuro. Warunku tego markiz nie dopełnił
i dopełnić nie mógł dla racyi bardzo prostej. Prawo
klucza mu nie przysługiwało. Mimo to posługiwał
się takowym. Listy popisał bruliony popalił, koper-
ty z papieru grubego powykrawywał; następnie listy
swoje i żony wielką pieczęcią popieczętował, adresy
pleno titulo ponapisywał i wszystkie razem do torby
skórzanej włożył. Torba, mocno uszyta, zaopatrzoną
była w zamek. Markiz zamek zamknął, klucz do kie-
szzeni schował i w dłoń klasnął. Na klaśnięcie w ra-
mach drzwi pojawił się hajduk.

— Goniec—rzekł.

— Hajduk zniknął i w chwilę później do kom-

naty wkroczył huzar w wysokich z ostrogami butach, w burce i kołpaku; przy boku mu wisiała szabla, z za pasa sterczały głównie pistoletów.

— Gotoweś do drogi?—zapytał markiz.

— Koń stoi osiodłany—była odpowiedź.

— Masz-że, oto—zaczął markiz biorąc ze stołu w czworo złożony papier — glejt dla ciebie... schowaj go w zanadrze, ażebyś miał do pokazania na zawołanie każde... A oto — dodał, torbę mu wręczając — posyłka... Nie potrzebuję ci zalecać, ażebyś jej pilnował, jak oka w głowie...

— Słucham—rzekł huzar.

— Glejt — ciągnął markiz — przez gubernatora podpisany i opieczętowany, więc cię nikt nie zatrzyma.. bylebyś się nie upił... Upij się w Czakowcu dopiero...

— Słucham—powtórzył huzar.

— Oto pieniądze na drogę... Konia karm, sobie nie żałuj na słoninę, paprykę i chleb, *boru* pij w miarę, ale *palewki* ani wachaj...

— Słucham...

— Koń pewny?—zapytał.

— Tatar... ten, com go pod Zrinigradem zdobył: nogi żelazne, piersi jak brama, zad jak u kanonika, łeb jak u barana...

— Jedź że z Bogiem i w drodze nie marudź...

— Słucham — raz jeszcze powtórzył huzar, na miejscu się zwrócił i wyszedł.

Koń osiodłany w rzeczy samej czekał. Jeździec popręg spróbował, wędzidła w pysk koniowi włożył, za czuprynę go pociągnął, ze stajni wyprowadził i przed włożeniem nogi w strzemię, po niebie okiem powiódł.

— Wypogodzi się, czy nie?—zapytał gapiących się przed stajnią pachołków.

— Kto to wie—odparł jeden.

— Toż namoknę, zanim dojadę!...

— W Czakowcu się przy ogniu osuszysz i przy Marionie zagrzejesz...

— Przedewszystkiem się upiję, jak Pan Bóg przykazał—rzekł, na konia wsiadając.

Przeżegnał się, trzy razy dla odpędzenia uroków splunął i ruszył.

W przejeździe przez miasto nie spotkało go nic osobliwego. Jechał stępem po chlapanicy; niekiedy z pod kopyt końskich woda w bryzgach tryskała; przedmieście minął, do rogatki dotarł i tu *halt!* usłyszał. Drogę mu zastąpiło strażników kilku.

— Zkąd?... dokąd?...

— Z miasta za miasto... Nie widzisz? — odpowiedział.

— Takich, co tak odpowiadają, nie puszczają z powrotem — rzekł ze strażników jeden przy pysku końskim stanowisko zajmując.

— Nie puścisz ty mnie? — odparł huzar tonem drwiącym.

— Nie puszczę, póki nie odpowiesz po ludzku...

— Ja ci odpowiem nie po ludzku... Głejt pokazuje i ty, chociażżeś człowiek niby, nie przeczytasz, a ja pojedę sobie...

— Kiedyś z glejtem, to w daleką jedziesz drogę — strażnik na to. — Więc, *pajtasz*, z konia zsiądź i do kapetana chodź...

— Zsiądę i pójdę, co mi tam, a ty mi konia tymczasem pótrzymaj...

Rzekłszy to, huzar nogę prawą przez grzbiet koński przerzucił, na lewej się na ziemię osunął, na strażnicę wszedł i głejt z zanadru wydobywszy, przełożonemu wręczył. Ten ostatni na papier jeno okiem rzucił, wnet do strażników wyrazów kilka po niemiecku przemówił. W momencie tym huzar ujrzał się otoczonym. Pochwycić go, związać i powalić było dziełem chwili jednej. Jął się wrzeszczeć: „głejt!” — głębę mu zawiazano, na strażnicy przez pół godziny

przetrzymano, następnie na wóz wyniesiono, płaszczem niby nieboszczyka przykryto i powieszono.

Jazda nie trwała długo. Huzar, gdy go z woza zdjęto i oręż mu i torbę zabrawszy, pod ręce poprowadzono, poznał, że się znajduje w murach więzienia.

Na korytarz go długi wprowadzono i przez jedne ze znajdujących się tam drzwi do celi wtrącono.

W celi, jak skoro się obejrzał, ujrzał postać jakąś i usłyszał imię swoje.

— Janasz!... tyś tu?...

— A no... — odrzekł, poznając towarzysza niedoli zarazem z głosu i z postaci. I pan porucznik tu? *Servus...* Zkądże?..

— Z Czakowca...

— A ja do Czakowca... Ściągają nas, jak widzę, ztąd i ztąd... Kiedyżeś pan szwabom w ręce wpadł?...

— Wczora...

— Rano?...

— Wieczorem późnym...

— No... no... Tfu!...—splunął.

XVII.

Agenci polityczni.

W Czakowcu, po wyjeździe księstwa Frangopano, czuć się dała próżnia. Powód onej odnosił się nie do markiza i nie do krewniaka jego, ale szczególnie i wyłącznie do księżny. Ubytek jej miał podobieństwo do ubytku dzieciny najmłodszej w łonie rodziny licznej.

Niby to pełno a próżno. Nie stało istoty, która wszystkich zajmowała pomimo, że sama odgrywała rolę bierną i zaznaczała się jeno obecnością swoją; zaznaczała się jednak tak, że się nią troszczyli wszyscy razem i każde z osobna; uśmiechali się do niej, wdzięczyli; interesowali się nią, zachwycali; dla starych i młodych stanowiła ona przedmiot myśli i postrzeżeń ustawicznych; karbowano sobie jej uśmiechy, odzewy, skrzywienia, chimery; wybaczano jej przykrości największe, a uczuwano dla niej wdzięczność za najmniejszą z jej strony przyjemność i, gdy jej nie stało, gdy ją naprzykład, na mamki oddano — dziadek, babka, ojciec, matka, wujaszkwowie, ciotunie, braciszkwowie, siostrzyczki, służba płci obojej i domownicy wszyscy oglądają się za nią i powiadają „niema”. Przez ubytek ten stała się próżnia.

Podobną bardzo w zamku czakowackim próżnię sprawił ubytek księżny Julii.

Niedługo bawiła, nie zajmowała osobą swoją miejsca więcej, jak osoba każda inna, mimo to zapełniała budowlę obszerną. Zapełnianie to było uzupełnieniem, było harmonijnem tego obrazu, jaki układała rodzina Zrińskich, wykończeniem, tego wieńca, jaki się w niej i przez nią uwijał zaakcentowaniem. W obrazie, w wieńcu owym miejsce zajęto było piękno doskonałe. Zanim się pojawiło, panowała pełnia; gdy jednak ubyło, zrobiła się próżnia, która się dotkliwie czuć dawała każdemu i każdej.

— Niema jej... — myślano i powtarzano.

Piękno w społecznem, w towarzyskiem, w rodzinnem życiu odgrywa rolę niezmiernie ważną, rolę, która całkowicie a bezzględnie kobiecie przypada.

Rola ta w zamku czakowackim pozostawała nie zajęta. Hrabina Mikołajowa pretensyi do niej nigdy nie miała; hrabina Piotrowa już przekwitła; hrabiaka Helena niedokwitła jeszcze, pączkiem była, nie posiadała ani tej pewności siebie, ani tego wdzięku, ani

tęgo uroku, jaki jest następstwem świadomości rozkwitu zupełnego. Hrabianka błyszczała, księżna jaśniała i olśniewała. Ta to jej jasność olśniła cesarza; w Czakowcu zaś pozostała w postaci wspomnienia, które rozkosz sprawiało i żal wywoływało.

— Czemu odjechała?...

— Czemu nas pozbawiła siebie?

W sposób ten żal wyrażali hrabia Mikołaj, hrabia Piotr, książę Marek nawet. Ze strony niewieściej wyraz ów brzmiał równie silnie i szczerze, a to dlatego zapewne, że ze strony tej nie było miejsca na zawiść. Obie hrabiny chętnie pierwszeństwa księżnie ustępowały; hrabianka zaś wujenką się zachwycała, znajdując w niej zachwycającem to mianowicie, że koronę swoją nosiła tak, jakby nie wiedziała, że głowę jej wieńczy.

To też, po wyjeździe księżny, mowa o niej była ustawicznym prawie rozmów przedmiotem, a byłaby wyłącznym, gdyby nie spodziewany zjazd, którego moment zbliżał dzień każdy upłyniony.

Spodziewanie zjazdu szło o lepsze ze wspomnieniem o księżnej i powoli, nieznacznie brało nad tem ostatniem górę. Taką jest kolej rzeczy ludzkich. Smutki najsroższe, żale najcięższe, wspomnienia najdroższe zacierają się z czasem w deptaku zajęć powszednich. Tu zaś nadchodziło zajęcie powszednie. Zjazd pod pretekstem łowów jesiennych zwołany miał znaczenie doniosłości wielkiej. Miał to być rodzaj sejmu i zarazem sprzysiężenia, mającego na celu wyzwoleń chrześcijaństwa z pod nacisku tych opiek, co się narzuciły, ochraniać go od ciosów nie umiały i oddychać mu swobodnie przeszkadzały. Walka państwa niemieckiego z państwem otomańskim była parciem się jednego na wschód, drugiego na zachód i odbywało się na grzbiecie i ze szkodą tych narodów, co pomiędzy dwoma temi państwami stanowisko pośrednie zajmowały, a nie mogło się parciom bronić

dlatego tylko, że bytowały w odosobnieniu. Ztemu temu, oddającemu narody życia i zalet pełne na państwą Niemcom i Turkom, zjazd zaradzić za zadanie miał. Zadanie to przeto ze względu na ważność swoją, w cień usunąć wspomnienie o księżnej i żal po niej zneutralizować musiało. Nie przeszkadzało to jednak temu, że się ona przypominała. Przychodziła szczególnie na myśl zawsze, gdy przedstawiano sobie w wyobraźni ustrój uczt. W ustroju tym przedstawiał się tron dla królowej przeznaczony. Nie było na nim kogo posadzić. Królowa uczt ulotniła się. Należało jednak z losem się zgodzić i bez niej się obchodzić.

Przygotowania wzrastały w miarę, jak się zbliżał moment zjazdu, którego epoka oznaczona dokładnie pozwalała przygotowania regulować. W regulowaniu ich zachodziło podobieństwo do kipienia wody. Przed wrzeniem ciągnie się długie szypienie, które ucicha nagle przed momentem najpierwszego zawrzenia. Moment taki nastąpił w przygotowaniach. Rzemieślnicy, którzy się w zamku i dokoła zamku roili, pozabierali narzędzia, pozdejmowali rusztowania, ościli miejsca roboty i usunęli się, zostawiając po sobie ślady w odświeżeniach, malaturach, złoceniach, przystawkach i na nowo dokonanych budowlach. Na podwórku zamkowym stanęły galerya z wystawą i teatr dla komedyantów i kuglarzy; na zewnątrz zamku, na błoni—szopy długie, przeznaczone dla pojazdów, koni i pachołków gościnnych, jako też dla huzarów, dragonów i ludu pieszego, pozostającego w służbie hrabiów Zrinich. Do każdego z działów, na jakie się rozpadało zadanie podejmowania gości, wyznaczeni zostali z góry przystawi, obowiązani czuwać nad porządkiem. Na zewnątrz zamku rozporządzał się kapitan, wewnątrz — majordomus. Pierwszy wykonderowywał na służbę i dyżur, drugi maszyneryę służbową w ruchu utrzymywał i miał pod rozporządzeniem swoim kucharzy, kuchcików, pachołków roz-

maitego rodzaju, kredencerzy, piwnicznych, dworzan, jako też wykomenderowanych przez kapitana hużarów do obnoszenia półmisków. Huzary we względzie tym odgrywali na Węgrzech rolę taką, jak kozacy w Polsce: służyli do boju i do stołu. Wszystko to zorganizowane, przysposobione, przeciwiczone zostało przed tem, zanim się goście zjeżdżać zaczęli. Po wykończeniu czynności tej nastał moment uciszenia, przerwany nie nagle, jak uciszenie wody co wrzenie poprzedza, ale napływem stopniowym.

Napływanie gości rozpoczęło się od przybycia jednego z książąt kościoła, biskupa z Węgier górnych. Przybycie to sprawiło zdziwienie niejakie. Biskup ów uchodził za osobistość podejrzaną, luboć podejrzaną bez dowodów, na tej jeno podstawie, że się na biskupa nadawał, jak, nieprzymierzając, wół do karety. Z racyi tej nieprzesłaną mu została inwitacya wyraźna; niewyraźna zaś doszła do niego, jak do wielu innych dlatego, ażeby w sposób ten zamaskować zjazdu cel istotny. Tego rodzaju gości spodziewano się, później jednak, jeżeli nie pod koniec, to w momencie, w którym obrady ustąpią miejsca ucztom i zabawom. Na moment ów on się właśnie nadawał, pożądanym był nawet z powodu zacięcia i humoru, z jakim jadał i pijał. Prawiąc dykteryjki i sypiąc żarty, w stanie był od niechcenia spożyć szczupaków, karpi, sumów funtów dziesiątek, ćwierć jesiotra, podświnka całego z kapustą, misę paprykaszu z drobiu z hałuszkami i wypić półtora garnca wina. Odpowiednio też wyglądał. Tusza wielka przy wzroście małym czyniła go podobnym do beczki, policzki mu się świeciły, jakby oliwą smarowane, oczki jaśniały i z głębi zalewającego je tłuszczu strzelały wyrazem, wedle jednych, dowcipu, wedle drugih, przebiegłości, wedle innych, chytrłości. Ci ostatni wskazywali na jego z Jezuitami stosunki. Nie stanowiło to jednak dowodu: któż bowiem z Jezuitami, co się wszędzie pchali i wszystkich, prałatów zaś wła-

szcza, oblaźili, w stosunkach, *volens, nolens*, nie pozostawał?

Prałat ów tedy przybył najpierwszy.

Kiedy się, zwiastująca przybywanie jego, trąbka ozwała, zabrzmiała niby hasło zakończenia wyczekiwania i wywołała ciekawość: kto jedzie? Ciekawość obudziła się przy stole—obiadowano. Hrabina Mikołajowa odezwała się:

— Minut kilka wcześniej, byłby z nami obiad rozpoczął ..

Kazała wnoszenie dalsze dań powstrzymać i początkowe powtórnie z kuchni przynieść, jak skoro gość miejsce zajmie.

— Rzecz ciekawa: kto zjazd rozpoczyna... — ktoś rzucił.

— Czy nie Wesseleny?...—ktoś zapytał.

— Takby wypadło, ale... Wesselenyego tak wcześniej spodziewać się nie można... — była uwaga, którą jeden z obecnych uczynił...

— Czemu...—odparł pytający.

— Nie domaga, a przytem czasem swoim dowolnie nie rozporządza...

Z punktu tego poszły odgadywania, wszystkie o sto mil od dostojnego prałata oddalone. Z powodu tego ukazanie się jego sprawiło zdziwienie. Gospodarz wyszedł na spotkanie i z nim powrócił. Biskup toczył się przodem; na wysokość środka stołu doszedłszy, stanął, ramiona podniósł i głosem tragicznym zawołał:

— Głodnym!...

— Jezus Marya!... — krzyknęła z przerażeniem hrabina Mikołajowa.—Czemże ja eminenecyę waszą posile?... W połowie obiadu jesteśmy...

— To nic...—odrzekł zasiadając. Połowa druga posłuży mi jako prolog, który będziemy ciągnęli... ciągnęli... aż wytoczy się na stół sztuka jaka, którą—dodał głowę przed hrabiną pochylając — miłościwa pani łaskawie przyrzadzić rozkaże...

— Jakiej sztuki, eminencya, życzyłbyś sobie?...

— Jakiegokolwiek, chociażby niepokażnej, byle ważkiej... Przejeżdżając, widziałem zdala na błoniu szopę, przed szopą ognisko, a przed ogniskiem obracanego na żerdce barana...

— Huzary pieczone sobie przyrządzają... — bąknął kapitan Bukowacki.

— Jeżeli je czosnkiem naszpikowali — odparł prałat — mogłaby się od ogniska przenieść pomiędzy nas na stół i uzupełnić świetnie obiad...

Hrabina na posługacza skinęła i kazała mu pójść do szopy po udziec barani, dając wzamian za niego huzarom odpowiednią ilość słoniny.

— Nie udziec, miłościwa hrabino... nie udziec — zareplikował biskup. Co Pan Bóg złączył, tego nie dzielimy... unikajmy obrazy bożej...

— Więc oba udźce...

— Znów grzeszne dzielenie...

— I cąber... — dodała hrabina.

— I łopatki przednie... — poprawił prałat.

— Chyba przeto barana całego?... — zapytała.

— Pewno... — odrzekł. Tymczasem zaś... *in nomine patris et filii*.

Przeżegnał się, kielich gorzały wychylił i wziął się do uprzątniania z talerza postawionej przed nim polewki optęprzonej. Po tej nastąpiło danie, po którym domownicy z gościem do spółki obiad kontynuowali. Ciąg ten dalszy odbywał się wesoło. Ksiądz, płodząc koncepty i podżartowując z księdza Marka, który niewiele jadł i mało pił, zmiatał talerze, wychylał puhary i wzdychał do baraniny. Nareszcie baran pieczony wniesiony został na blacie i postawiony przed prałatem.

— A, bądź pozdrowioną, pieczeni, przypominająca praocjów naszych czasy heroiczne!.. — odezwał się tonem deklamacyjnym. Kto mi pomoże?...

Na zapytanie to odpowiedziało milczenie, które przerwał hrabia Mikołaj.

— Wasza wielobność może się bez sprzymierzeńców obejdziesz...

— Ha!.. poświęcę się... Sprawa ta znanadto jest dobra, ażeby się wobec niej na sprzymierzeńców oglądać...

Błat przysunął i jął się, od przodu zaczynając, pieczeń spożywać. Krajał i jadł. Wyeksperyował łopatkę przednią, żebrę, cąber, udo jedno, udo drugie; pozostawiał ogon, o który na drugim końcu stołu zawiązała się sprzeczka.

— Biskup ogon zostawi...—rzekł jeden.

— Nie zostawi...—odrzekł drugi.

— Zostawi...

— Nie zostawi...

— Zakład... o co?...

— O pacierze... — odpowiedział biskup, który słyszał ten półgłosem prowadzony spór. Z okazji każdej korzystać należy, celem przysparzania chwały bożej... Przegrywający zmówi siedem, wygrywający trzy pacierze, ja zaś... ogon zjem...

Rzekłszy to, odsapnął, haust wina pociągnął i do aktu ostatniego przystąpił. Z ogona niebawem kosteczki jeno pozostały.

— *Consumatum est*...—rzekł.—Gdyby takimi, jak ja, byli wszyscy spodziewani biesiadnicy, zjazd zrobiłby szeroki w fortunie hrabiów Zrińskich wyłom... Nie w tej jednak intencji—do hrabiego Mikołaja mowę zwrócił—z przyjazdem się pośpieszyłem, ale w tej, ażeby stanowisko z góry zająć...—Dostojność wasza—ku hrabinie głową skinął—wie już, com zacz, spokojny więc jestem o siebie... Głodu się nie lękam... Wy mnie będziecie żywili, ja wam będę czoła rozchmu-rzał...

Usta złożył, dwoma palcami je przycisnął i pomiędzy palców zagwizdał czardasza, któremu, podczas gdy gwizdał, odpowiadały od czasu do czasu przy stole okrzyki.

— Hu ha!...

Kobiety się na siedzeniach kręciły od ciarek, co im po za skórą przechodziły.

Gwizdanie skończył, wstał, ruszyli się wszyscy i oczekiwali na odmówienie modlitwy dziękczynnej. Lecz biskup ku kapelanowi głowę skinął:

— Twoja to powinność i twoje prawo, wielebny...

Ksiądz Marek, jak zwykle, w głos odmówił po łacinie modlitwę—obiad się skończył.

Taki to najpierwszy zawitał gość. Powiedzieć należy, że się on nadawał, jakkolwiek bowiem przygotowane były różnego rodzaju rozrywki, powołane do bawienia, rozrzewniania i śmieszenia, zabawa szwankuje, gdy wesołość nie tryska z pomiędzy samychże biesiadników. Prałat był tym żywiołem, co tryskanie wesołości z góry zapewniał. Przyjechał on w towarzystwie kapelana swego, słusznego, chudego i miczącego, a nazywającego się pater Hieronimus. Pater nosił w kieszeni brewiarz z przystosowanym pugilaresem i ołówkiem...

Po biskupie ściągać się zaczęli goście inni. W tym dniu jeszcze nadjechał Barkoczy i Nadasdy, nazajutrz Tekiely, Bathani, Janowicz, Pejacewicz i inni. Jedni przybywali sami, ze służbą jeno, niektórzy konno, inni przyjeżdżali w towarzystwie żon, córek, synów, krewnych albo znajomych blizkich. Zjeżdżali się więc przedstawiciele płci obojej starzy i młodzi, ci wprost dla wzięcia udziału w ucztach i łowach, ci w widoku powzięcia postanowienia w sprawach publicznych, ci w celach wyległych w mózgach fantastyecznych, na których nie brakło w koronie węgierskiej. Jakiś naprzykład szlachcic z okolicy karpackiej, skoligacony z domami polskimi, tego był przekonania, że się zawiązuje konfederacya czakowacka, nie wiedział jeno przeciwko komu: przeciwko Leopoldowi I, przeciwko Janowi Kazimierzowi, czy przeciwko sułtanowi; jechał jednak z postanowieniem

przystąpienia do konfederacyi i dlatego przywiózł z sobą Bernardyna ze Lwowa.

W gronie przybyłych nie brakło na Bernardynach, Kapucynach, Benedyktynach, Franciszkanach i rozmaitego rodzaju braciszkach. W wieku onym dwory panujące i możnowładcze w sferze tej rekrutowały agentów politycznych. Braciszkwowie zakonów zebrzących snuli się po świecie, jedni za jałmużną, drudzy sprawując interesy i gromadząc wiadomości. Dwór francuski za pomocą agentów tego rodzaju podtrzymywał niepokoje na Węgrzech. Na wieść przeto o zjeździe w Czakowcu ciągnęli oni, niby kruki na żer, z Węgier, ze Styryi, z Czech, z Polski. Jakiś pater Deodatus, polonus, przyszedł *per pedes apostolorum*, mieniając się wysłańcem kasztelana Gembickiego, umocowanym przezeń do szukania po świecie dla Polski króla. Dla wysłańców tego rodzaju wyznaczono izbę osobną, napelnioną po okna słomą, która im za posłanie i okrycie służyła. Jak skoro który przychodził, wnet go tam prowadzono i wręczano mu miskę i kufel z informacją, o której dnia porze ma iść do kuchni po jadło i do piwniczego po wino. Ojcowie dostawali jadło i napój każdy osobno i spożywali, jak i gdzie któremu się podobało. Ten z miską lokował się w izbę, ów na wolnem powietrzu. O godzinie oznaczonej, ranną porą, hrabia im posłuchania udzielał. Wpuszczano ich do kancelaryi po jednemu. Pater Deodatus przedstawił się mu z kolei, wyrecytował pozdrowienie od kasztelana i przedstawił sprawę treściwie a wyraźnie. Osnowa onej hrabiego zafrapowała:

— Jakto, króla przecie maciel...

— Śmiertelny jest...

— Czy niedomaga?...

— Domaga ci on, ale... kres czeka go, jak śmiertelnika każdego, Polska przeto ma przed sobą elekcję...

— Uhm...—hrabia na to.

Elekcya polska obchodziła go, jak wiemy.

— Kasztelan przeto?...—zapytał.

— Zawołać mnie do siebie kazał, miodem utraktował i powiedział: „Księżę Deodacie, włóczęsz się po krainie węgierskiej, nie mógłbyś tam wypatrzyć kandydata jakiego, z któregoby był pożytek ojczyźnie i chwała Bogu. Mielśmy ztamtąd sławnej pamięci króla Stefana. Muszą się tedy królowie tacy poławiać raczej tam, aniżeli gdzieindziej, mieliśmy bowiem Francuza... uciekł, mieliśmy Szweda, który nam licha na głowę nawołał takiego, że gdyby nie Matka Boska Częstochowska, nie byłibyśmy się odkaraskali od szwedzkiej imprezy; Węgier zaś dopisał nam jak należy”...

Hrabiemu nie wypadało powiedzieć: „Ja kandydatem jestem”; powiedział przeto:

— Możeby się znalazł kandydat, jakiego kasztelan sobie życzy: wielkiego i sławnego, sławniejszego nawet aniżeli Batorych rodu.

— Oto to...—zakonnik na to.

— Ogromnej fortuny...

— Właśnie...

— Statysta i wojownik...

— I to się przyda, a przynajmniej niezawadzi...

— Dobry katolik...

— Co to... to nie.. —odparł braciszek.

— Jakże!... przecie kasztelanowi o chwałę bożą chodzi...

— Szczególnie, a nadewszystko, albowiem: kto z Bogiem, Bóg z nim...

— Państwu więc katolickiemu katolika na króla potrzeba...

— Nie inaczej, *excellentissime*, i dlatego kasztelan powiedział do mnie: „Na ziemi węgierskiej pełno kalwinów i Turków... wypatrz, księżę Deodacie, kandydatata pomiędzy kalwinami albo Turkami”...

— Ale jakże... — wykrzyknął hrabia zdziwiony. Kalwin?... Turek?...

— Nawróci się, *excellentissime* i... wielka będzie radość pomiędzy aniołami bożemi...

Wyrazy te wymówił z podniesionemi do góry dłońmi i oczami.

Hrabia usta zacisnął, przez nos odsapnął i mruknął:

— Hm...

Ksiądz prawil:

— Wśród kalwinów są panięta z rodu i fortuny; wśród Turków szlachectwo wątpliwe, kasztelan przeto nakazał mi poczynać sobie z nimi ostrożnie i zasięgać we względzie tym u miłościwości waszej rady, nieprzystojnieby bowiem było, gdyby na tronie polskim zasiadł, broń Boże, nie-szlachcic, jak przeciwnie, byłoby to z wielką dla narodu polskiego chwałą i z nieobliczonym tu na ziemi i tam w niebie pożytkiem, gdyby zasiadł szlachcic z antenatów, Turek na świętą wiarę katolicką nawrócony...

— Hm... — odparł hrabia.—U Turków wogóle szlachty niema...

— Są, co mają za antecesorą owego proroka niby, Mahometa... Czyby się nie udało jednego z potomków jego skaptować?...

— Trudno... trudno i niebezpiecznie... Kto zaręczy, że czy to kalwin, czy też Turek nawrócony nawrócił się szczerze...

— Szczerze czy nie szczerze, byle się nawrócił... Przystawiłoby się do niego dozór taki, iżby raz na tronie polskim tak musiał tańczyć, jak mu grają...

— Moja rada: nie spuszczać się na to—odrzekł hrabia — a raczej, gdy o kandydata chodzi, zwrócić się do takiego, co, łącząc w sobie przymioty rodu, fortuny, rozumu i serca, nawracanym być nie potrzebuje.., Wszak się Stefan Batory nie nawracał...

— To prawda...—wtrącił mnich.

— Nie nawracał się i Zygmunt Waza...

— Ale byłby się nieochybnie złutrzyć musiał, gdybyśmy go byli nie obrali...

— Nie nawracał się jednak i jeżeli poprzednikowi swemu na tronie nie wyrównał w przymiotach innych, to mu nie ustąpił we względzie gorliwości religijnej... Nie należy przeto we względzie tym, takim ważnym, na hazard rzeczy puszczać...

— Przedstawiam rzecz wedle polecenia kasztelana Gembickiego...—zareplikował ksiądz Deodat.

— Powrócisz więc, księżę, do kasztelana i przedstawisz uwagi moje przyjacielskie...

— Uczynię to, *excellentissime*, i mam nadzieję, że... ubóstwo moje — tu ręką ku kolanom hrabiego skinął—wspaniałomyślnie na peregrynację tę powrotną zaopatrzyć raczysz...

— Z podróżą wstrzymaj się jeszcze... Może się do uwag i imię kandydata doda...

— Byle imię to—podchwycił mnich — *anagrammatice* dobrą brzmiało wróżbą. To ważne, o! to ważne: kasztelan mi to zalecił szczególnie...

— Zobaczymy... tymczasem zaś rozgość się w domu moim — odparł hrabia i zapytał: — Czy ci nie brak na niczem?...

— Na czemże?... Z łaski bożej i waszej, *excellentissime*, na słomie się wyleguję i misę stawy dostaję; tylko — tonem prośby dodał — miskę wyszczerbił... gdyby mi ją odmienić...

Hrabia służebnika przywołał i taki mu rozkaz dał:

— Braciszka tego ulokować w izbie z pościelą, wziąć go na stół służebny i pamiętać, ażeby był syty...

— I napojony—wtrącił mnich pokornie.

— Cztery kufle wina wyznaczyć na niego...

— Jagierskiego?—zapytał z przymileniem.

— Niech i tak będzie—hrabia na to i dodał:— Niech tam o nim będzie staranie i pamiętanie szcze-

gólne, ażeby miał do woli jeść i pić przez czas swego w Czakowcu pobytu...

XXVIII.

Anagrammatice.

Zaroił się zamek czakowacki gośćmi i agentami politycznymi, osłaniającymi się maską, która z powodu, że za często i przez wielką ilość ludzi wkładaną bywa, nie osłaniała należycie. Z pod habitów przeglądaly rogi. Lepiej osłaniał się biskup Istwan, ów prałat, o którym mówiło się w rozdziale poprzednim. Za maskę służyły mu: apetyt i humor—jadł, pił, baraszkował i nasłuchiwał. Do nasłuchiwania natura wyposażyla go w narząd, którym były w sposób szczególny sformowane konchy uszne, odstające, na brzegach pozaginane i posiadające własność ruszania się. Dzięki temu chwycić mógł dźwięki zdaleka i słyszeć rozmowy półgłosem prowadzone. Tu mówił, tam słuchał, rozróżniając wyrazy wypowiedane naraz w dwóch, w trzech miejscach. W sposób ten często udawało mu się pochwytować nitki i wątki czynności, o którychby wiedzieć nie powinien, jedni bowiem wystrzegali się go, dla drugich był to człowiek lekkomyślny, na zaufanie nie zasługujący. Byli jednak tacy, co go zaufaniem obdarzali i wczesne jego do Czakowca przybycie do zaufania się onego odnosiło. Chodziło mu o rozpoznanie z góry gruntu i o zajęcie naprzód stanowiska obserwacyjnego o ile można najdogodniejszego.

Po obiedzie odprowadzono go do komnaty gościinnej. Jako dostojnikowi kościoła należała się mu

komnata oddzielna a jedna z lepszych. Podczas kiedy on przy stole siedział, znoszono pod okiem kapelana tłumoki jego i kapelan komnaty gościnne oglądał. Ta, do którego go zrazu wprowadzono, nie podobąca się mu.

— Nie—rzekł.—To nie dla jego eminencji...

— Najlepsza—odrzekł marszałek dworu.

— Zobaczmy inne...

Wybrał taką, której okno na krużganek frontowy wychodziło. Marszałek mu uwagę czynił, że jest mniej dogodną, on atoli na to nie zważał — do niej tłumoki znieść kazał i przy pomocy pachotków biskupich urządził ją na mieszkanie dla prałata. Przysposobiono pościel, rozłożono kobierzec, zawieszono u wezgłowia krucyfiks, poustawiano na stole sprzęty różne, i kiedy wielebność po obiedzie, celem wydychania się po jadłe, nadszedł, znalazł wszystko w porządku należyty.

— Uf... uf... — odsapnął razy parę, na krześle siadając. Cóż tam?—zapytał.

— Nic jeszcze—odpowiedział kapelan.

— Przyjechaliśmy w porę... no...

Prałat na siedzeniu się poprawił, nogi rozstawił, palce na brzuchu splótł i obracając młynca palcami dużemi, oddał się drzemce poobiedniej. Trawił. Jadając raz na dobę, a jadając dużo, potrzebował koniecznie godzinki do uregulowania maszyneryi żołądkowej. Po godzinie tej aż do obiadu w dniu następnym nie brał posiłku żadnego, popijał jeno wino z burkutom, co go czyniło rzeźwym i ruchliwym. Zresztą obchodzi nas nie jego sposób życia, ale sposób zachowywania się podczas pobytu w Czakowcu, a to celem zaznaczenia interesu, jaki w sferach rządzących wzbudzała osobistość Mikołaja Zrińskiego i stronników jego.

Prałat się przedrzemał, okno otworzył i wdychał powietrze świeże, zwracając uwagę na ruch na podwórzu. Czynił to od niechcienia, co z natury rze-

czy wypadło, ruch bowiem zamykał się w sferze domowników, przenoszących się z celem jakimś lub bez celu żadnego z miejsca na miejsce. Zatrzymał jeno dłużej nieco wejrzenie na przechodzącym powolnie żołnierzu, ale to nie dla czego innego, jeno dla szykowności młodzieńca. Żołnierz szedł i oglądał się. Biskup się zaciekawił: na co on patrzy? Zwrócił w kierunku tym oczy i mruknął do siebie:

— Ahm...

Pokazała się mu w przeciwległym oknie postać hrabianki. Przeniósł wejrzenie razy parę z hrabianki na żołnierza, z żołnierza na hrabiankę i uczynił uwagę następującą:

— Jeżeli się z Rakoczym targ dobija i kontrakt ułoży, to w kontrakcie tym mogą się znaleźć punkty ciemne... Rzecz to jednak wagi pomniejszej... Książęta korony noszą na to, ażeby mieli czem osłaniać rogi...

Żołnierz przeszedł, postać hrabianki zniknęła, czas jakiś nie było się czemu na podwórzu przypatrywać, aż słyszeć się dał odgłos zwiastującej gościa trąbki.

Ktoś nadjeżdża—rzekł do siebie. — Jedzie ten, coby był pierwszy, gdybym go nie uprzedził... Rzecz ciekawa, kto też to?

Odpowiedź na pytanie to nie dała na siebie czekać długo. Za murami na moście odezwał się turkot i tentent, w bramie ukazał się orszak jeźdźców, na których czele jechał chłop setny w dołmanie z futerkiem i złotem przeszywanemi potrzebami, w kołpaku z kitą; u boku mu wisiała w jaszczurowej pochwie szabla krzywa, u nóg mu dzwoniły rycerskie ostrogi złote.

— Nadasdi... *judex curiae*...— rzekł biskup sam do siebie i pilnie się przypatrywać jął.

Osobliwego nie wpadło mu w oko nic. Za orszakiem jeźdźców toczyło się kilka w cztery konie w leje zaprzężonych koczy węgierskich. Przewódca

orszaku przed kruzgankiem konia zatrzymał, zsiadł; na spotkanie jego wyszli obaj hrabiowie, Mikołaj i Piotr. Biskup uszy nastawił. Do słuchu mu doszły najprzód wyrazy powitania zwykłe, następnie zapytanie:

— Wesselenyi jest?...

— Niema jeszcze—odpowiedział hrabia Mikołaj.

— Tottenbach?...

— I jego niema....

— Przyjechać przecie mieli wcześniej, ażeby można było pomówić swobodnie...

— Zawsze się sposobność wyosobnienia znajduje—zauważył Piotr.

— Uhm...—zakarbował sobie biskup w myśli.

Hrabiowie z gościem weszli do wnętrza zamku; służba jęła się wypakowywać koczce.

W chwil kilka później wszedł do izby kapelan. Biskup do niego przemówił:

— Zanotuj Wesselenyjego, Tottenbacha i Nada-sdiego... umowa ze Zrińskimi na osobności...

Kapelan brewiarz z kieszeni wyjął, pod ścianą na stołku przysiadł i ołówkiem wyrazów kilka nakreślił.

Było to więc, jak widzimy, rekognoskowanie informacyjne, formalne. Czynność tę nazwaćby można inaczej, ale nazwanie inne ubliżałoby dostojństwu wysokiemu. Biskup się przeto trudził rekognoskowaniem, które prowadził z punktu każdego, na którym się wciąż dnia znajdował. Czynił to do spółki z kapelanem na dwa warsztaty. Sam obserwował sferę wyższą, kapelan krążył pomiędzy służbą; spostrzeżenia gromadzone zaciągały się do notatnika, przeznaczone na użytek, o którym oni dwaj jeno wiedzieli. Powtarzało się to w dniu pierwszym, drugim i następnych.

Przybywający agenci w habitach należeli do kapelana, który każdego z nich okiem badawczem

mierzył, jakby przez skórę przejrzyć chciał. Uwagi jego nie uszedł ksiądz Deodat.

— *Polonus*...—rzekł do siebie.—Po co on tu?... któremu teraz panu służy?...

Nie zapytywał go jednak. Natura, czy też metoda jego w obcowaniu z ludźmi na tem polegała, że z mówienia swego tryb pytający usunął absolutnie. Na pytania odpowiadał, sam atoli takowych nie zadawał, to nie innym, ale sobie. Z powodu tego należał do rodzaju małomównych. Zato słuchał dużo i chętnie. Do mówiących się podsuwał, nieopodal nich usiadał lub stawał, brewiarz wydobywał, otwierał, ustami ruszał, a ucho nastawiał. Widzieć go w pozycyi tej można było w miejscach różnych, a wszędzie niby od niechcenia. Nie podsłuchiwał niby, a podsłuchiwał i we względzie tym był on przedstawicielem wiernym wieku swego, w którym wzajemne pomiędzy ludźmi podejrzwanie się panowało ogólnie i prawda chodziła z obliczem zasłoniętem. Za pomocą zapytania wręcz dowiedzieć się o niej było więcej, aniżeli trudno. Podsłuchujących było dużo. Szpiegostwo w pierwotnej postaci swojej nadawało akcent stosunkom pomiędzy ludźmi, mianowicie zaś w sferze działalności politycznej. Na podsłuchach był z braciszków każdy. *Polonus* we względzie tym wyjątku nie czynił: i on ucho nastawiał, z myślami się krył, ale należał do rodzaju pytających. Chodziło mu szczególnie o imiona chrześne przybywających gości. Jak skoro nowy jaki do zamku zawitał magnat, wnet się dowiadywał:

— Jak się nazywał?... Jak mu na imię chrześne?...

Nazwisko mu zazwyczaj powiadano. Taki a taki: Karoly np., Nadasdy, Esterhazy, Palfy etc. Z imieniem jednak szło trudniej. Nie każde każdemu było znane i tylko jeden kapelan biskupa Istwana nie zawodził we względzie tym ciekawości braciszka *ex Polonia*. Z powodu tego ten ostatni kapelana się

trzymał, szukając go, ile razy trąbka zwiastowała przybywanie gościa nowego.

— Jak się nazywa?...

— Tak a tak.

— Na imię mu chrzestne?...

Kapelan powiadał i braciszek *polonus* na stronę się usuwał, pod mur w miejsce zawsze jedno i toż samo, w którem wysypanie piaskiem przedstawiało powierzchnię gładką, szedł, siadał i patykiem coś na piasku kreślił. Rzecz prosta manewr ten baczności kapelana nie uszedł.

— Co to *polonus* robi?...

Dowiedzieć się byłoby łatwo, gdyby braciszek, z pod murów odchodząc, śladów roboty swojej nie zacierał. Obserwując ślady te, kapelan dostrzegał jeno litery pojedyncze, z których sensu wywiązać nie umiał. Spróbował więc pod murem przysiąść się do braciszka, podszedł, brewiarz wydostał i, z pod oka obserwując, dopatrzył, że on napisał najprzód imię: Emericus. Było to imię gościa, którego w tej właśnie chwili gospodarz, na krążganku witał. Braciszek imię to napisał i rzuciwszy na pogrążonego w czytaniu kapelana okiem, napisał je pod spodem odwrotnie; wypadło: Sucireme. Następnie litery wyrazu pierwszego zestawił z literami drugiego i nakreślił wyraz trzeci z tych samych co pierwszy liter. Dalej za pomocą takiego zestawienia nakreślił wyraz czwarty, piąty, szósty i t. d., bez końca.

— Uhm... — mruknął do siebie w duchu kapelan.

Dowiedział się, co robi braciszek *polonus*.

Sztuka układania anagramów należała w wieku siedemnastym do sztuk, posiadających znaczenie mistyczne i z racji tej cenionych wysoko. Przyczyniła się ona, jeżeli nie do wyniesienia na tron polski, to do usprawiedliwienia wyboru Michała Korybuta, z którego imienia „Michael” uczony jakiś ułożył anagram: „Jam Lech” i wyszukał przyjscia jęgo proro-

ctwa w Tacynie. Odkrycie też to ucieszyło szlachtę niezmiernie. Kapelan odkrył tajemnicę roboty braciszka i zanotował ją sobie w myśli, albowiem odkrycie to połowicznym dopiero było. Braciszek układa anagramy — w jakim celu? Kapelanowi nasunęło się zadanie ważne, do rozwiązania którego w ten przystąpił sposób, iż sobie do odmawiania modlitw wybrał miejsce pod murem tuż obok miejsca tego, na którem ksiądz Deodat na piasku przyszłość Polski budował i zajmował je, ile razy gość nowy na zamek przybywał. Dzięki temu pomiędzy dwoma tymi agentami ułożył się i uregulował stosunek. Braciszek jak w dym pod mur szedł, o imię się zapytywał i do roboty się brał.

Pomiędzy gośćmi w piątym, czy szóstym dniu zajazdu trafiła się postać, która wszystkich zaciękała, pomimo, że był to jeden z bliższych sąsiadów, Turek z Kanisy. Kanisa, ufortyfikowana i w garnizon silny zaopatrzona, znajdowała się w posiadaniu tureckiem. Dowodzący w niej pasza miał, jako bejlerbej, za zadanie dozorowanie granicy i ściąganie informacji o tem, co się za granicą dzieje. Żywo przeto interesował go zjazd w Czakowcu. Hrabia go z grzeczności sąsiedzkiej na łowy zaprosił, on się jednak do wzięcia osobiście w zabawach udziału „grzecznie” wymówił i odpowiedział, że na miejscu swoim przysła jednego z bejów. Obok tego wyprawił do Czakowca agentów, Greków i Ormian, którzy sklepiki galanterijne pootwierali i wyszynki pozakładali. Bej wystąpił ostentacyjnie, przyjechał na czele orszaku, złożonego ze spahistów, a poprzedzanego przez deliego, odzianego w świecidła, w kołpak błazeński, w lisie ogony, wykrzywiającego się na koniu i wotującego na bębenku surmaczom, piszczałnikom i tołumbasistom, sprawiającym hałas ogromny. Sam bej na dzielnym siedzący koniu, odznaczał się strojem jaskrawym i postawą rycerską. Gdy orszak jego na podwórzec zamkowy wkraczał, służba pogarnęła się

ciżbą. W ciżbie tu i tam przerzucały się habity. Obecny był i braciszek *polonus*, patrzył, zagapił się, zapomniał narazie o nazwisko zapytać — przypomniał to sobie później, obejrzał się i zoczywszy w modlitwie zatopionego kapelana pod murem, do niego wprost się udał.

— *Reverendissime*, jeżeli ci nie bardzo przeszkodzę, pozwól zapytać siebie...

— Pytaj...

— Wiem, że przyjechał Turek, ale nie wiem, co za jeden...

— Bej...

— A... bej... szlachcic... No... Jak-że się zwie?...

— Sapit...

— Hm?... To coś od *sapio... sapientia...* Hm?— głową wstrząsnął.— A jakże mu na imię chrzestne?...

— Turcy się nie chrzczą...

— Ano... jać to wiem... Aleć... przecież i u nich: co nazwisko, to nazwisko, co imię, to imię...

— U nich nazwisk niema...

— Jaktol — wykrzyknął ze zdziwieniem. — Ani u szlachty?...

— Ani u szlachty...

— I dlaczegoż to tak?...

— Zwyczaj taki...

— Uhm...—mruknął braciszek.—Więc to imię... niby niechrzestne, imię jednak?...

— Imię...

— Sapit?...

— Sapit bej—odpowiedział kapelan.

Zadowolony odpowiedzią tą braciszek o kroków parę odszedł, usiadł i na piasku kreślić jął: Sapit, Tipas, Staip i t. d., i t. d., aż nakreśliwszy wyraz ostatni, nagle skoczył, oblicze jego zajaśniało wzruszeniem głębokiem, oczy zaświeciły uradowaniem, z ust wydzierały się wyrazy:

— Mój Boże!... rzeczpospolita!... król!... wróżba pomyślności i chwały!... Znalazłem!... ja... ja?... *pater Deodatus!*... *Reverendissime*, patrz na mnie!...

Kapelan patrzył na braciszka, jak się patrzy na człowieka dotkniętego nagłym zmysłów postradaniem, dziwił się, wierny jednak metodzie swojej, nie pytał i, w brewiarzu zagłębiony, z pod oka obserwował.

Braciszek chwilę sporą miotał się, zżymał, wykrzykiwał, wreszcie uspokajając się powoli, głośno myśleć zaczął:

— Toć mi nie już nie pozostaje, jak ztąd drogą najkrótszą do Warszawy wracać, ażeby jak najrychlej kasztelana zawiadomić, żem kandydata znalazł... Tak... idę... o... Dzieła dokonałem...

Popatrzył jeszcze na piasek, uśmiechnął się zadowoleniem wewnętrznem, westchnął westchnieniem rozkoszy i, podnosząc oczy na zamek, zamyslił się.

— Ale — dodał po chwili — z hrabią pierwiej rozmówić się muszę.. hm?... muszę... Kasztelan zapyta...

Rzekłszy to, udał się krokiem pośpiesznym ku zabudowaniom, w których znajdowało się biuro, przyjmujące żądania posłuchań przez hrabiego Mikołaja udzielanych.

Po odejściu jego kapelan podniósł się i na piasku napisy czytał. U góry znajdowało się imię „Sapit,” u dołu „Piast.”

— Tak... *anagrammatice* — szepnął i głową kiwał.

W chwil kilka na zapytanie biskupa: „Cóż tam,” odpowiedział:

— Wysłaniec z Warszawy porozumiewa się z hrabią Mikołajem o przyszłego na tron Polski kandydata...

— A?—odezwał się prałat tonem zainteresowania żywego.

— Wysłaniec kandydata znalazł...

— No... i któż to?... Rakoczy?...

— Nie.

— Któż?...

— Sapit bej...

— *Quo titulo?*—zapytał biskup w wysokim stopniu zdziwiony.

Kapelan mu rzecz wytłómaczył.

— Uhm?—odmruknął.—Racya... Polacy gotowi rację tę uznać i Turka sobie na króla wziąć... Hm?... To ważne, bardzo ważne, nie mniej jednak ważnem jest samo porozumiewanie się... Dociec nie mogliśmy sprawy, co tu nurtuje... Oto nurt główny... Hm... cóż ty na to?...

— Nie — odpowiedział kapelan, ramiona ścisnąc...

— Anagram anagramem—ciągnął biskup.—Anagram drogą swoją, a swoją kandydaci, którychby z Węgier kopami do Polski wniesić można: Rakoczy, Koemeni, Abaffi, Teköli, Zrini...

Ostatnie wymówiwszy nazwisko, zastanowił się i dodał:

— Zrini?... tak... Batory drogę pokazał... Sprawę tę na oku mieć potrzeba i podczas zjazdu i po zjeździe... szczególnie po zjeździe... Zostaniemy więc tu na dłużej...

— Zabraknie nam pretekstu — zauważył kapelan.

— Zachoruję—odparł biskup.—Zachoruję, będę konał i konając, muchy im z nosa powyciągam... Na to jednak pora jeszcze będzie... Cóż z Warasdina?—zapytał.

— Zawsze jedno...

— Wspominałeś o dwóch drabach...

— Pokazują się i znikają...

— Na pewne jednak z Warasdina przychodzą?

— Na pewne...

— W zamiarach?...

Kapelan ramionami na znak nieświadomości wzruszył.

Biskup dorzucił:

— I ja nie z Erdödiego ani z żony jego wydobyć nie mogłem... Kobieta o niczem może nie wie; ale on... w Wiedniu był.. Ostrożny jednak...

Po rozmowie tej, która w porze przedobiedniej miejsce miała, biskup odpowiednio przyodziany, wytoczył się na pokoje. Odpowiedniość przyodziewka jego polegała nie na stosowaniu się do przepisów kościelnych, ale na stosowaniu przepisów do fantazyi własnej. Nosił więc sutannę krojem tuniki, bramowaną floletami; z pod tuniki wyglądały buty palone, a przy butach pobrzękiwały ostrogi. Obecność jego na pokojach zawsze była pożądana z powodu, że z sobą wnosił rzecz w towarzystwie wysoce cenioną: radość. Samo pojawienie się jego oblicza rozjaśniało. Tak było zawsze, toż samo powtórzyło się obecnie. Za wejściem prałata wszyscy w komnacie gościnnej zgromadzeni uśmiechać się i słówka żartobliwe rzucać zaczęli. We względzie tym gość z Kani-sy, człek już szpakowiejący, wyjątku nie czynił. Bej również w uśmiech oblicze przystroił i uprzejmem *hosh gietty* powitał biskupa, który obok niego miejsce zajął. Biskup na pozdrowienie pozdrowieniem odpowiedział i gościowi, wedle zwyczaju, życzenie złożył.

— Bodajbyś był zdrow, beju, i rósł, jeżeli nie wzdłuż, to wszierz...

— E... jak...—odparł Turek.—Życzenie to nie podoba mi się...

— Czemu, beju?...

— Czemu?... tól... — cmoknął, do góry głową rzucił i następnie nią pokręcił.

— Jest ono najprzód szczere, następnie rozumne...

— Uhm?...—Turek na to.

— Szczere, życzę ci, beju, tego samego, co sobie, rozumne: czy wiesz dlaczego?...

— Ty wiesz...

— Owóż, posłuchaj, co ci powiem... Wszystko, co rośnie, znaczy, że jest młodem; z ustaniem rośnięcia zaczyna się starość; życząc ci przeto, ażebyś rósł, życzę ci nie zatrzymania się młodości... Młodość zaś, to rzecz nie głupia: czy nie prawda?...

— Prawda — odrzekł Turek — ale i to prawda, że wolałbym z tobą ścinać się orężem, aniżeli językiem...

— Nieśluszenie, beju, z mego bowiem języka nie płynie gorycz...

— Przeciwnie... słodycz miodowa, ale z miodu takiego, co truje...

— Cóż znowu! — zareplikował biskup. — Jakaż naprzykład w tem, com powiedział, trucizna?...

— Życzysz mi młodości, ale ciężkiej... Z młodością podobną nie zajechałbym z Dyarberkiru do Kanisy...

— Nieby w tem nie było złego; zresztą... życzenie moje odnosi się nie do tego, co było, ale do tego, co będzie... a już nadal, beju, mógłbyś się nieść kazać, gdyby ci wypadło z Kanisy dokąd dalej, do Warszawy naprzykład ciągnąć...

— Do Wiednia chyba — odparł bej z uśmiechem.

— Kto wie... Proroctwo, co do ciebie, o Warszawie mówi...

— Proroctwo!... jakie?... — podchwycił Turek, któremu na dźwięk wyrazu tego oczy zabłyszczały.

— Wyczytał je jeden wędrowny derwisz chrześcijański...

— Gdzie, gdzie?...

— Na piasku...

Turek się śmiać jął i zawołał:

— O język... o język!... Człowiek ten na wszystko odpowiedź na języku na pogotowiu trzyma...

— Nie koniecznie na języku samym... Czyś co o Polakach słyszał?

— Lachy... lachy... Jakżebym o nich słyszeć nie miał?...

— Wiesz, że jak im król jeden umrze, to oni drugiego po świecie szukają...

— Ano... o tem wiem.

— Wyobraż-że sobie, że oni szukają, szukają i znajdują ciebie...

— Mnie? Czemuż mnie koniecznie?

— Dlatego właśnie, że szukają...

— Króla?—zapytał Turek.

— A no... króla. Nie mógłbyś być padyszachem, ani cesarzem niemieckim, ani dożą weneckim, ani papieżem rzymskim dlatego, że padyszach się rodzi i cesarz się rodzi, a doża i papież, luboć się nie rodzą, ale pierwszy powinien być wenecyaninem, czem ty nie jesteś, drugi nie powinien być obrzezanym, jakim jesteś; Polacy zaś na rzeczy takie nie zważają i, gdybyś im w oko wpadł, mogliby ciebie... fiul... z Kanisy do Warszawy na ramionach w powietrzu zanieść.

Turka to zastanowiło.

Pomyślał i po chwili odezwał się z akcentem zamyślenia:

— Gdybym im... w oczy... wpadł...

— Wpaść byś mógł tem łatwiej, im byś był grubszy...

— Ph...—dmuchnął i wąż sobie pogładził.

— A Polacy, widzisz — ciągnął biskup — teraz właśnie za królem się oglądają, Jan Kazimierz bowiem nie jest człowiekiem wiecznym... umrze i...

XIX.

Krytym sztychem.

Żartobliwość tonu, w jakim biskup z bejem rozmowę toczył, treść rozmowy samej wydawała się żartem. Za żart brali ją wszyscy wogóle, z wyjątkiem Turka, z powodu, że był członkiem społeczeństwa, co się na żartach nie zna, jako też z wyjątkiem osób paru, dla których kandydatura do tronu polskiego żartem nie była. Wytoczenie jej na stół te ostatnie brać mogły jako przypadkowość—jako potrącenie kwestyi bez iutencji. I tak zapewne brały, co jednak nie przeszkodziło Nadasdemu, na pierwszą o kandydaturze polskiej wzmiankę, chrząknąć i Piotrowi Zrińskiemu do ucha szepnąć:

— Czy słyszysz?...

Piotr na to skinieniem głowy odpowiedział.

— Sprawa na dobie...

Znów skinienie głową odpowiedzią było.

— Mikołaj umie porę właściwą wybrać...

Słowa powyższe, w porządku, w jakim je Nadasdy wymawiał, prałatowi w słuch wchodziły i na mózgu się karbowały. Coś podobnego nieprzypuszczalnem było. Dzieją się atoli rzeczy nadzwyczajniejsze. Prałat, ponieważ słuch ostry posiadał, więc słyszał; z tego zaś, co słyszał, nietrudno mu już było, jak Cuvierowi szkielet słonia z kości jednej, odtworzyć szkielet sprawy. Zaszedł jakiś układ i do układu należeli: Zrińscy i Nadasdy z pewnością, Wes-selenyi i Tottenbach przypuszczalnie — któż jeszcze? Głównej układu osnowy domyślał się, ale szczegółów onego nie znał. Czuł się jednak na dobrej drodze i spodziewał się powoli, po odrobinie, pozbierać wiadomości, z których się da ułożyć całość szykowna.

Graf Nadasdy nadzieję w nim wzbudzał. Był on tą krową, co wiele ryczy. Brakło przytem osobistości jednej, która do sprawy wchodzić musiała, a nie nadjechała jeszcze... Osobistością tą był młodziutki książę Franciszek Rakoczy, pan Górnych Węgier, pretendent do panowania w Siedmiogrodzie, spadkobierca pretensyi, widoków i tajemnych nawet pożądań niepokojnego rodzica swego i pretendent domniemalny do ręki starszej hrabiego Piotra córki. Z racyi tej hrabianka była także ze strony pałata przedmiotem obserwacyi dyskretnej. Przypatrywał się jej z boku a zdaleka i, podpatrzywszy w dniu pierwszym przybycia oglądanie się na nią oficera młodego i oficera tego na oku miał. We względzie informacyjnym, do wyjaśnienia rzeczy szczegół najdrobniejszy potężnie niekiedy przyczynić się może. Dlatego też nie pominął szczegółów, odnoszących się do hrabianki tembardziej, że się odnosiły one do dziewczyny ponętnej i trąciły zdaleka sprawą ciekawą.

— Jeżeli się tych dwoje do siebie ma — myślał — to młody Rakoczy będzie się miał z pyszna...

Co do sprawy głównej domysły jego płonnie nie były. Sprawa ta od dni kilku stała na podstawie układu omówionego gruntownie. Czekano jeno na palatyna grafa Wesselynyego i w obecności jego odbyła się w bibliotece zamkowej konferencya, w której wzięli udział: grafowie Mikołaj i Piotr Zrińscy, grafowie Wesselenyi, Tottenbach i Nadasdy i ksiądz Marek. Zagajenie onej trudności nie przedstawiało najmniejszej, chodziło bowiem o wyzwolenie krajów węgierskich z pod dającego się coraz to mocniej uczuwać nacisku niemieckiego, na co z góry zgadzali się wszyscy. Trudność przedstawiało obmyślenie akcji i oparcie onej na gruncie pewnym, na sile, której, jak doświadczenie uczyło, nie posiadały zrywania się powstańcze na Węgrzech. Należało szukać jej i wewnątrz i na zewnątrz, a mianowicie:

w Polsce i księstwach Multańskich. Graf Mikołaj skreślił plan federacji, podobny wielce do tego, jaki powzięli byli synowie Kazimierza Jagiellończyka, gdy jeden dzierżył Czechy i Węgry, drugi Polskę, trzeci Litwę. Obecnie rzeczy przybrały postać odmienną. Czechy były powalone i wyżyłowane, Węgry podzielone, Siedmiogród odpadł, Polska znajdowała się w stanie skołatania, przedstawiała jednak całość organiczną, która do zdrowia w ręku lekarza biegłego powrócić mogła i z której można było oś do działalności przyszłej zrobić. Konferencya przeto około Polski się zogniskowała.

— Dajmy Polsce króla położeniu rzeczy odpowiedniego.

Takim był owej, w lat kilka później, w głośnym a krwawym procesie, na jaw wyszłej konferencyi punkt ogniskowy.

— Króla?... kogo?...

Na zapytanie to, na które bracia Zrińscy odpowiedź mieli gotową, odpowiadać nie mógł ani Mikołaj, ani Piotr. Odpowiedź jednak nasuwała się sama. Na króla Polsce potrzebnym był mąż rozumu wielkiego i cnoty nieposzlakowanej, statysta i wojownik rozważny i przedsiębiorczy. Gdy Tottenbach, namiestnik Styryi, męża tego imię wymówił, Wesseleyni odrzekł:

— Z ust mi wyjąłeś...

— Właściem: „Mikołaj” powiedzieć chciał... — rzekł Nadasdy.

— *Ecce homo*... — odezwał się ksiądz Marek. — Koroną imienia jego jest *laus*—chwała...

— Zaszczyt mi czyni orzeczenie wasze...—odpowiedział hrabia Mikołaj. Przewidziałem je jednak... Mówię to, nie chcę bowiem być *per amicos approptatus* i wyłuszczyć wam chcę zamiary i poglądy moje, ażebyście z całkowitą rzeczą świadomością do sprawy rękę przyłożyć mogli... Usunąłem się od baństwa dlatego właśnie, ażeby kandydaturę swoją do

tronu polskiego sposobić, na tronie zaś polskim chcę być *primus inter pares*, to znaczy mieć pod ręką: Węgry, Siedmiogród i księstwa Multańskie, a to w tym celu, ażeby *viribus unitis* stawić czoło z jednej strony Niemcom, z drugiej Turkom i wyswobodzić od jednych i drugich wszystko, co zagarnęli... Gdybym został królem polskim, usiłowanie moje całe zwróciłbym na wytworzenie rzeczypospolitej wielkiej, rządzonej przez wicekrólów dożywotnich i obieralnych. W sposób ten władza dostawałaby się w ręce najzasłużeńszych, byłaby zachętą do cnoty i wynagrodzeniem za takową. Czy—zapytał—zgoda na proceder taki?...

— Zgoda... — odpowiedzieli Wesselenyi i Totenbach.

— Zgoda...—odrzekł Nadasdy—tembardziej, że pewny jestem, iżby Węgrzy na wicekróla obrali Wesselenyego, a po Wesselenym mnie...

— Obraliby ciebie przedemną...—odparł Wesselenyi—ja bowiem nie doczekam ani śmierci Jana Kazimierza, ani spółubiegania się o koronę polską Mikołaja...

— Śmierć i życie w ręku Boga...—wtrącił ksiądz Marek.

Wzmianka o współubieganiu się o koronę kwestyę tę na stół wytoczyła, była to bowiem kwestya najważniejsza, osiowa. Przyjaciela, których, ze względu na materję i naturę zajmującej ich sprawy, spisowcami nazwać można, nie łudzili się co do trudności, jakie kwestyę tę otaczały. Uczuwali się jednak na siłach trudności te usunąć. Posiadali środki; posiadali w Polsce, w sferze magnatów, stosunki rozległe i przyjaciół serdecznych. Liczyli przytem na poparcie skompromitowanego niewczesnem kandydatów podsuwaniem dworu francuskiego. Chodziło jeno o zajęcie się sprawą tą szczerze i rozumnie, o nieżałowanie trudów i nakładów, a z góry liczyć można

było na nagromadzenie szans, zapewniających rezultat.

Do szans zaliczał się również zamiar skojarzenia Rakoczego z hrabianką Heleną węzłem małżeńskim. Związek ten potęgował znaczenie Zrinich, sprzymierzając wpływy ich na południu ze stanowiskiem udzielnem młodego księcia na północy.

Porównywując przeto wszystkie *contra* ze wszystkimi *pro*, wypadło, że rzecz była do zrobienia, byle się do roboty wziąć gorliwie.

— Nie pożałuję ciebie...—rzekł Nadasdy.—Prosto z Czakowca na Litwę, do Radziwiłła na polowanie ruszę...

Hrabia Mikołaj wspomniał o kasztelanie Gembickim i o księdzu Deodacie. Wzmianka ta wrażenie sprawiła z powodu mianowicie poszukiwania kandydatów wśród Turków.

— Musiało Polakom dokuczyć, kiedy im do głowy strzelają koncepty podobne... — zauważył któryś.

— Braciszek powiada, że się o Turka stara celem nawrócenia go pomnożenia przez to chwały Bożej...—rzekł hrabia Mikołaj.

— Trzebaż go odesłać... z nazwiskiem, czy bez nazwiska kandydata?... — zapytał hrabia Wesseleenyi.

Przy odpowiedzi na zapytanie to zdania się podzieliły, i zgodzono się wreszcie na to, ażeby braciszka odesłać bez nazwiska, ale z takim kandydata opisem, ażeby nie tylko kasztelan Gembicki, ale każdy spraw politycznych świadomy hrabiego Mikołaja mógł poznać.

Na tem rzecz stanęła. Przyjaciele dłonie sobie podali, zobowiązując się słowem szlacheckiem stawać jeden za wszystkich i wszyscy za jednego i zwracać usiłowania całe na zapewnienie powodzenia kandydaturze Mikołaja.

— *Vivat rex!*...—wykrzyknął hrabia Nadasdy.

— Ryb przed niewodem nie łap... — odrzekł hrabia Mikołaj.—Okrzyk ten wydasz, kiedy go wydać można będzie, tymczasem zaś, przyjaciele moi — do wszystkich słowa te wystosował — bądźcie mi wobec świata i ludzi świadkami, żem dostojęństwo bana złożył z siebie nie dlatego, żem ciężaru nie chciał dźwigać, ale na to, ażeby barki moje przysposobić do udźwignięcia ciężaru jeszcze większego... Opo-wiedźcie, żem rąk nie założył na próżnowanie, że... pracuję...

Przy słowie ostatniem wskazał na rozłożone na stole księgi.

Po konferencji tej upłynęło dni kilka. Na zamku brzmiało wesele. Stoły zastawiano coraz to większe, czas zaś od siedzenia przy stole pozostający obracano na rozrywki rozliczne. W teatrze dawano przedstawienia po włosku i po łacinie; śpiewacy popisywali się z pieniem; kuglarze pokazywali sztuki; poranki obracano na popisy rycerskie, albo też na przejażdżki po okolicy; z amatorów niektórzy czynili wycieczki łowieckie; wieczorami banda cygańska przygrywała do tańca i na pokojach zamkowych młódz kręgi zataczała, kończąc ochotę taneczną czardaszem, po którym do tańców dalszych ochota odpadała. Następowało to nie później, jak około dziewiątej wieczorem i o dziesiątej w zamku czuwali jeno stróże nocni i wartownicy orężni. Na murach odbywały się od czasu do czasu okrzyki strażnicze; po komnatach sen przelatywał tu cicho, owdzie przy wtórze mocnych sapań i hałaśliwych chrapań, tworząc swego rodzaju muzykę, brzmiając chóralnie tam, gdzie młódz mężka pokotem spała. Następowało budzenie się ogólne, które *mutatis mutandis* sprowadzało powtórzenie dnia poprzedniego. Starsi i poważniejsi rozprawiali *de publicis*. Młódz się uciechom oddawała. Tak upłynął dzień po dniu, aż nadszedł ów, w którym Sapit-bey wizytę celem przyświadczenia o dobrych stosunkach

sąsiedzkich złożył. W dniu tymże samym zaszło zdarzenie ważniejsze jeszcze. Przyjechał gość pożądany, młody ksiązę Rakoczy.

Sam przyjazd księcia, który przybycie zwlekał dlatego tylko, że czekał na opóźniające się dla względów politycznych upoważnienie matki, dobrą był wróżbą. Znaczyło to, że upoważnienie otrzymał. Nie znano jeszcze szczegółów, mimo to fizyognomia ogólna zgromadzenia przybrała akcent zadowolenia, które szczególnie odbijało się na obliczu hrabiny Piotrowej. Wyjątek stanowiło ludzi dwoje: młody oficer i hrabianka. Patrząc na nich, biskup rzekł do siebie:

— Gruchali...

Poznał to z zachowania się młodych ludzi.

Oficer na hrabiankę zwrócił żalu i wyrazu zapytania pełne wejrzenie, na które ona odpowiedziała wejrzeniem, wyrażającym trwogę. Młody człowiek z pośpiechem wyszedł; hrabianka zrobiła kroków kilka od boku matki, lecz, przez tę ostatnią upomnianą, powróciła i, blada, z oczami spuszczone mi asystowała ceremonii powitań, odbywających się z akcentem uroczystym.

Książę, znany w dziejach pod imieniem Franciszka I-go, postacią swoją wydawał się czem był. Zewnętrzność jego, szykowna i młoda, zdradzała wielkiego pana, nieobdarzonego hartem ducha. Od pierwszego rzutu oka nie można w nim było poznać syna ojca przedsiębiorczego i zuchwałego. W wyrazie fizygnomii jego przebijała się miękkość, za oprawę której służył strój bogaty węgierski, połyskujący od złota i kamieni drogich, Złote ostrogi u nóg mu podzwaniały, złota rękojeść w jaszczur oprawnej szabli u boku się wahała, od złotych klamer i guzów odbijały wysokiej ceny brylanty; naszytka na dołmanie wyglądały nakształt napierśnika pancernego, a składały się ze sznurów roboty szmuklerskiej, w których zielony jedwab łączył się ze złotem niemi. Otoczenie jego w również świetnych wystąpiło strojach.

Książę, witając się z hrabiami Mikołajem i Piotrem, przedstawiał im osobistości, znajdujące się w orszaku jego i wymieniał kolejno nazwiska: Andrassy, Pulszky, Karponiay, etc.

— Miło mi wysokość waszą w progach Zrinich powitać... — były słowa, które do niego hrabina Piotrowa wystosowała.

— Bądźcie przekonana, dostojna pani, żem do progów waszych podążał z upragnieniem...—odpowiedział młody książę.

— Znajdujecie w nich przyjaźń życzliwą...

— Za którą odpłacam wzajemnością zupełną...

— Oto córka moja, hrabianka Helena...—rzekła, oczami na stojącą obok panienkę wskazując.

Książę się skłonił i wejrzeniem z pod oka oblat od stóp do głowy sądzoną swoją.

Hrabianka prędko odzyskała równowagę moralną, którą pojawienie się gościa było nieco nadwreżyło. Bładość jej z liców ustąpiła, oczy podniosła i ukłonem na ukłon odpowiedziała.

— Hm... — odsapnął przez nos obserwujący pilnie młodą parę biskup i w myśli dodał: — No... a oficer?...

Podejrzewał; gdyby jednak miał możność do serca dziewczęcia zajrzeć, przeświadczyłby się, że podejrzenia jego podstawy nie miały. Pomiedzy hrabianką a Janowiczem nie zaszło nic, coby wychodziło po za sferę sympatyj, jaka się w sercu jej dla młodego człowieka obudziła. Sympatya była wstępem. prologiem, przewodnikiem bożka miłości, którego może byłaby sprowadziła, gdyby nie zbyt wielka odległość, dzieląca dziedziczkę wielkiego imienia i wielkiej fortuny od prostego a ubogiego szlacheica. Przytem młodość i wstydlivość dziewicza na przeszkodzie stawiała. Szykowny i atmosferą poetyczną owiany żołnierz, posiadający o wilach wiadomości, młodzieniec wrażenie na niej sprawił — podobał się jej — zajął ją i wzbudził w sercu jej nie miłość dla

siebie, ale odwagę do tego, co jej na małżonka był z góry przeznaczony. Znalazła miarę porównania, wyrażającą się pod postacią formułującego się samo przez się zapytania: „Czy ten takim jest, jak tamten?” I tyle. Zapytanie tego rodzaju dla małżonków niebezpiecznem bywa; niebezpieczeństwo atoli odnosiło się do przyszłości, która się w chwili tej mętnie i zagadkowo hrabiance przedstawiała. Płonemi przeto były podejrzenia prałata, zabawiającego Turka rozmową i zarazem czyniącego postrzeżenia i nadstawiającego ucho. To ostatnie, chwytając tu i owdzie frazesy oderwane i wyrazy pojedyncze, zachwyciło słowa, które urzędnik biurowy, podszedłszy do hrabiego Mikołaja, do niego wystosował:

— Mnich *polonus* prosi miłościwości waszej o udzielenie mu posłuchania.

— Później... jutro...—odpowiedział hrabia.

— Nalega, mówi, że mu pilno.

— Powiedz mu, żem zajęty.

— Onby się z hrabią Piotrem lub z kim innym rozmówił...

— Może rozmówienie się z nim polecę komu... — odrzekł hrabia z niecierpliwością. — Niech czeka.

— Ahm... — zakarbował sobie biskup w myśli i, niezwlekając, towarzystwo opuścił.

Gdy z siedzenia wstawał, Turek się do niego odezwał:

— Ij... siedź!

— Cóż wysiedzę?—odparł.

— Mógłbyś wysiedzieć kureczeta, gdybyś miał pod sobą jaja, ale że ci jaj nie podsypano, więc z siedzenia twego ten pożytek, że mnie bawi twoje językiem kłapanie... Mówisz mi o królestwie... mów dalej.

— Poczekaj, beyu, może się o niem czegoś więcej dowiem...—odpowiedział biskup, odszedł, udał

się do izby swojej i kapelana po księdza Deodata posłał.

W chwilę później braciszek *polonus* z rękami złożonemi i głową pokornie schyloną przed obliczem prałata stanął. Biskup okiem go zmierzył i tak do niego przemówił:

— Hrabia Mikołaj nie może ci w chwili tej posłuchania udzielić.

— Wiem o tem, niestety... — westchnął braciszek.

— Cóż mu powiedzieć masz?

— Znalazłem do korony polskiej kandydata i pilno mi wracać do kasztelana Gembickiego, z polecenia atoli kasztelana, wracać nie mogę bez rozmówienia się z hrabią.

— Kogoż znalazłeś?

— Beya tureckiego... Bey to szlachcic. Na imię mu Sapit...

— Piast! — podchwycił biskup.

— Tak jest, *eminentissime*... — odezwał się braciszek, podnosząc na biskupa oczy, wyrazu pełne.

— Hm?... to kandydat dobry, ale nie wywiąziesz się z zadania, jaki na ciebie kasztelan włożył, jeżeli mu Piasta tylko na kandydata podasz.

— Cóż kiedy innego wyszukać nie mogę...

— Czemu? Czyś już o tem z hrabią mówił?

— Mówiłem.

— I cóż?

— Hrabia powiada, iżby się znalazł kandydat nie jeden.

— Nie powiedział który...

— Nie, *eminentissime*...

— Wymienić mu bowiem samego siebie nie wypadało — rzekł biskup, odgadując o czem nie wiedział, a raczej strzelając na chybił trafił z punktu tego, że każdy magnat węgierski z ochotąby czoło koroną polską przyozdobił.

Postawienie kwestyi kandydatury upoważniało

go do użycia manewru tego, celem dowiedzenia się o rzeczy.

— Nie wypadło i nie wypada — prawil. — Należy to do ciebie, wielebny. Ty mu sam kandydaturę nasuń.

— Hm?... uhm?... — braciszek na to.

— Czyżbyś co przeciwko niemu miał?...

— Nic, to jeno, że imię jego *anagrammatice* wróżbą żadną nie brzmi...

— Nie brzmi *anagrammatice*, ale za to brzmi *grammatice*, a to ważniejsze. Czyż się nie kończy na *laus*? Koniec dzieło wieńczy... Czytaj imię: Nic-o—*laus*... Niby to nic, a w końcu chwała.

— Tak — odrzekł braciszek — tak, to prawda... Gdyby hrabia był kalwinem...

— A na cóż ci kalwin?

Ksiądz Deodat rzecz wytłómaczył.

Biskup odparł:

— To pięknie i chwalebnie, bardzo chwalebnie. Wiedz-że, że hrabia *conditioni* tej odpowiada w zupełności, z nadmiarem nawet: je chleb kalwiński, jako dziedzic fortuny, zgromadzonej przez kalwina żartego, a przytem sam niedowiarkiem jest... Popytaj o niego ojców Jezuitów... Niedowiarek gorszy od kalwina...

— To prawda — odrzekł braciszek skonwinkowany.

— Owóż, ofiaruj mu kandydaturę od siebie, *discrete*, nie powiadając, żem ci ją doradził i, przed puszczeniem się w podróż, ze mną się jeszcze rozmów, chodzi tu bowiem o rzecz ważną: o nawrócenie niedowiarka... kasztelanowi dwóch nastęcysz kandydatów: Turka i niedowiarka... będzie temu rad.

— Poleciał kalwina wyraźnie... — wtrącił ksiądz.

— Wytłómaczysz mu różnicę. Kalwin wieprzowinę spożywa w adwent otwarcie i chwali się tem; niedowiarek spożywa, ale się nie chwali. Pana Boga

oszukuje. Hrabia na tronie polskim nie będzie mógł tego uczynić.

— O nie!—podchwycił braciszek.—Będzie dozorowany zbliżka.

— Hrabia powiada, że mięso to ryba niechrzczone.

— Cóż innego powiadają kalwini? Co to za przewrotność, mój Boże!

— Otóż widzisz. Idź-że z Bogiem, a pamiętaj dyskrecyę potrzebną zachować... nie powiadaj nawet—dodał od niechcenia niby—żeś się ze mną widział.

Braciszek na rękę biskupa pocałunek złożył, z czołem pochylonem błogosławieństwo jego przyjął i z pokorą oddalił się.

Po odejściu jego biskup uśmiechnął się uśmiechem zadowolenia, kapelana przywołał, podyktował mu do konotatnika *pro memoria* wyrazów kilka, że się zaś zbliżała pora obiadowa, na pokoje wyszedł, ale się już do Turka nie zbliżał. Sapić mu już potrzebny nie był. Uwagę jego zajmował Franciszek I-y, który z hrabiną Ptotrową rozmową się zabawiał. Ulokował się tak, ażeby rozmowy tej dźwięki do ucha mu wchodziły. Słuch nastawiał, o niczem atoli ciekawem dowiedzieć się nie mógł, rozmowa bowiem, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, czerpała materię z przejawów życia powszedniego. Hrabina zapytywała o zdrowie księżny matki i o sposób, w jaki ona w Wiedniu czas przepędza; zapytała następnie o Koszyce, czy to miasto wielkie, dalej o Debreczyn, wreszcie o jakość dróg. Na tej materii ostatniej rozmowa się zatrzymała dłużej z powodu, że Franciszek I-y miał dużo do mówienia o wybojach i e stromych w Węgrzech północnych zjazdach. Opowiadał. Hrabina z wielkiem słuchała zajęciem, wtrącając od czasu do czasu słówko w celu nie innym, jak dla podsycania rozmowy w kwestyi, w której, jak się zdaje, jego wysokość mocną się czuła.

XX.

Morderstwo.

Na przybycie młodego Rakoczego oczekiwano nie tylko dlatego, że do osoby jego odnosiła się sprawa matrymonialna, ale i dlatego jeszcze, że bez niego hrabia Mikołaj nie chciał wyprawić wielkich, które przysposabiano łowów. A była już na to pora wielka. Pogoda dotrzymywała, zachodziło atoli pytanie: jak długo wytrzyma? Rozmaite na niebie znaki zapowiadały zmianę. Na horyzoncie pokazywały się od czasu do czasu chmurki złowrogie; na śmietnikach grzebały się kury; bardziej jednak aniżeli chmurki i kury zatrważającym było wiercenie w kościach, jakiego doznawali ludzie starzy. Zmiana pogody w powietrzu wisiała. Z przybycia więc księcia korzystać należało i, sprawy wszelkie na później odkładając, załatwiać się z polowaniem wielkiem.

Wyprawienie polowania nie przedstawiało w Czarkowcu trudności. Wszystko ku temu było z dawien dawna obmyślane. Korpus łowiecki znajdował się w porządku pod przewództwem łowczego, zawiadującego służbą liczną i wyćwiczoną, odpowiedzialną za oręż, rogi, sieci, psy, konie i ludzi. Łowczy, podłowczowie, dojeżdźczące, sieciarze, psiarki wiedzieli z góry, jak i co czynić mają. Dwór myśliwski hrabiego nie ustępował w niczem dworowi myśliwskiemu cesarza, różnił się jeszcze od tego ostatniego w tym względzie, że polem działalności jego były nie zwierzynce, ale knieje. Hrabiego przeto interwencya w urzędzeniu polowania polegała jeno na wyznaczeniu miejscowości i zapowiedzeniu rozmiarów. W celu tym z łowczym odbywał naradę i jemu już pozostawiał staranie. W tym razie narada odbyła się przedtem jeszcze, zanim goście przybywać zaczęli, to jest, przed przyjazdem biskupa tak, że nie pozosta-

wało jak rano wstać i gromadnie na pola popisów łowieckich wyjechać.

Hrabia tedy wstał tak rano, że nie świtało jeszcze, przy świetlicach się ubierał i podczas kiedy odzież wkładał, posługujący pacholek oznajmił mu, że czeka na niego mnich jakiś.

— *Polonus?* — zapytał.

— Zdaje się... Wszyscy oni, jak wilcy, jeden do drugiego podobni...

Ponieważ z budzeniem gości chwilkę jeszcze wstrzymać się można było, hrabia przeto do kancelaryi swojej przeszedł i mnicha wezwać kazał.

— Cóż mi, ojczy, powiesz dobrego?

— *Excellentissime* — odrzekł zapytany — trafiło się mi znalezienie skarbu na drodze...

— No?...

— Kandydat jeden i kandydat drugi... jeden Turek, drugi od lutra gorszy... niedowiarek...

I jał mu opowiadać kwalifikacye Sapit beja, którego nazwisko, gdy przez braciszka wymówione zostało, wprawiło hrabiego w zdumienie.

— A drugi? — zapytał.

— Drugim jesteś ty sam, *excellentissime*...

Zdziwiło hrabiego i to, zdziwienia atoli nie okazał po sobie. Zapytał jeno:

— Skąd-że?...

— To, co u Turka jest *anagrammatice*, u dostojności waszej wypada *grammatice* i *laus coronat opus*... „Nic — o! — chwała...” Śpiewając więc chwałę Boga, który mnie, ze sług swoich najostatniejszemu, dał skarby takie znaleźć, pośpieszę do ojczyzny swojej i powiem kasztelanowi: „Masz, wybieraj!...”

— Odchodzisz więc?...

— Ano... Z zadania się wywiązałem i czekam jeno na przekaz, jaki dostojność wasza zechce przezemnie kasztelanowi przesłać...

— Przedewszystkiem... pozdrowienie a potem...

Hrabia się zamyślił. Trudność postawienia kan-

dydatury swojej w Polsce usuwała się przed nim w sposób niespodziany, acz dziwny trochę. Wstręt Turka do myślenia mu dawał. Czy to pomoże, czy zaszkodzi? Rozwagał najprzód to ostatnie. Czyżby się Polacy na Turka zgodzić mieli? Gdyby to był jaki z imieniem głośnem pasza, jakiś dostojnik wysoki, syn sułtański lub coś podobnego — ha!... ale — bej nieznany? Co za przeszkoda zająćby z jego strony mogła. Była to rzecz nieprzypuszczalna — przeciwnie. Jak w rozprawie *argumentum ad absurdum* służy do przekonania o prawdzie, tak przy wyborach stawiania kandydatów niemożliwych służy do uwydatnienia możliwego.

Przeprowadziwszy w myśli szybko rozumowanie powyższe, hrabia dokończył odpowiedzi:

— ... a potem: cóż?... gdyby mi Polacy losy swoje powierzyć zechcieli, starałbym się, ażeby *laus* czczym nie była wyrazem... Zresztą — dodał — uprzedź kasztelana, że tej zimy niejeden z przyjaciół moich do Polski zawita i zapewne brat mój tam pojedzie, gdyby zaś zapytał, co porabiam, powiedz mu, że hołdując tej prawdzie, iż *quod procedere non potest recedit*, uczę się, czytając pilnie Długosza i innych polskich autorów... Ot co... Pozostaje mi ciebie, księżę, na podróż zaopatrzyć...

Rzekłszy to, wsunął braciszkowi do ręki złotą sztuk kilka i odpuścił go z dobrymi na drogę życzeniami.

Braciszek do biskupa się zgłosił. Biskup przyjął go w łóżku.

— No... i cóż tam?

Ksiądz Deodat podziękował mu za radę dobrą.

— Hrabia kandydaturę przyjął?...

— Przyjął...

— A dalej?

— Przyjaciele jego do Polski pojedą...

— Ahm... — z akcentem zakarbowania w umyśle odezwał się biskup.

W chwilę później braciszek, poły podkasawszy, z węzełkiem w jednej, z kijem w drugiej ręce, drogą do Szerdaheli zmierzał i „Kto się w opiekę” śpiewał, a kapelan biskupi pisał o kandydaturze hrabiego Mikołaja Zrini raport, pod adresem nuncjusza papieskiego w Wiedniu. Dzień świtać poczynął.

O świtaniu dnia nastąpiło budzenie gości, które odbyło się w sposób taki, że kapelan na siedzeniu podskoczył i dużym żydem pisanie swoje zaznaczył. Nagle na podwórzu zamkowym zawrzały trąby i kołtły i na murach huknęły wystrzały działowe. Hrrr bum bum! Kapelan inny papier wziął, pisanie *ab ovo* rozpoczął, a po komnatach gościnnych uśpieni zrywali się. Po komnatach niewieścich wstawano także, albowiem i damy do wzięcia w łowach udziału powołane były. Jedne wyjechać miały w pojazdach, inne wystąpić konno. W zamku ruch gorączkowy zapanował; służba przebiegała, nawoływała się; ten chwytął to, ów tamto; wkraść się nieład, z którego w końcu wywiązał się ład i ład ów wyraził się pod postacią orszaku, złożonego z pojazdów i jeźdźców. Orszak z podwórca wyruszył, szereg pojazdów na drodze się wyciągnął; jeźdźcy podzielili się na większe i mniejsze grona, ciągnące przy, przed i za pojazdami. W porównaniu z wyjazdem na polowanie cesarskim, zaznaczonym wypadkiem, na którego następstwa w Wiedniu z niepokojem najwyższym oczekiwano, wyjazd ów wyglądał, jak pochód hordy niesfornej w porównaniu z maszerowaniem na placu parady armii wyćwiczonej. Obracało się to jednak na korzyść łowów hrabiowskich. Panowała w nich swoboda. Damy nie trzymały się w szeregu. Tu jechała jedna, ówdzie druga. Hrabinie Piotrowej towarzyszyła hrabina Erdödi; obok pań tych galopował hrabia Erdödi, który się znajdował w usposobieniu szczególnem: rozmowniejszym był, niż zwykle, i w rozmowie się plątał, jakby co innego mówił, a czem innem myślał. Hrabianki, siedzącej na arabczyku ka-

rym, nie odstępował Franciszek I i za nią, niby cień, rzucony o kroków kilkanaście, jechał Jowanowicz. Hrabina Mikołajowa i ksiądz biskup w orszaku się nie znajdowali — mieli oni przybyć później, na punkt zborny, na którym przysposabiała się ucztą myśliwska. Nieład ów trwał jeno do skraju lasu. Przy pierwszej kniei towarzystwo dostało się pod rozkazy łowczego, który z niego wydzielił część czynną i tę w las na stanowiska poprowadził, pozostawiając drugą losom własnym. Ta ostatnia, złożona po większej części z płci nadobnej, zajęła stanowisko wyczekujące. Z dam jedne z koni posiadały, inne parami lub trójkami przejeżdżały się po lasach. Do tych ostatnich należała hrabianka Helena. Kawaler dostojny ją opuścił, przyszlusowała do matki, lecz ponieważ w ucho wpadła jej rozmowa o Franciszku I, jaką hrabina Piotrowa z hrabiną Erdödi toczyła, zwróciła konia w prawo nieco, ukróciła mu cugli, i dłońią go po grzywie głaskała. Powodem było to, że koń niepokój okazywać począł — niepokój, który pochodził stąd, że w lesie powstała nagle wrzawa. Założone ze strony przeciwnej psy pobudziły echa leśne, zagrały rogi, odezwały się hukania, które wytworzyły rodzaj muzyki mętnej, dzikiej, lecz uchu miłej. Hrabianka się wśluchiwała i coraz to odstawiała od matki. Ściągnęła arabczykowi cugle, obejrzała się — o kroków kilka stał na koniu oficer młody. Skinieniem głowy pozdrowienie mu przestała. Podjechał.

— Czemuż nie w lesie? — zapytała.

— Czemu — odrzekł, jakby go zapytanie zaskoczyło niespodzianie.

— Czy ci łowczy stanowiska nie wyznaczył?...

— O stanowisko nie prosiłem...

— Łowów nie lubisz?...

— Łowy ja lubię, ale... dziś w nich udziału wolałem nie brać...

Ozwał się wystrzał jeden i drugi. Koń pod hrabianką się wspiął i chrapnął. Cmoknęła, po grzywie go pogłaskała—uspokoił się.

— Jak się zachowuje wila, gdy do królestwa jej wpada napaść taka?...

— Przysłuchuje się wrzawie, jak ty, panno... Wila, a ty...

Zaczął i zamilkł.

— Co?—zapytała hrabianka.

— Wszystko jedno — odrzekł, kończąc myśl urwaną...

Hrabianka na to nie odpowiedziała. Konia zwróciła i pojechała stępem. Strzały się powtarzały, mnożyły. Oswojony z niemi koń zaprzestał się zachać. Trzeba go było zwrócić, albowiem przejazd w kierunku tym dalszy trudnym się z powodu krzaków i pochyłości gruntu stawał. W chwili kiedy hrabianka zwrot dokonywała, w krzakach przesunęło się dwóch ludzi. Wychodzili z głębi lasu. W rękach nieśli buławy, któremi się, jak laskami podpierali. Ludzie ci zwrócili na siebie uwagę i hrabianki i oficera.

— Co to za jedni? — zapytała.

— Coście za jedni? — krzyknął na nich młody człowiek.

Oni, zamiast odpowiedzi, w krzaki się wsunęli i w wawóz wpadli. Ścigać ich sposobu nie było. Koń w gestwinie przejść nie mógł. Oficer poskoczył, nawrócić jednak musiał i, odpowiadając niejako na zapytanie hrabianki samemu sobie, odrzekł:

— Zapewne są to złodzieje na zwierzynę, którą myśliwym z pod rąk wykradają...

— Co za buławy!...

— Zdarza się, że psy w głębi kniei osadzają odyńca lub niedźwiedzia... Złodzieje na wypadek taki czyhają, podbiegają i zanim myśliwi pośpieszą, jednym uderzeniem niedźwiedzia lub odyńca zabijają i unoszą... Dla tego to mieć oni muszą buławy takie...

Objaśnienie to dało początek rozmowie o łowach, podtrzymywanej przez hrabiankę nie dla tego może, ażeby się dowiedzieć o szczegółach wykradania zwierzyny, ale dla podtrzymania sprawiającej jej zadowolenie rozmowy. Bywają sytuacje sercowe takie, w których się uczuwa potrzebę słyszenia głosu miłego. Może jej głos Jowanowicza miłym był. Jadąc przeto stępą, toczyła z towarzyszem rozmowę, którą przerwało wynurzenie się myśliwych z kniei. Wyszli gromadką ze zdobyczą, z ożywionemi obliczami, z hałasem; ksiązę Franciszek I do hrabianki podszedł i opowiadać począł, jak mu w gęstwinie jeleni „zwierciadło” pokazał; łowczy od czasu do czasu w róg uderzał, zwołując na punkt zborny tych, co się jeszcze nie pokazali; wreszcie ściągnęli i wszyscy, nie brakło nikogo, hrabia Mikołaj dał rozkaz, towarzysstwo wesołe do innej przeniósł się kniei.

Znów nastąpiło rozstawianie myśliwych, zakładanie psów, nawoływanie dojeżdźaczy, zławianie się ogarów na tropach, gonienie na tropie, gonienie na oko, zalanie ostępów leśnych potokami muzyki wokalno-instrumentalnej, strzały, hałasy, opuszczanie kniei, zbieranie się na punkcie zborym i przenoszenie się na inne popisów pole. Powtarzało się to pięć razy—do południa i po społowaniu kniei ostatniej nadeszła pora, w której się myśliwym posiłek należał. Na koniec ten wszystko się w pogotowiu znajdowało. Na wyznaczonym z góry punkcie kucharze krzątali się od rana; pachotkowie zawczasu stoły pozastawiali; hrabina Mikołajowa, ksiądz biskup i parę jeszcze osób nadjechało; nie pozostawało, jak zasiąść do biesiady, do której wabiła wydzielająca się z kotłów woń rozkoszna gulaszu. Gulasz na Węgrzech tę samą w życiu odegrywa rolę, co bigos w Polsce. Biesiadnicy do stołu zasiedli, jedli, pili, opowiadali, żartowali — wesoło im było, wesoło tak dalece, że pod koniec nastąpiły toasty i przemowy po łacinie. Toast pierwszy wniósł Andreassy na cześć hrabiego Miko-

łaja, iż jelenia strzałem trafnym odrazu powalił; toast piąty czy szósty wniósł Nadasdy na cześć młodej pary, której nie nazwał, pozostawiając to domyślności słuchaczy, ale o której prawił dużo, wróżąc z połączenia jej korzyści dla kraju ogromne i zaszczyty. Kiedy o zaszczytach wspomniał, biskup krzyknął:

— *Vivat rex!*

Okrzyk ten wydał niechcący niby, a wydając, miał oczy w hrabiego Mikołaja wlepione. Hrabia spojrział na biskupa ze zdziwieniem; Nadasdy na chwilkę oniemiał, następnie odchrząknął, słów kilka dodał i przemówienie swoje zakończył:

— *Et caetera et caetera...*

Biskup głos zabrał.

— Wnoszę—zaczął—zdrowie króla lasów, tego niewidzialnego i tajemniczego króla, któremu hołdujemy, mimo, że go nie znamy i który tem się zaleca, że nie on od nas, ale my od niego daninę pobieramy...

Opowiadał o królu tym w sposób humorystyczny, słuchaczy do śmiechu pobudził i zatuszował wrażenie, jakie sprawił okrzykiem nie w porę wydanym.

Uczta myśliwska zakończyła się wesoło i po uczcie łowy rozpoczęły się na nowo. Towarzystwo znów przenosić się poczęło z miejsca na miejsce, zmierzając do kniei wyznaczonej na łowów punkt ogniskowy z powodu, że znajdowało się w niej legowisko niedźwiedzia. Na niedźwiedzia wszyscy razem i każdy z osobna ochotę ostrzyli. Myśliwi na stanowisku udali się z oszczepami i rozstawieni zostali w sposób taki, ażeby, gdy zwierzę wyjdzie, pobocznicy mogli z pomocą śpieszyć. Łowczy instrukcye dawał.

— Strzał hasło — powtarzał. — Strzał trafny w lesie zdarza się rzadko; zwierzę ranione rozjusza się i na strzelcę rzuca, należy nieść mu pomoc nie-

zwłoczną, ale broń Boże! przed strzałem... Strzał hasłol... Strzał hasłol — nakazywał.

Ta łówów część rokowała moment uroczysty i dla tego ci wszyscy, co się do kniei nie udali, czekali zgromadzeni w punkcie zbornym, jedni konno, drudzy w pojazdach, inni pieszo. Biskup w *koczi* swoim przybrał pozycję wpołleżącą i na łokciu wsparty zaczepiał słówkiem tego i owego. Z kolei zaczepił młodego Jowanowicza.

— Nie pachnie ci las, młodzieńcze... he?...

— Nie dostało by mi się w nim stanowiska u wagi w kniei — odpowiedział zagadnięty.

— Hm... hm?... — odparł biskup. — Wolisz stanowisko u progu wysokiego...

— *Eminentissime!* — odrzekł z przyciskiem młody człowiek, któremu krew do głowy uderzyła.

Przez szacunek atoli dla fioletów do wyrazu tego nic nie dodał — na stronę odjechał.

W momencie tym las odgłosem łówów zawrzał. Odgłos pierwszy doszedł zdaleka i wywołał natężenie oczekiwania. Wszyscy słuchy ustawili. Nastąpiła chwila ciszy, las głucho szumiał i do uszu wpadł odgłos powtórny, który, jak poprzedni, w ciszy utonął. To samo spotkało trzeci i czwarty. Było to zławianie się psów, które wietrzyły, na trop jednak jeszcze nie wpadły, naszcze kiwały w pojedynkę, aż szczekanie ożwało się najprzód podwójne, dalej potrójne, poczwórne i przeszło w gromadne. Psy trzydziestu kilku głosami zagrały razem. Graniu temu zawtórowały okrzyki dojeżdżaczy, klaskanie harapów i wrzaski rogów myśliwskich. Ostępy zawrzały hałasem ogromnym, hałasem, służącym za ustęp i za wtór do strzału pierwszego, owego strzału przez łowczego zapowiedzianego, zastrzeżonego i w instrukcyje szczegółowe zaopatrzzonego. Na strzał ów z wyłączeniem uwagi oczekiwano. Hałas wrzał, zbliżał się, coraz to się wyraźniejszy stawał; zdarzało się, że psy tuż obok ujadają; echa ujadaniu w tysiąc, w milion-

krotnych odbiciach wtórowały. Strzał słyszeć się nie dawał. Oczekiwano—oczekiwano. Oczekiwanie w końcu rozstrzygnęło się w sposób niespodziany i nieprzewidywany, uderzając nie słuch, ale widzenie.

Strzał się słyszeć nie dał. Ukazał się niedźwiedź.

Niedźwiedź bez strzału z lasu nieopodal od gromady oczekujących wyszedł i, poprzedzając docierającą do niego a ujadającą zajadłe trzode ogarów, w polu ruszył. Ujadanie straszyło go widocznie, albowiem śpiesznie mu się działo. Z sił całych rwał.

Nagle jego ukazanie się sprawiło na punkcie zbornym popłoch nietyle pomiędzy ludźmi, co pomiędzy końmi. Woźnice konie w pojazdach ledwie ułagać zdobili; arabczyk pod hrabianką w bok się rzucił, wspiał się, furkał, prychał—ledwie nieledwie, dzięki krwi zimnej i zręczności tej, co go dosiadała, do spokoju powrócił. Za niedźwiedziem i psami w pogonь rzucili się huzary a z nimi i Jowanowicz. Z głębi lasu wynurzali się jeden po drugim dojeżdżacze, oglądali się z wyrazem zdumienia na obliczach i pędzili w ślad za huzarami. Zdumienie było wyrazem ogólnym, jaki się na twarzach oczekujących płci obojga przebijał.

Po wysypaniu się z lasu służby łowczej wysunął się łowczy, człek w latach podeszłych; na koniu siedział; w ręce jednej harap długi, w drugiej róg bawoli trzymał. Oblicze jego wyrażało nie zdumienie, ale oburzenie: oczy gniewem strzelały, z ust klątwy padały. Wypadł, za znikającymi w dali niedźwiedziem, psami, huzarami i dojeżdżaczami okiem rzucił, stanął, róg do ust przyłożył i na zbór uderzył. Tony drżące a potężne polały się z rogu, echa je podchwyciły, łowczy, któremu się policzki wydęły, lica poczerwieniały i oczy krwią nabiegły, dał, rogiem zleka wstrząsał, dał—wreszcie od ust róg odjął.

— *B., a terem, a tischen, a zanja!... I... ja niegowa majka, otac Jezus Christus!* — kłął po węgiersku i po kroacku. — I jakim to, jakim głupiec wielki nie-

dźwiedzia puścił?... Co to się stało!... Skończenie świata!... — i znów kłać w ojca, w matkę, w Tróję świętą, w Pana Boga, w Jezusa Chrystusa i w kózę zaczął.

Doborem i dosadnością klątw celują Węgrzy i Słowianie południowi.

Łowczy folgę dawał złemu, jaki go słusznie opowiadał, humorowi; tymczasem zaś z lasu myśliwi jeden po drugim wychodzić zaczęli. Każdy wychodził z zapytaniem na ustach:

— Co to się stało?...

Łowczy zamilkł—zęby jeno zacisnął i odwracał się, nie mając do kogo wyrażenia „głupiec wielki” zastosować, ci bowiem, co się z lasu wynurzali, byli to sami baronowie, hrabiowie, książęta—sama szlachta wysoka: Nadasdowie, Bathaniowie, Karolyowie, Andrassyowie, Tekölowie, Erdödyowie, wreszcie hrabia Piotr, książę Franciszek I Rakoczy. Z nich to któryś niedźwiedzia puścił. Każdy pytał: „Co to się stało?”

Wrócili dojeżdżacze z psami; wrócili huzary z Jowanowiczem: niedźwiedź góry dopadł i nie było już co myśleć o nim. Łowczy chętnieby nie myślał o niczem; ochota go zbierała plunąć i do domu odjechać i byłby to uczynił, gdyby program nie obejmował obsadzenia jeszcze dwóch kniei, z których jedna z powodu dzików szczególne miała znaczenie. Pomiędzy jednak, że się zgromadzili już wszyscy, przenosić się do kniei następnej nie można było. Zgromadzili się wszyscy z wyjątkiem jednej, najważniejszej osoby: gospodarza, hrabiego Mikołaja. Ciąg dalszy łowów od jego zależał rozkazu. Na rokaz ten łowczy czekać musiał. Cekał — czekali wszyscy, nikt atoli z taką, jak on, niecierpliwością. Myśliwi rozprawiali o nadzwyczajności wypadku, przemknienia się niedźwiedzia niepostrzeżenie przez szereg strzelców; łowczego rozprawy te gniewały, z konia zsiadł i w las,

zmierzając ku wyznaczonemu dla hrabiego stanowisku, poszedł.

Niebawem o słuchy myśliwych uderzyło trąbienie na „bywaj!” Trąbieniem takim strzelec zwołuje grono łowcze do trupa zwierzyny zabitej. Rozprawy na raz jeden umilkły; sam jeno biskup tłumaczył, że niedźwiedź ów skrzydła posiadać musiał i przez szereg strzelców przeleciał... Słowa biskupa jednak brzmiały w próżni. Dojeżdżacze się na piechotę do lasu rzucili. Nastąpiła chwila milczenia, znamionująca natężenie oczekiwania. Sam biskup zamilkł nawet i w momencie, kiedy się do wygłoszenia konceptu jakiegoś zabierał, zamiast konceptu, wystosował do stojącego obok koni jego Erdödiego zapytanie:

— Czegoś tak, hrabio, zbladł?

Erdödi bladły był, jak chusta. Na zapytanie nie odpowiedział, zresztą na odpowiedź czasu nie miał, albowiem w tejże chwili łowczy i dojeżdżacze z lasu się wynurzyli, dźwigając trupa hrabiego Mikołaja.

Wrażenia, jakie na obecnych widok ten sprawił, opisać ani opowiedzieć nie sposób. Serca przejęła zgroza, która odbiła się na obliczach wszystkich. Do trupa poskoczyła żona. „Jezus, Marya!” jęknął brat. Obecni skupili się około złożonego na ziemi ciała, a łowczy, głosem łzami nabrzmiałym, odezwał się tonem uroczystym:

— Oto kto niedźwiedzia puścił...

— Niedźwiedź go zamordował... — ktoś rzekł w tłumie.

— Nie... — odpowiedział łowczy. — Niedźwiedź przez zamordowanego przeszedł...

XXI.

G o ń c e.

Ogłędziny ciała bohatera, do którego się dwa narody przyznają i którym się obydwaj chlubią, wy-

kazały (z czem się i historia zgadza), że na polowaniu, ale nie od dzikiego zwierza zginął. Znaki dopatrzone świadczyły wyraźnie, że morderstwa dokonała ręka człowiecza. Z tej racji w gronie myśliwych zapanowało oburzenie głębokie a powszechne, oburzenie, które się nie mogło inaczej, jak pod dwiema wyrazić postaciami: pod postacią zapytania, kto to sprawił, i pod postacią pragnienia naprowadzenia na sprawcę karzącej ręki sprawiedliwości. Zapytanie i pragnienie zlewało się w jedno. Ręka sprawiedliwości odszukać mogła sprawcę, czy sprawców, których osłoniła tajemnica leśna. Na stanowiskach najbliżej od nieboszczyka stali, z jednej strony, hrabia Piotr, z drugiej, ksiązę Rakoczy.

— Toć zbrodnia taka bezkarnie ujść nie może!...—odezwał się pierwszy.

— Sprawiedliwości!... sprawiedliwości!...—zawołał hrabia Piotr.

— Gdzie jej szukać?...—ktoś zapytał.

— W Wiedniu... — odpowiedział hrabia Erdödi, który, jako nadkapitan w Warasdynie, był w tym razie przedstawicielem władzy miejscowej. — Do Warasdynu jadę i depeszę wnet sztafetą ztamtąd wyprawię...

Słowa te w zgiełku żalu, oburzenia i rozpacz zabrzmiwały bez echa. Jeden jeno biskup je podchwycił i on jeden na nie odpowiedział:

— Sztafety nasze na żółwiach jeżdżą...

Hrabianka Helena słyszała i słowa Erdödiego i uwagę biskupa. Śród zamieszania ogólnego ona jedna zachowywała na wiek jej i na płeć dziwną przytomność umysłu, zapowiadając ów heroizm, jaki w przyszłości rozwinąć miała. Jak skoro uwaga biskupa o uszy się jej obita, wnet się zwróciła, oczami po tłumie przez chwilę powodziła i poszła. Poszła wprost do stojącego z boku oficera młodego.

— Jedź natychmiast do Wiednia!...—rzekła.

— Pojadę...—odrzekł.

— Do markiza Frangopano... Wiesz po co?... — zapytała.

— Wiem...

W chwilkę później namiestnik Jowanowicz, na koniu tym samym, na którym polowaniu asystował, do Czakowca nie zajeżdżając, w podróż ruszył. Koń pod nim był dobry, droga znana, oznaki służbowe zapewniały mu bezpieczeństwo wobec podejrzliwości władz, porządku i spokoju publicznego przestrzegających.

Odjazd jego odbył się niepostrzeżenie. Nikt na to nie zwrócił uwagi, skupionej około zwłok martwych człowieka, co takie wydatne stanowisko zajmował i tak ogólną w kraju miłość i ufność posiadał. Żona lamentowała, kobiety płakały, mężczyźni rzucali wyrazy, stan dusz ich malujące i istotę zbrodni określić próbujące.

— Cios ten na nas z Wiednia spadł... — odezwał się młody jeden człowiek co razem z Rakoczym przyjechał — niezawodnie z Wiednia... Chybaż byśmy ludźmi nie byli, gdybyśmy to Wiedniowi zapomnieli...

— Zemsta!... — zawołał młody Rakoczy, rękę z pięścią zaciśniętą podnosząc do góry.

Wywołania tego nie powtórzyli wszyscy dla tej jeno przyczyny, że wywoływania inne w powietrzu się krzyżowały.

Powtórzyła je jednak hrabianka Helena nie ustami, ale wejrzeniem, jakie na Franciszka I zwróciła. Wejrzeniem tem podziękowała mu i sprzymierzyła się z nim niejako.

Oburzenie było ogólne. We względzie tym wyjątku nie czynił biskup, którego trud cały dochodzenia tajemnic obrócił się w niwecz. Tajemnica, którą zgłębił, której uzupełnienie na później odłożył i po której spodziewać się mógł korzyści dla siebie na drodze dyplomatycznej, rozwiązała się nagle nakształt

mary. Zawód taki w rachubach zirytował go i na drogę podejrzeń wprowadził. Czyja to sprawa?

— Wiedeń... Wiedeń... — powtarzano do koła niego.

— Zemsta...—w uszach mu zabrzmiało.

Zanotował sobie w myśli jedno i drugie i, w milczeniu wyrazy fizyognomii studyował.

Dostrzegł wejrzenie hrabianki.

Zwrócił uwagę na ożywienie niezwykle, z jakim się, w imię sprawiedliwości, Erdödi na morderców odgrzązał.

Przypatrywał się badawczo hrabiemu Piotrowi, hrabinie, księciu Franciszkowi i szukać się jął w tłumie młodego oficera. Szukał—nie znajdował; szukał dalej, obracał się i zapytał pierwszego lepszego:

— Jowanowicz?...

— Tu gdzieś być musi...—była odpowiedź.

— Niema go...

— Przed chwilą go widziałem...

— I ja widział...

Dalej się oglądał, ale, luboć posiadał oko bystre, dopatrzyćby nie potrafił człowieka, którego przed oczami jego zasłoniły już lasy i gruntu załomy.

Jowanowicz posuwał się po drodze zrazu kłusem; zmiarkowawszy jednak, że chód ten prędko konia zmęczy i dojścia do Wiednia możności go pozbawi, w stęp go wprowadził. Na wypadek wprawdzie, gdyby koń pod nim osłabł, miał resurs wymiany na gorszego, ale świeżego, nie mógł się jednak na to spuszczać. A nużby zawód go spotkał! Nie wszędzie i nie zawsze konie do zmiany się trafiają. Postanowił więc oszczędzać tego, na którym siedział i zawieźć markizowi wiadomość smutną nie tak prędko, ale za to na pewne. Spodziewał się przytem do Wiednia prędzej, aniżeli sztafeta, dotrzeć, a opierał nadzieję tę na tem, że, dla wyprawienia sztafety, musiał nadkapitan najprzód do Warazdina wrócić, gońca wyszukać — goniec mógł pijany być — raport napisać

i wysłać takowy z punktu bardziej od Wiednia oddalonego, aniżeli ten, z którego on ruszył. Że zaś wieczerało już, przypuszczał przeto, że wysyłka gońca nastąpi nazajutrz dopiero. Miał więc nad sztafetą przewagę pośpiechu znaczną, przewagę, którą się do końca zatrzymać spodziewał, postanowiwszy na popasach i noclegach zatrzymywać się tyle tylko, ile koniowi do wytchnięcia i pokarmienia się potrzeba.

Wieczór nadszedł — noc nastąpiła. Wieczorem słońce przed zejściem chmurami się osłoniło. Był to dzień rozpoczynających się w roku 1664 ślot jesiennych — dzień polowania onego, które się upamiętniło spadnięciem Leopolda I z konia i następstwami, zagadkowością brzemieniami. Podczas kiedy usychały dyplomatów wiedeńskich mózgi, porucznik z komendy Zrinich kłopotał się, czy pogoda dotrzyma.

— Byle wytrzymała jutro, pojutrze... — powiedział sobie.

Rozliczał sobie tak: Miał przed sobą mil trzydzieści bez mała, to znaczy, godzin trzydzieści. Dwie doby—godzin czterdzieści osiem. Na popasy i noclegi potracił godzin osiemnaście i uważał, że to więcej, aniżeli potrzeba — na dobę po dziewięć godzin. Z dobrą więc myślą i z otuchą cesał traktem, układając sobie w głowie, jak to markizowi o wypadku opowie i jak go do domagania się sprawiedliwości pobudzi.

— Byle jeno pogoda wytrzymała...

Niestety, pogoda nie dopisała. Z nocy się zaśłociło. Nie powstrzymało go to atoli. Konia pokarmił, sam trochę się zdrzemnął—czasu sobie trzech godzin nie zabrał i daleko jeszcze do dnia było, kiedy w drogę dalej ruszył. Mokł a jechał—pośpieszał. Po dniu na wytchnięcie przystanął — koniowi siana założył, po południu znów przystanął—pokarmił konia owsem. Deszcz wciąż mżył, nad wieczorem jednak to go pocieszyło, że miał po za sobą większą drogi połowę.

— Nie mi chyba nie przeszkodzi jutro nad wieczorem na miejsce zajechać i najpierwszy wiadomość do Beczu (Wiednia) zawieźć...

Co do zawiezienia wiadomości omylił się. Gdy do miejsca, na którem noclegować zamierzył, dojeżdżał, dopędził go i w pędzie wielkim wyminął na lotnym koniu jeździec. Koń i jeździec byli całkiem błotem obryzgani. Mimo to wydało mu się, że poznał człowieka z Warazdina.

— Goniec... sztafeta...—rzekł do siebie.—Wiatr goni... na rozstawnych chyba koniach jedzie...

Domysł ten jego trafnym był. Od chwili, jak się do Czakowca goście zjeżdżać zaczęli, rozstawnych koni dziesięć na trakcie z Warazdina do Wiednia na gońca tego czekało.

— No... to już ja go nie wyprzedzę... — powiedział sobie. — Ale markiz się chyba odemnie pierwszego dowie, boć goniec stanie w Wiedniu jutro i ja jutro stanę...

Nie miał jednak zupełnej, ażeby to sztafeta była, pewności. W jeźdźcu „wydał mu się” człek z Warazdina.

Zaniósł do niebios prośbę o pogodę na dzień jutrzejszy, prośba atoli jego poszła w niebiosach *ad acta*. Nie tylko deszcz nie ustawał, ale się chwilami do deszczu śnieg przyłączał. Dokuczało to młodemu człowiekowi, nawet bowiem okryć się należycie nie miał czem. Odzież zwierchnia wiatrem podszyta nie ochraniała go ani od przemoknięcia, ani od zziębnięcia. Zębami dzwonił, ale od powziętego postanowienia nie odstępował. Pamiętał, kto go wyprawił i pamiętać ta tak dalece ochotę w nim rozbudziła, iż mu spoczywanie dłuższe na myśl ani przychodziło. Jechał, wciąż jechał—pośpieszał, dojechał i:

— *Halt!*

Słowem tem zatrzymano go na rogatce wiedeńskiej.

Wyszedł do niego sam komendant warty.

— Zkąd?... dokąd?...—zapytał.

— Czyż nie widzisz, com za jeden?!... — odpowiedział.

— Tylko com dostał rozkaz, bez uwagi na honor rozpytywać przyjezdnych i wyjezdnych... Masz glejt?...

— Glejt mój... ol!...—odrzekł, na oznaki odzieży swojej wskazując.

— To nie dosyć...—odparł komendant.—Z konia zsiądź i na strażnicy ze mną się rozmów...

Wezwaniu temu młody człowiek nie uczynić za-
dość nie mógł. Strażników gromada do koła go ob-
stępowała.

Na strażnicy komendant wręcz go zapytał:

— Tyś z Czakowca?

— Ano... z Czakowca...

— Jedziesz do markiza Frangopano?

— Do markiza...

— Wieziesz pisanie jakie?

— Żadnego...

— Ano... Rozmówię się z tobą o tem w plac-
komendzie, dokąd cię strażnicy zaprowadzą...

— Cóż to znaczy?—zapytał Jowanowicz?

— Nie wiem... to rzecz nie moja...

Gadania nie było; opieranie się sensuby nie miało. Jowanowicz w towarzystwie sześciu w hala-
bardy uzbrojonych strażników zaprowadzony został
wprost do więzienia. Dozorca na wstępie zrewido-
wać go kazał. Po dokonaniu rewizyi zamknięto go
w celi osobnej ciemnej, chłodnej i ciasnej, w której
znalazł na podłodze trochę słomy zmierzwionej, w je-
dnym kącie bochenek chleba i dzbanek z wodą, w dru-
gim szaflik.

— Ano... masz!...—zawołał.

Uczuł gniew i żal wielki. Gniew i żal myśleć
mu przeszkadzały. Nie wiedział, co z sobą począć—
głową muru rozbić nie mógł. Nie pozostawało mu
nic innego, jak na słomie się położyć. Poprawiał się,

przewracał, długo zasnąć nie mógł, w końcu jednak zasnął. Przed uśnięciem majaczyło się mu: o koniu, z którym nie wiedział, co się stało i o hrabiance Helenie, z której polecenia wywiązać się nie był w stanie. Kto to sprawił?—Niemcy. Ach! ochota go zbierała Niemcy z rogów czterech podpalić i kraj niemiecki wraz z ludźmi z dymem puścić. Majaczenie to przez noc całą po głowie mu się snuło.

Nazajutrz obudził się, wstał; w myślach mu się jaśniej nieco zrobiło. Domyślił się mianowicie tego, że aresztowanie spowodowała nań śmierć hrabiego Mikołaja.

— Ów jeździec, co mnie minął, była to sztafeta, która mnie wyprzedziła... — rzekł do siebie. — Szwaby grafa zamordowali, inaczej bowiem: na cóżby patrzyli za ludźmi z Czakowca? O! szwaby...

Po izdebce ciasnej kręcił się, ku górze do okienka spoglądał i myślał. Położenie jego wiele miało podobieństwa z położeniem ptaka pojmanego i w klatce zamkniętego. Położenie takie miłem ani zabawnem nie jest, w samotności zwłaszcza. Samotność wprowadzie młodemu człowiekowi zaciężyć czasu jeszcze nie miała i wkrótce ustała. We drzwiach zgrzytnął klucz, drzwi się otworzyły — przybył Jowanowiczowi towarzysz do celi wepchnięty. Przybyły po węgiersku zaklął. Młody człowiek uszom i oczom własnym wierzyć nie chciał, poznając w wepchniętym Janosza, huzara, co do świty markiza należał. Zdziwienie jego było wielkie, nie mniejsze jak Janosza, gdy w nim porucznika poznał.

Jeden jechał z Czakowca, drugi do Czakowca—obydwa niby w samotrzask wpadli. Huzar splunął, kłął i wyrażał żal swój, że się na strażnicy szablą dochwycić nie mógł.

— Byłbym bodaj paru szwabom łby rozplatał... Ujeli mnie huncwoty podstępem... Jam im glejt pokazywał, a oni mnie za ręce pochwytili...

Wymyślał Niemcom, wyrazów nie dobierając

i gęby nie żałując. Jowanowiczowi do słowa przyjsć nie dawał i na zapytania jego nie odpowiadał, tak, że ten ostatni z motywowań jeno, w jakie zaopatrywał kłatwy, domyślił się, że wioził do Czakowca list od markiza i że list ten odebrany mu został.

— Czy markiz wie?...

— Wie, żem wyjechał, ale oni nie głupi zawiadamiać go, że mnie pojмали... Sami glejt dali... gubernator podpisał i pieczęć wystawił... *B... a terem, atiszen...*

Nie szczędził niemieckich matek, ojców, bogów, kóz i innych tym podobnych i niepodobnych rzeczy. Ledwie nieledwie Jowanowicz dokazał tego, że na jego zapytań parę odpowiedział. Wreszcie zamilkł nagle—języka w gębie zapomniał, gdy w słuch wpadły mu po raz trzeci powtórzone wyrazy:

— Graf Mikołaj zamordowany...

— *B... a terem tiszen...*—jęknął i oniemiał.

Po dłuższej dopiero chwili odezwał się:

— Zamordowany?

— Z tą właśnie wiadomością jechałem do markiza, ażeby się o sprawiedliwość upomniał...

— U kogo?...

— U cesarza...

— Toć nie wiesz chyba, że markiz sam aresztowany.

— Aresztowany?... za co?...

— Za co?... nie wiesz?...

— Zkądże!...

— Na cesarza skoczył i tak go zdusił, że mu o mało kiszek nie wydusił...

— Więc ciebie nie markiz wysłał?

— Markiz...

— Puścili cię do niego, do więzienia?

— Do więzienia.... Nie do więzienia... Markizaby do więzienia tak, jak mnie albo ciebie, wtrącał!... Nie... Areszt mu naznaczyli w domu...

— Cóż to było za duszenie?

— Duszenie... no...

— Zkąd?... jak?... kiedy?... za co?...

— Za to, że cesarz na koniu jeździć nie umie...

Co to za cesarz taki!... Koń skoczył, a on... klap!... Markiza na to gniew taki przejął, że się na cesarza rzucił i o mało, o mało go nie zadusił...

— Kiedyż to się stało?

— Dni temu trzy... zanim się załocilo... Rzecz świeża...

— Gdzież się to zrobiło?

— Na polowaniu...

— To znaczy, w dniu tym samym, w którym grafa Mikołaja zamordowano...

Wyrazy te usłyszawszy, huzar kląć na nowo zaczął, dołączając do klątw pogroźki pod adresem Niemców. Obiecywał mścić się na nich, zaczynając dzieło zemsty od karczmarza w Czakowcu.

— Zbiję go na winne jabłko!...

Minęło czasu sporo, zanim krew zimną odzyskał i do rozmowy porządnej umysł swój przysposobił...

Rozmowa porządna nawiązała się około trojski Jowanowicza zawiadomienia markiza Frangopano o śmierci gwałtownej hrabiego. Jakby tego dokazać? Przedstawiło się do rozwiązania zadanie, które — jak zwykle w podobnych dzieje się razach — naprowadziło na myśl zamiar ucieczki z więzienia. Postawienie kwestyi nasuwało pomysły, dotyczące się sposobów do prowadzenia zamiaru do skutku. Huzara to zajęło żywo. Po izdebce kręcił się, nogą o podłogę i o ściany stukał, głowę do góry podnosił i uwagę na okienko zwrócił.

— Najprzód — rzekł — należałoby na świat boży wyjrzeć...

Okienko znajdowało się wysoko, w izbie zaś nie było sprzętu żadnego, przy pomocy którego wspiaćby się można. Medytował nad tem Jowanowicz, medy-

tował huzar; wreszcie ten ostatni na taki koncept wpadł: pod okienkiem stanął i do Jowanowicza rzekł:

— Leż po mnie...

Sposób ten się nadał. Na ramionach huzara stojąc, porucznik położenie zrekonoskował. Ściana więzienna wychodziła ze strony tej na plac pusty i niebrukowany; okienko nad poziomem wznosiło się o piętro, było jednak zakratowane.

— Gdyby nie kraty...

— To co?...—zapytał huzar.

— Wyskoczyćby można.

— A krat wyłamać nie można?

W sensie zapytania tego rozpoczęły się wnet próby, po próbach zaś nastąpiła robota. Jowanowicz i Janosz mieniali się jeden na ramionach drugiego, majstrowali, pracowali przez dzień cały, w ciągu którego przeszkodzono im raz jeden tylko. Stróż wody świeżej i chleba nieświeżego przyniósł. Praca usilna do tego doprowadziła rezultatu, że, zanim wieczór nadszedł, krata nie stanowiła już przeszkody do wyskoczenia. Wieczorem stróż znów wszedł, Janoszowi kazał szaflik wynieść, więzienie zamknął i więźniów samym sobie zostawił. Nie długo też z wykonaniem zamiaru zwlekali. Najprzód Jowanowicz, następnie Janosz po uwiązaniu do futryny pasie do okienka się dostawali i jeden po drugim na wolność się wydostali. Deszcz, ciemność, ziemia wilgocią rozmiękczona dokonanie zamiaru im ułatwiły. Z pod muru, niby dwa cienie, przez plac się przesunęli, miasta dopadli i drogą najkrótszą wprost się do mieszkania markiza udali. Janosz za przewodnika służył. Bez niego Jowanowicz, gdyby się był z więzienia wydobył, nie mógłby, miasta ani położenia zajmowanego przez markiza domu nie znając, wieczora tego z zadania się wywiązać. Pod przewodnictwem huzara przyszło mu to z łatwością. Po nie więcej jak półgodzinnym chodzie, więźniowie na ulicę, przy której

dom leżał, weszli i na wstępie widokiem niezwykłym porażeni zostali. Wszystkie inne, któremi przechodzili, ulice w ciemności tonęły; w tej uderzyły ich światła, bijące od szeregu latarni i pochodni.

— Co to... pogrzeb?... — odezwał się Jowanowicz.

— Boga mi... — odparł Janosz. — Nie wiem... Markiz, markiza, grof Orfeosz dziś rano żywi byli i zdrowi... a choćby które umarło, toćby się tak z pogrzebem nie śpieszono... Nie wiem, co to znaczy...

Podchodzili ostrożnie, lękając się, jako zbiegowie z więzienia, na światło się wystawiać. Z racyi tej zapytywać nie śmieli. Huzar kłął, miarkował, głową kręcił, palec do czoła przykładając — do głowy po rozum szedł. Chodziło o to, ażeby się do domu wsunąć niepostrzeżenie.

Po namyśle i miarkowaniu rzekł:

— Ano, innej tu rady niema, jak z tyłu zajść... Chodźmy...

Poszli w kierunku wstecznym.

Dom, który markizostwo zajmowali, przypierał do ogrodu, ogród zaś wychodził na ulicę tylną, od której oddzielał go mur wysoki. W murze tym była furтка, ale się na klucz zamykała. Mur wszelako przeszkody stanowić nie mógł dla tych, co w więzieniu kraty wyłamali. Jowanowicz wdrapał się po grzbiecie huzara, z wierchołka podał temu ostatniemu rękę i obydwaj razem zsunęli się do ogrodu na pokład burzanów zeschłych.

— No... a teraz, dalej!... — odezwał się huzar.

Po namokłej grząskiej ziemi dotarli do podwórca, które po jednej stronie zajmowały stajnie, po drugiej oficyny. Na podwórce panowała cisza, zalewała je ciemność; w oficynach z jednego tylko okna biło światło. Zachodził kontrast z ulicą, który zbiegów zastanowił.

Huzar się zatrzymał.

— Co to znaczy?... — zapytał — tam jasno, tu ciemno?...

— Ja... to ciebie pytać powinienem...

— Ph... Na niebie i na ziemi dzieją się rzeczy...—odrzekł Janosz słowami Szekspira pomimo, że o Szekspirze nie słyszał i czytać nawet nie umiał, dlatego też inaczej, aniżeli wielki dramaturg, frazes swój uzupełnił—których ja nie rozumiem... Tam jasno, tu ciemno?... Hm?... Ano... chodźmy, ale ostrożnie...

Na podwórzu podeszli do okna oświetlonego, do środka zajrzeli i zobaczyli trzy młode kobiety szcieniem zajęte.

— Szwalnia markizki!..—szepnął huzar i dodał, palcem przez okno wskazując:—Na szwaczkę tę człek-by się złakomił, choć to Niemka...

— Chciałbym się z markizem widzieć... — zauważył Jowanowicz.

— A ba... A nuż to pogrzeb jego właśnie...

— Dowiedzieć się o tem potrzeba...

— Czekałże... pomiarkujemy... Ztąd do domu wejść można... Tak sień, a tak schody... a tam—dodał, palcem wskazując na okiennicę zamkniętą—pokój grafa Orfana... Przez grafa możnaby markizowi dać znać...

— Czy graf jednak nie śpi?... Czy jest u siebie?...

— Albo śpi, albo nie śpi, a jeżeli go u siebie niema, to jest Jowanni, jego lokaj stary... Jowan-niemu powiedzieć tylko: „Psss...” on grafa przywoła, a nawet i do markiza samego pójdzie... Ot co... No... Ale: po co my tam obydwaj?... Idź ty, ja poczekam...

Jowanowicz, rozpatrzywszy dokładnie położenie pokoju hrabiego Orfeusza, drzwi otworzył, do sieni wszedł, po omacku, ponieważ w sieni ciemno było, na schody trafił i na piętro się dostał. Na pię-

trze bez trudności zorientować mu się przyszło, kierując się wedle wskazówek przez huzara udzielonych...

XXII.

Uczucie i interes.

Przyjazd sztafety, wyprawionej przez hr. Erdödiego wprost do kanclerza, poprzedziły zdarzenia, odnoszące się do tego świata, co w duszy ludzkiej całkowicie zamknięty, ze światem zewnętrznym styka się za pomocą wrażeń. Horyzonty świata tego są raz ciasne, znów szerokie, stosownie do tego, jakiej natury jest punkt ogniskowy: *ja*.

Ja, ahl to ja!... Jak się ono mieni! U jednych wypromienia z siebie popędy, chęci, intencye, wobec których samo w cień się usuwa; u drugich — przeciwnie, rwie się naprzód z pragnieniem podporządkowywania wszystkich i wszystkiego pod sztandar własny. W jednych objawia się odśrodkowość, w drugich dośrodkowość, u wielu zaś ta z tą znajduje się w stanie walki ustawicznej, przeważającej zwycięstwo raz na stronę pierwszej, znów na drugiej. Ja działa, nurtuje — w społeczeństwach pierwotnych brutalnie, w społeczeństwach, co się na pewnym stopniu rozwoju cywilizacyjnego znajdują, w okiełznaniu.

U Leopolda I ja, z natury swojej mocno dośrodkowe, mocnemu też podlegało okiełznaniu. Wychoowanie ujęło je w karby, przy których postawiło wartościowników, nadziało pojęciami o obowiązkach, któremi się nawskroś przejął i którym się w niewolę oddał. Był to pan, uważający siebie w przekonaniu głębokiem za bożego na ziemi namiestnika i niewolnik zarazem.

Przy wychowywaniu go nie zapomniano, że posiada on rozum i serce i skierowano rozum jego ku wyżynom mistycznym, w których dopatrzył astrologię i alchemię, sercu zaś ukazano rozkosze artystyczne malarstwa i muzyki, które mu starczyły tak długo, aż nie obudziły się w nim ludzkiej, młodzieńczej natury popędy. Astrologia i alchemia, malarstwo i muzyka nie sprzeciwiały się wpojonym weni doktrynom. Popędy się sprzeciwiały i z nimi nastąpić musiało starcie.

Księżna Julia w oko mu wpadła.

Postać jej sprawiła w nim rodzaj wrzenia, którego pokryw nie umiał. Kiedy ją widział, tracił przytomność umysłu, wyrażającą się u niego sennym automatyzmem, poruszającym się wedle przepisów etykiety; kiedy jej nie widział, wpadał w niepokój, pozbawiający go apetytu i snu. Trapiła go zazdrość względem tych, co się do niej zbliżali; huczał w nim gniew. Rozgniewał się na wielkiego marszałka za to, że mu ją z przed oczów usunął; pozazdrościł młodemu hrabiemu X. tego, że ją na konia wsadził. Te były powody, dla których jednego i drugiego aresztować kazał. Aresztowanie markiza również nie poszło z tych pobudek, jakie onemu przypisywano. Leopold I chciał przez to męża w oczach żony piętnem niełaski monarszej naznaczyć, rzucić na niego w sposób ten klątwę, interdykt w tem przeświadczeniu, że jak go on odepchnął od siebie, tak księżna Julia od siebie odepchnie. O łasce swojej, widząc jakie ona wywiera skutki, miał wyobrażenie tak wysokie, że nie wątpił, iż pozbawiony onej mąż wstrętnym się stanie żonie. Tu nim także zazdrość powodowała, zazdrość, która mu w nocach bezsennych nasuwała widziadła takie i sprawiała sensacje takie, że poduszki miał, okrycia gryzł i płakał.

Ci, co nad nim czuwali, nie mogli nie dostrzedz tego. Zdradzał się przed usługą najbliższą i, jak się

zdaje, wyznać musiał przed spowiednikiem, najpierwsza bowiem symptomatyczna o stanie duszy cesarza wiadomość z ust księdza Müllera wyszła. Nie była to zdrada tajemnicy spowiedzi. Leopold I ze spowiednikiem swoim i po za konfesyonałem toczył rozmowy długie, których treść, niby około osi, obracała się około przykazania to szóstego, to dziewiątego. Powtarzały się rozmowy te często, po razy parę dniennie. Po wysłuchaniu mszy cesarz prezydował obradom rady stanu, załatwiał sprawy najważniejsze od niechcenia, zbywał je prędko, szedł do gabinetu swego, wzywał księdza Müllera i po kilku słowach wstępu zapytywał:

— Dziewiąte przykazanie... co?...

— „Nie pożądaj żony bliźniego twego”, najjaśniejszy panie...

— Samo więc pożądanie grzech stanowi?

— Stanowi, najjaśniejszy panie...

— Główny?

— Nie... Kościół go do grzechów głównych nie zalicza, jak również nie zalicza do takowych przekroczeń i występków, popełnionych bez intencji.. Zabójstwo w obronie własnej grzechem nie jest i staje się grzechem, gdy się popełnia z podniet pychy, łakomstwa, nieczystości, obżarstwa, gniewu, zazdrości lub lenistwa...

— W nas, zdaje się, podniet tych niema — odzywał się cesarz po chwili namysłu...

— Najjaśniejszy panie, któż, jeżeli nie ja, mógłby w tobie podniet tych dopatrzeć? Nikt nademnie znać lepiej nie może podniosłości uczuć i czystości intencji twoich... Jak długo będą one w sercu twojem panowały, póty grzechu głównego popełnić nie możesz...

Podobnie eksplikował przykazanie szóste, opierając się na intencji i ukazując w perspektywie żal za grzechy i pokutę, mażące winy wszystkie, zbrodnie nawet.

Leopold I nie wymawiał imienia istoty, pod adresem której rozmowy toczył. Nie potrzebował jednak czynić tego. Była to tajemnica przezroczysta.

Raz wytoczył na stół znaczenie wyrazu „bliźni...”

— Bliźnim jest każdy bez różnicy człowiek...

— Tak wogóle—odparł ksiądz Müller—w szczegółach atoli zachodzą różnice, które zaznaczają rozliczne przez kościół wprowadzone i uznane konsekracje... Chrześcijanin różni się od poganina, kapłan od człowieka świeckiego, monarcha od poddanych z powodu święceń sakramentalnych, do których wchodzi: słowo, sól, oliwa i rąk włożenie...

— Monarcha i poddany równymi nie są...

— Nie, najjaśniejszy panie...

— Poddani nie są względem monarchy bliźniemi...

— Nie są, o ile poddanymi są...

Delikatne te kwestye, biegły w teologicznych subtelnościach Leopold I, mógł sobie rozwiązywać sam, potrzebował jednak aprobaty, jak koń, mogący rów szeroki przesadzić, potrzebuje tknięcia ostrogi. Bez ostrogi nie przesadzi. Powstrzyma go obawa. Obawa podobna nurtowała w sercu cesarza, wyrażając się pod postacią lęklności do kobiet. Imaginacją zastępował rzeczywistość, lecz się nią nie zadowalał. Stawiała mu ona przed oczy uroki i rozkosze i wzbudzała pragnienia, przyprawiające go niekiedy o obłąd. Na kolana się rzucał, krzyżem kładł i modlił nie o odwrócenie pokusy, ale o odwagę. O odwrócenie pokusy modlił się dawniej: od chwili atoli, jak poznał księżną Julię, od chwili, jak się przypatrzył jej obliczu, oczom, ustom, jej kształtom, urokom, jakie ją od góry do dołu owiewały, czarom, jakie od niej biły, od chwili, jak się skapał w atmosferze wydzielającej się z niej woni, od chwili tej pokusę wyperswadował sobie i modlił się już o odwagę tylko. O cóż bo się ludzie nie modlą! Leo-

pold I, człek głęboko nabożny, uspokoiwszy teologicznie sumienie we względzie kwestyj delikatnych, ufał, że wybląga sobie mężkie wobec żony cudzej zachwalstwo.

Nie wiedział, jak się do tego wziąć, a miał to za ublżenie powadze własnej, ażeby kogo o rzecz taką z poddanych swoich zapytać. Kogo zresztą? Jednego z tych mężów stanu, doradców korony, co w kabłąk zgięci do niego się zbliżali i tyłem cofali? Czy którego z dworzan? Czy księdza Müllera? Kogo? Najochotniejby się zwierzył paziom, w których oczach czytał, że o wszystkim wiedząc, wiadomości swoich udzieliliby mu w obszerności całej i ze szczegółami wszystkimi; do nich się najbardziej wiekiem zbliżał; do nich go ciągnęło; ale — powaga zdala zatrzymywała. Powaga mu ciążyła, stanowiła rodzaj skorupy na ślimaku — pozbyć się jej ani na chwilkę, na krótką chwilkę, dla pogawędzenia z rówieśnikami i dowiedzenia się od nich o rzeczach ciekawych, dla nikogo i dla niczego rozebrać się z niej nie mógł. Niewolnikiem się czuł. Jak ślimakowi wolno mu było tylko — rogi wystawiać. Do rozpytywań zniżyć się nie mógł i nie wiedział, jak przystąpić do istoty, o której myślenie wprawiało go w drżenie takie, że mu od czasu do czasu zęby dzwoniły, a oblicze przybierało wyraz widzianego pod mikroskopem oblicza pijawki. Warga mu opadała i drgała, oczyma jaśniały blaskiem, nozdrza się rozdymały.

Biedny człowiek!

Zrobił wszystko, co mu natchnienie podyktowało. Poaresztować kazał ludzi, którzy mu przykrość sprawili. I znalazł się wobec rozwiązać się nie dającej zagadki, wyrażającej się pod postacią zapytania:

— Cóż dalej?

Zapytanie to stanowiło myślenia jego treść główną. Powiedzieć można, że nie myślał o niczem innym.

Do głowy mu strzelały pomysły najdziwaczniejsze. Marzył o takim klejnocie, co człowieka niewidzialnym czyni. Za klejnot taki oddałby wszystkie w skarbcu nagromadzone brylanty i poszedł z nim do Julii, do domu jej, do jej pokoju wkradłby się i patrzyłby na nią. Sam jednak uznawał, że było to marzenie płonne. Zastąpił je innem. Zacheiewało się mu przebrać, jak się Al-Raszyd przebierał i *incognito* do niej się dostać. I to jednak marzenie na nic się nie zdało. Dla dokonania czegoś podobnego potrzebaby się komuś zwierzyć—komu naprzykład?... Księdzu Müllerowi? Ksiądz Müller był to powiernik jego jedyny. Doradców miał dużo, pomiędzy księżmi szczególnie — powiernika jednego. Jemu powierzył sumienie swoje; ale — serce?... Powierzyłby je księżnej Julii, gdyby nie lęk, który go na wodzy trzymał i okiełznanie edukacyjne potęgował naturalnem. Stan Leopolda I da się za pomocą porównania określić. Podobnym on był wielce do stanu ptaka w klatce złotej, usiłującego prątki przełamać i na swobodę wybieść.

Stan ten najpierwszy ze wszystkich rozpoznał ksiądz Müller. Zaniepokoił go on. Nie była mu znana lekliwość cesarza, ani nieświadomość jego; poznał jeno namiętność silną i głęboką, która doprowadzić mogła do rezultatów pomyślnych; doprowadzić jednak mogła i do fatalnych. Zależało to od księżnej. Gdyby się do niej cesarz przywiązał, zapanowałby nad nim mogła, a panowanie jej wyraziłoby się w duchu takim lub innym. Cóż ona zacz? Włoszka, weneCYanka, republikanka, przez zamążpójście związana z rodziną Zrinich. Nie były to kwalifikacye obiecujące. Czyby jej atoli nie można w rękę trzymać? Jest małżonką Frangopana, który się nie zgodzi na to, ażeby była cesarską kochanicą. Czyż się nie zgodzi?

— Nie... nie zgodzi się—powiedział sobie ksiądz

tonem, w którym jednak nie brzmiała pewność absolutna.

Ksiądz Müller znał słabe natury ludzkiej strony. Duma, szlachetność nie bywają często osłoną podłości? — nie łączą się z nią niekiedy? Wszelka zaleta, wszelka wada, czyż nie jest względna? Wejście w stosunki poufne z rozdawcą zaszczytów i szafarzem bogactw, czy nie jest to pobudką potężną i racją dostateczną do zgłuszenia skrupułów natury najdrażliwszej? Gdyby zgłuszenie to nastąpiło, w razie takim księżna pozostawałaby pod wpływem męża i przez nią cesarz dostałby się pod wpływ markiza, członka rodziny Zrinich. Taki obrót sprawy byłby najgorszym. Droga tą wślizgnąćby się musiało: usunięcie wpływu Jezuitów, wprowadzenie tolerancji religijnej — osłabienie polityki kościelnej. Nastąpiłby w kraju pokój: co jednak księdza Müllera pokój obchodził! Zakon, którego członkiem był, ma na celu nie uszczęśliwianie ludzkości, ale panowanie nad nią — panowanie niemożliwe bez tępienia swobody sumienia i niedopuszczania polotu myśli. Węgry zarażała nauka Lutra, przeciwko której Zrinscy okuniem nie stawali, byli więc od lutrów gorsi i szkodliwsi, rozmiękczała bowiem opokę Piotrową, podsuwając na miejsce granitu piasek. W interesie więc jego nie było, ażeby się Frangopano spodlił. Dlatego to powiadał sobie: „Nie... nie zgodzi się...” Po namyśle rzekł z akcentem postanowienia powziętego:

— Potrzeba, ażeby się nie zgodził...

Ktoby następnie chciał i mógł śledzić kroki spowiednika cesarskiego, oglądałby go kolejno u najwyższych państwa dostojników: u barona Hochera, u księcia Lobkowicza, u generała Montecuculi, u księcia Dietrichsteina, u grafów Schwarzenberga, Lamberta etc. etc., w końcu u księżnej Rakoczy. Z każdym mówił na osobności, głosem przyciszonym, tonem konfidencyjnym, mrużąc oczy, kiwając głową i okraszając usta uśmiechem.

— Młode piwko burzy się—zaczynał.

„Ano”, albo: „Hm hm”—odpowiadał interlokutor dostojny.

— Gdy się nie wyburzyło w warunkach przyjaźnych, mogłoby beczkę rozsadzić...

— Niezawodnie...

— Zachodzi nie małe *periculum in mora*.

— No?...

— Księżna Julia Frangopano...

— O?...—odpowiadał dostojnik każdy.

Odpowiedź ta powtarzała się niezmiennie. Wygłaszała ją z dostojników każdy głosem i z miną, za pomocą których pokryć usiłował głębokie wewnętrzne wrażenie, jakie na nim nazwisko księżnej sprawiało. „Ol” nic niby nie znaczące, znaczyło bardzo wiele. W tej jednej literze, akcentem zapytania nabrzmiałej, mieściły się: zdumienie, przerażenie, troska o następstwa polityczne i troska o zachowanie stanowiska zajmowanego. Wymawiając je, ten i ów, Montecuculi np., znakomity zarówno jako wojownik i jako intrygant, czuł na karku łechtanie topora. Sensacya ta niemiła zdradzała się w intonacyi, z jaką wymawianą była jedna z pięciu samogłosek, kreślona pod postacią kółka. Może jaka pomiędzy wrażeniem, a postacią litery tej analogia zachodziła. Jest to kwestya do rozstrzygnięcia: coś podobnego przypuszczać można; można jednak o tem wątpić; wątpliwości atoli najmniej nie podlegało wrażenie i zaniepokojenie jak najgłębsze, wywołane w sferach rządzących wiadomością, że młody cesarz umiłował księżnę Frangopano.

Inaczej trochę wiadomość tę przyjęła księżna Rakoczy.

I ona odpowiedziała księdzu Müllerowi: „O?”—ale w jej „o” nie zdumienie, nie przerażenie, lecz podkreślenie faktu zabrzmiało. Wiedziała o tem z góry, nie spodziewała się jeno manifestacyi tak rychłej.

— Pali się... co?—rzekła.

— Płomieniem ogromnym—odrzekł ksiądz.

— Który... oby pożaru nie wzniecił i spodziewanych przez nas żniw nie podpalił...

— Oby...—skłonił ksiądz głową na znak aprobowania słów księżny.

— Cóż więc?—zapytała ta ostatnia.

— Trzeba pożar w granicach właściwych zamknąć...

— To znaczy: małżonkę weń wepchnąć a małżonka tak urządzić, ażeby patrzył a nie widział...

— *Dixisti*, wasza wysokość... Jest to sposób jedyny...

— Nasycenia wilka i uchwiania w całości kozy — podchwyciła. — Bez pomocy mojej tu się nie obejdzie...

— Solicytuję też pomocy wysokości waszej...

— Zacząć należy od tego, ażeby jego cesarska mość zamianowała *proprio motu* banem Kroacyi Piotra Zrini...

Ksiądz brwi lekko zmarszczył, uśmiechnął się i odrzekł:

— Może zajdą trudności jakie...

— Czy są jakie na widoku?—zapytała.

— Ph... — ksiądz ramionami ruszył — nie wiem...

— Te bowiem, co już zaszły, do usunięcia, a raczej do obejścia są... Mikołaj zawinił, Piotr za brata nie odpowiada: tak rzecz tę wsiąść można... co...

Ksiądz brwi wysoko podniósłszy, głowy skinieniem słowa księżny zaznaczył. Było to prostem do wiadomości przyjęciem. Księżna przeto komentarz dodała:

— Byłoby to ujęciem sobie kobiety, która z żądaniem tem do Wiednia przybyła... Obowiązek wdzięczności miewa znaczenie mostu, wielebny panie...

— Ahm — zaznaczył ksiądz, jakby powiedział: „rozumiem”...

— Najjaśniejszy pan raczy mnie odwiedzinami swojemi *incognito* zaszczycić i zastanie u mnie księżnę Julię... Zostawię ich na chwilkę sam na sam... Reszta sama się robi...

— Wasza książęca mość świetne masz pomysły—rzekł ksiądz głowę pochylając.

— Obmyślałam rzecz z góry, od pierwszej bowiem markizowi udzielonej audyencji wiedziałam, co się święci... Kobieta najjaśniejszego pana olśniła...

— Zauważono to powszechnie...

— Ale aresztowanie markiza opinię z tropu zbiło...

— Tak... hm?—ksiądz się uśmiechnął.

— Nie waszą, ojcze wielbny i nie moją... Owóż tak: do zamku pojedę, niech mnie jego cesarska mość do osoby swojej przypuścić raczy a ja rzecz ułożę...

— Byleby jeno księżna Julia cesarza... nie zrazić umiała...

Księżna dłonią machnęła z gestem, mówiącym: „Nie troszcz się o to”.

— Wasza książęca mość przysposobisz ją...

— Co tu przysposabiać!... Czyż możesz, ojcze wielbny, przypuszczać, ażeby księżna nie uledez mogła... urokowi cesarza!...

Ksiądz się uśmiechnął. Księżna z naciskiem wyraz ostatni powtórzyła:

— Cesarza!!

Ksiądz westchnął.

— Odpraw na tę intencją mszę śpiewaną...

— Stanie się zadość życzeniu pobożnemu wysokości waszej—odparł. Rzecz główna w tem, ażeby zaszczyt, jaki żonę spotka, nie doszedł do wiadomości męża...

— O zaszczytach tego rodzaju, żony mężów nie zawiadamiają... Można będzie następnie markiza w ja-

kiejs misyi poufnej do Madrytu wyprawić i kazać mu tam na instrukcye czekać...

— Wysokość wasza — zaczął ksiądz tonem, zapowiadającym bądź dziękowanie, bądź podziwianie.

Księżna mu do słowa przyjęść nie dała.

— Nie myśl wielbność wasza, ażebym, sprawą tą się zajmując, korzyści własnej na widoku nie miała... Chodzi mi o skojarzenie związkim małżeńskim syna mego z Heleną Zrińską... Przy ogniu tym przeto upiecze się i pieczeń moja...

— Na związku tym kościół nie wyjdzie najlepiej—zauważył spowiednik cesarski.

— Oskrzydlę go modlitwami swojemi — odpowiedziała.

Że ksiądz Müller wierzył w potęgę modlitwy, to pewne. W tym atoli razie do wiary dołączał się rachunek. Księżna Rakoczy małżeństwo syna postawiła jako warunek swojej w sprawie sercowej cesarza interwencji. Ksiądz poznał to po akcencie, z jakim rzecz o związku małżeńskim wytoczoną została i domyslić się mu było łatwo, że księżna wkłada na niego obowiązek przysposobienia umysłu Leopolda I do uczynienia zadość dwom żądaniom: zamianowaniu Piotra Zriniego banem i zezwolenia na związek córki jego z synem księżny Rakoczy. Od uczynienia dwom tym żądaniom zadość zależało zabezpieczenie młodego cesarza od wpływów zgubnych kosztu niewielkim: kosztem czci kobiecej, pozostającej pod egidą sakramentu małżeństwa.

Ponieważ strona jedna i strona druga, to jest tak ksiądz Müller, jak księżna Rakoczy, w sprawie tej zainteresowani byli, układ więc nastąpił z łatwością. Nie potrzeba go było spisywać. Interes zobowiązany starczył za kontrakt na piśmie, za podpisy i za pieczęci. Ksiądz zobowiązania dotrzymał. Księżna, gdy w parę godzin później zakołatała do podwoi cesarskich, znalazła drzwi wszystkie przed sobą otwar-

te i zaprowadzoną została wprost przed oblicze cesarskie.

Leopold I przyjął ją w gabinecie swoim, uprzejmie ją powitał i usiąść kazał. Nie prosił, ale rozkazał—etykieta mu prosić nie pozwalała.

Księżna miejsce zajęła i na rozkazy dalsze czekała.

— Z czym do nas przychodzisz wysokość wasza?...

— Przedewszystkiem, z pragnieniem dowiedzenia się o stanie najdroższego waszej cesarskiej mości zdrowia...

— Zdrowie nasze w dobrem, Bogu dzięki, znajduje się stanie.

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki... Opo wiedzieć nie zdołam przerażenia i niepokoju, w jaki wprawiła mnie wieść o wypadku, jaki waszą cesarską mość spotkał... Widocznie jednak Opatrzność nad waszą cesarską mością czuwa... I czyżby mogło być inaczej!...

Cesarz głową razy parę skinął i zapytał:

— Cóż więcej?

— Jak do Boga, tak do was, najjaśniejszy panie, zwracamy się z prośbami... Pozwól, najjaśniejszy panie, przedstawić ci prośby moje...

— Jakie?—odparł.

— Racz łaskawem okiem wejrzeć na hrabiego Piotra Zrini i, zamianowawszy go banem Kroacyi, pozwolić mu córkę wydać za syna mego... Prośba ta dwie prośby zawiera w sobie... Składał ją u stóp waszych, najjaśniejszy panie...

Cesarz przez nos zlekka czmychnął i odrzekł:

— Na uwagę ją weźmiemy... Rada nadworna wolę naszą usłyszysz.

— Nie umiem zdobyć się na wyrazy podziękowania waszej cesarskiej mości za łaskawość, którą

jeszcze, jeżeli wasza cesarska mość pozwolić mi raczy, na próbę wystawić się ośmielę...

— Pozwalamy—odrzekł cesarz z akcentem lekkiego w głosie zajknięcia.

— Zaszczyciłeś mnie niegdyś, najjaśniejszy panie, bytnością swoją, zaszczycić racz jeszcze... Wyświadczyć łaskę tę kobiecie, co po Bogu czci najwyżej ciebie...

Leopold I przez chwilę milczał, jakby się namyslał; wreszcie milczenie przerwał wyrazem:

— Dobrze...

— Chwilka czasu, jaką spędzisz pod dachem moim, pozostanie mi w sercu, jako wspomnienie szczęścia najwyższego... Pragnę jeno, aby ci u mnie czas długim się nie wydawał i dlatego, jeżeli pozwolisz, do pomocy sobie zawezwę damę jedną...

Cesarz powieki spuścił i milczał.

— Damę młodą—dodała.

Cesarz milczał i wargę dolną, która mu mocno opadła, wprowadził w drganie lekkie. Powiek nie podnosił. Upłynęło czasu minut parę. Księżna czekała na odpowiedź, której doczekała się wreszcie. Leopold I odchrząknął raz, odchrząknął raz drugi, zaczął od pobekiwania niewyraźnego i niebardzo wyraźnie wygłosił zapytanie:

— Kiedy?

— Jeżeli wola wasza, najjaśniejszy panie, jutro o trzeciej po południu...

Znów nastąpiło milczenie.

Cesarz głowę spuścił. Po obliczu jego przesunął się uśmiech i po uśmiechu udzielił księżnej pozwolenia do odejścia, bez czego ona oddaliłaby się nie mogła.

XXIII.

Plotki i obrady.

Rada nadworna w pełnym zgromadziła się komplecie.

Wszystkie około zielonego stołu siedzenia były zajęte, z wyjątkiem jednego, odosobnionego nieco, a różniącego się od innych rozmiarami, kształtem i obiciem. Po rzeźbie na poręczach, po inkrustacyach; po bogactwie obciążającej je materyi, poznać było można odrazu, że przeznaczonem jest dla śmiertelnika niezwykłego. Przed niem na stole leżały przybory do pisania: papier biały, misternej roboty kałamarz, świeżo zatemperowane pióra, złotym piaskiem napełniona piaseczniczka, w oprawie z perłowej matcei nożyk i linia hebanowa. Przybory do pisania leżały przed każdym z radców, przed jednym zaś spoczywała pieczęć ogromna. Naprzeciw próżnego siedzenia zajmowali miejsca dwaj mężowie, przed którymi papier znajdował się w większej, aniżeli przed innymi ilości... Na środku stołu wznosił się krucyfiks i stały w szeregu księgi w pergamin oprawne.

Dwaj ostatnio wymienieni mężowie pisali, inni zabawiali się cicho prowadzoną rozmową. Jenerał Montecuculi opowiadał poszeptem księciu de Sagan o zmartwieniu biskupa, któremu uciekł kot. Księża to bawiło. Uśmiechał się.

— Nie jest to jednak powód do zmartwienia wielki—zauważył.

— Nie wielki... zapewne; jego świątobliwość jednak wypadek ten tak przejął, że apetyt i sen stracił i wczoraj przy nabożeństwie, jeżeliś wasza książęca mość zauważył, roztargniony był...

— Uhm...—mruknął książę.

— Zauważyłeś wasza książęca mość?

- Coś... tak... zdaje się...
- Fałszywie śpiewał *salvum fac...*
- A... prawda...
- Otóż to z powodu kota ..
- Rzecz ciekawa, czy wpadło to najjaśniejszemu panu w ucho...
- Nie...
- Wpadło może...
- Nie... Najjaśniejszy pan—dodał ciszej—roztargniony był...
- O tak... był bardzo roztargniony...
- Hm... hm...—chrząknął generał znacząco.
- Hm...—odchrząknął książę.
- Na czym się to skończy?...
Książę ramionami ścisnął.
- Księżna Rakoczy... o...
- Phi... w lot strzela...
- Baba minister... Zdawać się mogło, że czyta waryatka, a ona... proszę... no...
- A ba... Przybrała na siebie pozory... Jam się domyślał, że się coś tam ukrywa...
- A jam był taki naiwny, że w jej pobożność wierzył...
- Nie poznałeś się, ekscelencyo, na manewrach wojennych...
- Przyznaję się do tego... hm?... Końca jednak czekajmy... zobaczymy... Książdz Müller...
- Cicho, ekscelencyo — szepnął książę de Sagan.
- Jam jest taki otwarty, że się miarkować nie umiem...
- Dwór to nie plac bitwy — rzekł książę sentencyonalnie.
- Tak... to prawda... Na wojnie nie ma się do czynienia z babami...
- Westchnął i po chwili dodał:
- Czyś wasza książęca mość nie dostrzegł, że księżnej dwóch zmarszczków ubyło?...

— O?... nie dostrzegłem...

— Ubyło... jednego pod okiem prawem, drugiego pod lewym...

— Ubyło?... no, proszę...

— Odmłodnieje... Gotowa... kto wie...

— Pierwej syna ożeni...

— Proszą drogą ku katastrofom idziemy... Przecieżby... ksiądz Müller... — szepnął bardzo po-cichu.

— Następnie dwaj ci mężowie stanu rozmawiali z sobą w ten sposób, że jeden głowę ku drugiemu nachylał, a drugi mu w ucho wyrazy wsuwał.

— Otwartość jest moją wadą główną—odezwał się głośniejsz nieco jenerał. — Gdyby nie ona, byłbym nie pisał...

— Nie podpisałeś się jednak...

— No... tak... Ale się sam zdradziłem...

Mowa była zapewne o polemice, jaką Monteculi z hrabią Mikołajem zawiązał.

Treści podobnej rozmowy, z wyjątkiem rzeczy o kocie biskupim, toczyli z sobą inni mężowie stanu. Parami szeptali jeden do drugiego, pochylając jeden ku drugiemu peruki, piętrzące się puklami siwemi. Z pod peruk przeglądały oblicza stare i młode, chude i tłuste, odbijające od niepokalanej bieli kołnierzy haftowanych, zdobiących szyje i piersi. Na piersiach wszystkim z ukosa przewijały się wstęgi; wszyscy posiadali order: co znaczyło, że byli to ludzie nie tylko wysoko postawieni, ale i zasłużeni.

Zgromadzili się w celu obradowania nad sprawami publicznymi w komnacie, przyozdobionej w dużych rozmiarów portret cesarza i w kilka malowideł treści historycznej, zawieszonych na ścianach, pokrytych rzeźbieniem i złoceniem. Okna osłaniały firanki, drzwi maskowały portyery. Siedzący za stołem rozmawiając, raz po raz ku jednej z portyer wejrzania ukośne posyłał, aż naraz wszyscy zamilkli. Por-

tyerę podniosła ręka niewidzialna, ukazał się w niej człowiek w peruce i w odzieży suto szamerowanej i głosem donośnym zawołał.

— Jego cesarska mość!...

Mężowie za stołem wszyscy naraz, jak jeden, powstali i wszyscy, półobrotem ku portyerze się zwróciwszy, głowy pochyłili i ciała pod kątem wynoszącym najwyżej 200° nagięli. W chwili tej z po za portyery wysunął się Leopold I. Wyszedł, ku siedzeniu niezajętemu wprost się skierował, miejsce zajął, po obecnych okiem powiódł i rzucił wyrazy:

— Panowie... usiądźcie...

Radcy razem usiedli.

— W imię boże obrady rozpoczęte...

Wyrazy te cesarz wymawiał tonem lekcji wyuczonej i mechanicznie wydawanej. Powtarzał je za każdym rady nadwornej posiedzeniem, na którą przychodził po wysłuchaniu w kaplicy zamkowej mszy, odprawianej pod inwokacją Ducha świętego. Tym razem przy mszy spowiadał się i komunikował, dlatego z zagajeniem obrad spóźnił się nieco. Radców to nie zdziwiło; zdziwiło ich atoli to, że cesarz wszedł, niosąc w ręce we czworo złożony papier, który, siedzenie zajmując, przed sobą na stole położył. Coś papier ten zawierał w sobie, coś on oznaczał: czy nie pismo to odręczne? — to stanowiło przedmiot nie tyle może zdziwienia, co zatroskania się radców. Z pod oka każdy ku papierowi wejrzenie słał i każdy siebie w duchu zapytywał:

— Co to?

Spóźnienie oznaczało spowiedź; spowiedź odbywał Leopold I przed obradami zawsze, ile razy kwestya ważna rozstrzygać się miała. Papier ten przeto do kwestyi jakiejś ważnej odnosić się musi. Tyle je-no wynioskować można było. Nie pozostawało więc, jak czekać, aż się rzecz wyjaśni.

Obrady rozpoczęły się, i toczyły, jak zwykle. Kanclerz przedstawiał sprawy; radcy wypowiadali

opinie swoje; cesarz rozstrzygał, wygłaszając: „Tak nam się podoba”; sekretarze notowali, odkładając na później redakcyę dekretu, reskryptu, aktu, manifestu, dyplomu lub innej, stosownie do rodzaju sprawy, nazwy dokumentu, który następnie miał być cesarzowi do podpisu podany. Niekiedy cesarz sprawy, bądź z porządku dziennego usuwał, bądź też na później odsyłał. Do tego służyły formuły: „Nie podoba się nam...” „Podoba się innym razem.” Radycy mieli jeno głos doradczy i cała ich troska, cała mądrość na tem polegała, ażeby nie wygłosić opinii, któraby się cesarzowi nie podobiała. Z racyi tej obrady odbywały się cicho, spokojnie, bez najmniejszego wydatku krasomówstwa, bardzo porządnie i bardzo poważnie. Zdania przeciwne nie występowały nigdy prawie, samo bowiem przedstawienie przez kanclerza kwestyi zawierało w sobie wskazówkę, w jakim ma być ona rozstrzygnięta duchu. W sposób ten odbywały się obrady i obecnie.

Sprawy przez kanclerza wytaczane należały do rodzaju potocznych, z wyjątkiem dwóch, z których jedna tyczyła się stosunków z dworem francuskim, druga zaś — kontrabandy religijnej. Pierwszą, mimo, że była wagi wielkiej, cesarz na delatę puścił, drugą rozstrzygnąć należało. Kontrabanda polegała na wprowadzeniu protestanckiego domu modlitwy do miejscowości, w której ani podejrzewano protestanckiej zarazy. Donoszący o tem namiestnik prowincyi zawiadamiał o pojmaniu na gorącym uczynku pastora i skonfiskowaniu biblii i zapytywał, czy w nadzwyczajnym tym wypadku postąpić ma sobie drogą zwyczajną, czyli też chwycić się środków nadzwyczajnych. Sprawa w doniesieniu zaopatrzoną była w kwiaty retoryczne, zbrodnię podnoszące i potęgujące. Była tam mowa „o wilku, co się do owczarni pańskiej wkradł”, „o szatanie, co na dusze niewinne czyhał”, „o pajaku, co zdradliwie sieci rozstawił.” Widocznie namiestnik miał na celu nie tyle zawiadomienie o fak-

cie, co zaznaczenie gorliwości i żarliwości własnej wobec cesarza, zaznaczył więc ją tak dosadnie, że słuchaczy raportu groza przejmowała. Przejmowała ich groza tembardziej, że się cesarz poruszył. Kiedy kanclerz głosem zwyczajnym wymówił wyraz „wilk”, Leopoldowi I wargą dolną mocno zadrgała. Dlatego też wyrazy „szatan” i „pająk” wymawiał baron Hoher z przyciskiem krasomówczym, a radcy podkreślali je marszczeniem brwi, zaciskaniem ust i innemi do okoliczności zastosowanemi, a formom etykiety dworskiej się nie sprzeciwiającemi oznakami. Podkreślali je pomimo, że cesarzowi wargą już nie drgała—przeciwnie, do góry ją ściągnął i uśmiechem, ustami od ucha do ucha rozciągającym, okraślił. Leopold I bowiem raportu namiestnika wcale nie słyszał. Podczas czytania onego myślał o księżnej Julii i myślenie to wargę jego do zadrgania, usta do rozciągnięcia się od ucha do ucha pobudziło. Radcy atoli manifestacje te wytłómaczyli sobie inaczej i z racji tej, gdy do opiniowania przyszło, wszyscy jednogłośnie oświadczyli się za środkami nadzwyczajnemi, niektórzy zaś rzecz wyraźniej zaznaczyli, doradzając ten ćwiertowanie, ów łamanie na kole, inny spalenie żywcem na stosie pastora, co w osobie swojej mieścił wilka, szatana i pajaka. Kolej doszła do cesarza; kanclerz sprawę tę przedstawił mu pod postacią zapytania:

— Jak wasza cesarska mość rozkazać raczy postąpić z pastorem?

— Z kim?...—zapytał Leopold I, jakby nagle ze snu zbudzony.

— Z pastorem?...—powtórzył kanclerz.

— Puścić...—odpowiedział cesarz.

Słowo to rzekł i znów mu wargą dolną drgać zaczęła.

Wypowiedzieć nie sposób wrażenia, jakie odpowiedź cesarska sprawiła. Ci co ćwiertowanie, łamanie na kole i palenie na stosie doradzali, skompromi-

townymi, zgubionymi się czuli. Mimo to żadnemu na obliczu muskuł ani nerw żaden nie zadrgał, żadnemu oczy nie zamigotały. Decyzję cesarską przyjęli w milczeniu, z powagą i z pochyleniem jednogłównym na znak uznania woli monarszej. Peruki się w kierunku osoby cesarskiej kiwnęły i podniosły, zajęły pozycje poprzednie i kanclerz oznajmił, że na porządku dziennym spraw bieżących więcej niema.

Cesarz przez nos odsapnął i ręką ku leżącemu na stole papierowi sięgnął.

— Ale — zaczął kanclerz — jeżeli niema spraw bieżących, to jest jedna nadzwyczajna, celem przedstawienia której upraszać mam zaszczyt o pozwolenie najmiłościwszego pana, cesarza i króla...

Cesarz na znak pozwolenia głową skinął.

— Najjaśniejszy panie, w dniu wczorajszym około południa ręk moich doszła depesza, wyprawiona sztafetą dni temu trzy z Warasdina przez nadkapetana, Mikołaja hrabiego Erdödi...

Na słowa te oblicze Leopolda I oblała bladłość śmiertelna. Wargi mu zbielewały, głowę odwrócił, jakby chciał oczy schować, kanclerzowi nie odpowiadał... W sali zapanowało milczenie. Radcy w nieruchomości posągowej, przerażeni zmianą, jaką z cesarzem zaszła, na miejscach swoich siedzieli. Trwało to minutę, dłużej może nieco, — wreszcie baron Hoher przerwał ciszę, ciągnąc dalej rzecz zaczęłą:

— ... Dziś zaś rano przytrzymano na rogatek gońca, wyprawionego przez markiza Frangopano z listami... List jeden pisany jest kluczem; drugi, pisany zwykle, zawiera w sobie wyrażenia kary godne...

Po chwili, ponieważ cesarz milczenie zachowywał, kanclerz zapytał:

— Rozkaże najjaśniejszy pan depeszę odczytać?...

Na skinienie przyzwalające, baron Hoher zaczął:

„— Mam zaszczyt ekscelencyi waszej donieść,

że pod datą dnia dzisiejszego odbyło się w lasach czakowackich wielkie, w asystencji gości licznych polowanie, na którym były ban, Mikołaj hrabia Zrini, śmierć poniósł. Smutny ten wypadek nastąpił w kniei; prawdopodobnie zwierz dziki ś. p. hrabiego zadusił, przez zajmowane bowiem przezeń stanowisko niedźwiedź przeszedł. Wiernopoddańcze uczucia donieść mi nakazują, że złośliwość wypadek ten przypisuje nakazowi wyższemu, nie wahając się zębem oszczerczym zaczepiać o tron. Z powodu tego panuje wzburzenie umysłów. Czekam na rozkazy.”—Data i podpis.

W czasie czytania depeszy cesarz powoli ze wzruszenia ochłonał—wargi odął i brwi ściągnął.

Kancierz, papier w rękę trzymając, czekał.

Minęło chwil kilka zanim się Leopold I do przemówienia zebrał:

— Nakazać dochodzenie rodzaju śmierci... która—dodał—nie może być inną, jak od zwierza dzikiego...

— Woli waszej cesarskiej mości stanie się zadość... Nie przypuszczalnem jest, ażeby były ban, Mikołaj hrabia Zrini, zginął inaczej, jak od niedźwiedzia?...

Radcy, do których z akcentem półzapytania zwrócone były wyrazy ostatnie, razem perukami na znak przyznania kiwnęli.

— O wypadku w mieście nie głosić... — odezwał się cesarz.

— Gońcy z Czakowca i do Czakowca przyaresztowani zostali... — odrzekł kancierz i zapytał: — Zabrane przy nich listy wasza cesarska mość rozkaże?...

— Spalić...

— Woli waszej cesarskiej mości stanie się zadość...

Nastąpiło znów milczenie i czekanie.

Radcy bez rozkazu cesarskiego ruszać się z miejsc

nie mogli. Na rozkaz przeto w nieruchomości posagowej czekali, cesarz zwlekał, wreszcie do kanclerza się zwracając, palcem na leżący na stole papier wskazał i rzekł:

— Do odczytania głośno...

Kanclerz, jak skoro papier rozłożył, wnet wstał i tonem uroczystym oznajmił:

— Reskrypt własnoręczny najjaśniejszego pana.

Na słowa te wstali wszyscy, głowy pochylili; kanclerz czytać począł: „My z bożej łaski cesarz rzymski, król... książę... graf... baron... pan... itd. itd. wszem wobec i każdemu z osobna wiadomem czynimy” itd., itd. Była to nominacya bana kroacyi w osobie Piotra hrabiego Zriniego.

Piorun w dzień jasny, słoneczny, bez cienia chmurki na niebie padający nie sprawiłby silniejszego, jak nominacya owa, wrażenia. Wrażenia tego jednak na radcach zgoła nie było. Przyjęli nominacyą tę do wiadomości bez zmrużenia żrenicy. Cesarz czytania wysłuchał z powiekami przymkniętymi i z drgającą wargą dolną: gdy zaś skończone zostało i pozostawało jeno kanclerzowi, przez przyłożenie pieczęci, kontrasygnowanie, zaznaczenie numeru i zaciągnięcie do akt państwowych, formalności porządkowej dopełnić, wstał, wyrazy „posiedzenie rozwiązane” rzucił i szybko wyszedł.

Radcy wynosić się poczęli po jednym, po dwóch, żegnając się z pozostającymi i nie odzywając się jeden do drugiego o śmierci hrabiego Mikołaja. Mówili jednak o nominacyi.

— O ile niespodziany, o tyle mądrością głęboką nacechowany krok...

Wszyscy się na to zgadzali. Każdy atoli sam siebie w duchu zapytywał:

— Co to znaczy?.. Jakim to zbiegiem okoliczności zeszła się nominacya z wiadomością o śmierci?...

Każdy w myśli sobie karbował:

— Śmierć od zwierza dzikiego... hm?... hm?...

Zwierz dziki... niełaska cesarska?... Czy też niedźwiedz ów na zamówienie się nie stawiał?...

Kancelarz Hoher nie mówił i o czem innem myślał. Zadawał on sobie zapytanie dziwne: „Czy zwierz dziki nie zadusi kiedy księdza Müllera?” W duszy mu wyły wykrzykniki:

— O łasko pańska!... O zajeżdżaczko pstrych koni!...

Po głowie snuły mu się sielskie życia obrazy. Marzenie przed oczy jego, podczas kiedy papiery do teki wkładał, stawiało: cichą ustron, pałacyk wygodny, łąki, na łąkach trzody, laski, w laskach ptaszki; przysłuchiwał się mu nawet śpiew słowika, pomimo, że na dworze deszcz jesienny padał i listopadowe wiatry pojękiwały; przypominał sobie jednak pieczęć, godło kancelerstwa i marzenia pierzchły. Gdyby się pieczęci zrzekł, miałby ją kto inny—on by w razie takim żółtaczkę dostał. Westchnął i zajął się uzupełnieniem formalności, tyczącej się zamianowania banem hrabiego Piotra.

Generał Montekukuli, z sali obrad wyszedłszy, udał się do zamieszkującego w zamku księdza Müllera. Księdza w domu zastał, ale nie samego. Znajdował się u niego astrolog. Ten ostatni atoli zabawił nie długo. Dokończył jeno rozmowy, z której do słuchu generała dostały się tylko frazesy następujące:

— Po raz drugi nie był?... — pytał ksiądz.

— Nie był...

— To dziwne... Przekonany byłem, że raz bodaj jeszcze, mianowicie zaś wieczora wczorajszego, do waszmości na wieżę zajdzie...

— Obserwacyom przeszkadza niebo pochmurne.

— Prawda... — rzekł ksiądz, astrologa za próg wyprowadził, słów parę jeszcze z nim zamienił i, powróciwszy, jął się generała za uchybienie mu przepraszać.

— Ale... a... uspokajał generał księdza.

— Musiałem doktora odprawić

— Co ojciec trzymasz o nauce jego?...

— Hm... Najwyższa mądrość ludzka jest mniej, aniżeli niczem w porównaniu z mądrością bożą... *Ex nihilo nihil*. Z niczego stwórca tylko świat wyprowadził, nauka przeto astrologa naszego ani to pomaga, ani szkodzi...

— Zajmuje jednak najjaśniejszego pana...

— Jako rozrywka, która mu do sprawowania rządów bynajmniej nie przeszkadza...

— Gdyby się mu trafiła rozrywka rodzaju innego... — odezwał się generał tonem zlekka insynuacyjną nacechowanym.

— Zajmowałby się nią jak astrologią...

— I w gwiazdy patrzył... No; ale ja do was, ojcze wielebny, przychodzę z wiadomością ciekawą i ważną...

— Naprzykład?...

— Czy wiecie, kto został banem kroacyi?...

— Nie wiem...

— Czy byście się też domyślili?...

— Nie domyślam się...

— Przecie?...

— Kołatało się po kątach nazwisko Piotra Zrińskiego...

— I wykołatało się...

— To być nie może!... — wykrzyknął ksiądz tonem takim, że wykrzyknik ten miał akcent szczerości całkowitej. — Żartujecie, ekscelencyo...

— Wcale nie żartuję...

— Nikt tego nie brał na seryo...

— Fakt jednak stał się seryo... Wracam wprost z posiedzenia rady nadwornej, na którem czytany był reskrypt cesarski... Nikt inny, chyba jeno najbogobojniejsza księżna tego pótheretyka na wierzch wysunęła...

Ksiądz ramionami ścisnął i westchnął.

— Jest to — ciągnął generał dalej — jest to... policzek dla mnie tak, że nie wiem w którą się zwró

cię stronę; czy ofiarować usługi moje — Janowi Kazimierzowi?... czy do dworu hiszpańskiego kołatać... czy u stóp Apeninów osiąść i kapustę uprawiać?... Bądź co bądź, wynosić mi się stąd potrzeba...

Ksiądz z dobrotliwym, służącym za maskę wejrzaniu drwiącemu, wyrazem w oczach na generała patrzył. Wedle wyrazu tego sądząc, pomyśleć by można, iż powiedzieć chce: „Żartuj sobie, generale, zdrów”. Powiedział jednak nie to, ale:

— Nie należy bo, ekscelencyo, brać rzeczy ze strony takiej tragicznej... Mnie samego nominacya ta, tak dalece dziwi, że wierzę w nią dlatego, że z ust waszych wiadomość tę odbieram... Ale, powiem tak, jak w razach podobnych mówić się godzi: „Nie zbadane są wyroki boże”...

— Zapewne... — odparł generał — i wyroki te właśnie mnie z cesarstwa na banicyą skazują...

— I nie... i nie... Miecz wasz potrzebniejszy jest cesarstwu dziś, niż kiedy... Kto wie, azali najjaśniejszy pan nie dla tego właśnie „półheretyków”, jak ich nazywacie, podnosi, ażeby się uzuchwalili i z wysokości tem głębiej w dół spadli... Uzuchwalenie się ich to wojna w przyszłości niedalekiej, a wojna dla kogo, jeżeli nie dla was?...

— Hm?... — mruknął generał.

— Wierzajcie mi, ekscelencyo: stanowisko wasze przez zanominowanie Piotra Zriniego banem, nie jest ani trochę zachwiane...

— Doprawdy?...

— O ile o tem sądzić mogę, nie wdając się w sprawy, które do mnie nie należą...

Przy słowach ostatnich generał spojrzał na księdza z tym samym dobrotliwością zamaskowanym, drwiącym wyrazem, z jakim ksiądz na niego patrzył przed chwilą. Jeden drugiemu wet za wet oddał. Generał się znacznie uspokoił, usiadł, nogę na nogę założył i, stopą kiwając, zawiązał gawędkę, wijącą się naksztalt girlandy, w której za wiązanie służyły

plotki. Powtórzył wiadomość o kocie księdza biskupa i o sfałszowaniu nuty w *salvum fac*. Powtórzył rzecz o zmarszczkach księżny Rakoczy, do której cierpiał anse szczególną i do rzeczy tej dodał:

— Proteguje księżnę Julię Frangopano nie bez myśli ukrytej...

— Cóżby za myśl ukrytą miała!... — zareplikował ksiądz

— Co za myśl?... Wam, ojcze wielbny, powiem otwarcie... Otwartość jest chorobą moją... Co za myśl?... Najjaśniejszy pan młody, księżna Julia piękna: jej wysokość więc manewruje, celem sprowadzenia młodości z pięknoscią i utargowania przy okazji tej cześć dla siebie... Ja nie patrzę niby, a... widzę...

— Ekscelencyo... — zaczął ksiądz z namaszczeniem. — „Nie mów fałszywego świadectwa naprzeciw bliźniemu twemu”, zwłaszcza, że wchodzi tu święta pomazańca bożego osoba...

— Czyż ja co mówię!... — odparł generał głośno strwożenia.

— Nie powtarzaj tego, co ci się wydaje, że widzisz...

W ostrzeżeniu tem brzmiało w głębi: „Łaskę stracić możesz.”

— Z Mikołajem Zrinim mogłeś pofolgować sobie — dodał ksiądz — ale... z najjaśniejszym panem...

Generał chciał księdza o śmierci Mikołaja Zriniskiego zawiadomić, lecz słowa cesarskie sobie przy pomniał, za język się ugryzł i zmilczał.

XXIV.

W opałach.

Wyszedszy z posiedzenia rady nadzwyczajnej, Leopold I uczuł się nagle, jakby się uczuć mu-

siał człowiek, co nie nawigował nigdy w łodzi na wodzie. Łódkę prąd unosi, fala nią kołysze, wiatr ją chyli—on użyć nie umie ani steru, ani wiosł, ani żagli. Znęcił go lazur toni, jej przejrzystość zwierciadlana, zagadkowość czarująca głębi, puścił się i wróciłby rad — nie może. Sposoby, znane każdemu innemu, są dla niego zadaniem do rozwiązania, do którego nie wie, jak się wziąć. W podobnie kłopotliwym położeniu uczuwał się cesarz. Powróciwszy do gabinetu swego, chodził, w palce poklaskiwał, przed oknem stawał, na szybach bębnienia próbował i myślał, myślał, myślał głębiej, aniżeli nad powikłaniami siedmiogrodzkiemi, obszerniej, aniżeli nad zamętą północno węgierskim, dłużej, aniżeli nad stanem Krocacyi, czulej, aniżeli nad położeniem chrześcian w jarzmie tureckiem, pilniej, aniżeli nad stosunkami z Polską, Francją, Wenecją, Hiszpanią etc.

Nadeszła pora posiłku południowego. Pójście do stołu, przy którym cesarz jadał sam, odbywało się z ceremoniałem odpowiednim. Posługiwali mu urzędnicy wielcy koronni, wielki krajczy, wielki cześnik, wielki itp., którzy dania przynosząc, napoje nalewając, obowiązani byli kosztować z tálacza i puhara każdego. Przy jedzeniu przygrywała muzyka niewidzialna. Cesarz jadał powoli i ciamkał głośno, powstrzymywał się jednak od grzechu obżarstwa, w czem zresztą nie było z jego strony zasługi—natura go obżartuchem i opilcem nie stworzyła. Tym razem do stołu zasiadał z apetytem zawziętym. Zdawało się mu, że zje, zwłaszcza zaś wypije dwa razy tyle, jak zwykle. Pokazało się jednak, że był to apetyt fałszywy. Przełknął łyżek kilka i talerz z gniewem odsunął; toż samo uczynił z daniem następnem; wina mu nie smakowały, obecność urzędników koronnych zawadzała, muzyka—muzyka nawet, którą się rozkoszował—nieznośną mu się wydała. Wszystko to: jadło, napoje, urzędnicy, muzyka szczególnie, przeszkadza-

dzało mu myśleć. Od stołu, obiadu nie dokończywszy wstał i do gabinetu odszedł.

— Cesarz chory... — szepnęła z urzędników jeden.

— Gniewny... — odszepnęła drugi.

— Czego?...

— Rada go snadź irytowała.

— Niechby radę rozpędził i sam rządził...

— Do tego przyjdzie zapewne... Ksiądz Müller sam jeden ma w pięcie rozumu więcej, aniżeli radcy wszyscy w głowach.

W gabinecie Leopoldowi I wydało się ciasno. Udał się do komnaty następnej, z tej do przyległej, przeszedł szereg pokoi i znów do gabinetu powrócił. W pochodzie tym zatrzymał się przed zwierciadłem i nie poznał siebie. Przedstawiła się mu osobistość jakaś obca. Odwrócił się, znów się zwrócił.

— To my przecie... — powiedział.

Widział się od stóp do głowy; rozpoczął oględziny osoby własnej od dołu. Miał na nogach trzewiki z klamrami, na których odbijały brylanty — piękne brylanty: zadowoliło go to. Z trzewików wychodziły pończochy — pończochy jedwabne, barwy ciemno wiśniowej, obciążające należycie nogi po kolana i ujęte w górze w przepaski podwiązek złotem przetykanych i brylancikami zrzadka osypanych: i te go zadowoliły. Pludry aksamitne, odpowiadające barwą barwie pończoch, znalazł bez zarzutu. Odzież zwierzęchnia, z przodu otwarta i okryta szamerowaniem, na które się wysilił kunszt szmuklerski, wielce się mu podobała. Wiódł okiem z dołu ku górze, po guzach i pętlach połyskujących od kamieni drogich, po taśmach misternie tkanych, po szwach umiejętnie a elegancko stębnowanych: przegląd ten przyjemność mu sprawiał. Wzrok najdłużej zatrzymał na kryzach białych, artystycznie dzierzganych i haftowanych, na kształt nimbu śnieżystego wznoszących się nad pierśią i otaczających szyję i powiadał sobie:

— To dobrze... to tak...

Miał to pocucie, że oprawa zewnętrzna odpowiada zupełnie i godnie osobie jego i znajdzie uznanie wszystkich i każdego, szczególnie zaś—jej. „Jej—ona — jej:” — wciąż i wciąż po myśli mu się snuło. Dla „niej” to oględziny te czynił, które prowadził dalej i, do kryz doszedłszy, zamiast wzniesć wejrzenie wyżej, rzutem jednym przeniósł je w dół, do trzewików. Znow przegład rozpoczął, powolniej, aniżeli poprzednio. Dłużej wzrokiem badał trzewiki, kłamry, pończochy, podwiązki, pludry, szamerowania, kryzy i kiedy przyszło badać dalej, wzrok jego, niby ptak ze skrzydłem ustrzelonem, na trzewiki spadł. Powtórzył to po raz trzeci i tym razem oględzin dokończył. Spojrzał sam sobie oko — spojrzął, oczy spuścił, znow spojrzął, znow oczy spuścił, raz jeszcze spojrzął i raz jeszcze oczy spuścił, jakby blask go olśniewał. Blask ów bił nie od peruki ogromnej, strzępiącej się puklami, które falistym ułożone kształtem, tworzyły nad czołem pagórek podwójny, podobny do grzbietu wielbłądziego i spływały w zwojach do koła na kark i ramiona, ale od oblicza—blask dziwny, zagadkowy, rzucający w duszę zapytanie: „Czemu on taki” i wywołujący w niej pretensyą do Boga.

— Mój Boże!... o! mój Boże... — wzdychał.

I myśleć się starał nie o obliczu swoim, ale o niej...

— Ona... taka piękna!... Ona... musi być dobra, liściowa, o! tak: dobra i liściowa... Czyżby inną być mogła?... Ona... ach!...

Strzeliła mu do głowy myśl jedna, która do serca jego wlała trochę balsamu pociechy. Czepił się etykiety. Etykieta nakazywała damom przedstawiać się monarsze z oczami spuszczone. Uradowało go to. Przed zwierciadłem doświadczenie uczynił, oczy spuścił i przypatrywał się odbiciu postaci swojej. Do-

świadczenie to, razy parę powtórzone, doprowadziło do rezultatu pomyślnego.

— Tak... — rzekł sam do siebie. — Będzie widziała nasze trzewiki, pończochy, pludry, szamowania, wejrzeniem zachwyci kamizelkę, sięgnie najwyżej brzeżka kryz i... nie będzie widziała nic więcej... O! jakaż to rzecz rozumna... etykieta dworska... O! jakim to mędrceem był ten, co ją wynalazł...

W sposób ten pocieszony i uspokojony spojrzał raz i drugi w zwierciadło, zatrzymując wzrok dłużej; aniżeli poprzednio na obliczu swoim, które dzięki bezsennicom i utrapieniom, jakich przez tych dni kilka doznawał, pobladło i barwą zielonkawą, odbijającą od prąg sinych pod oczami, się oblekło. Patrzył na nie z — pobłażaniem, mimo to w sercu uczuwał zawisłość bezimienną, obejmującą wszystkich razem i każdego z osobna, u kogo na tułowi wznosiła się głowa ludzka. Majaczyła mu się mianowicie głowa markiza Franciszka Frangopano. O!...

Głowa ta nie utrzymała się — jak z historii wiemy — na karku. Nastąpiło to jednak później, wyszło atoli z punktu tego, którym był moment obecny. Nadchodziła pora wizyty u księżnej Rakoczy.

Do wizyty tej przygotował się cesarz ze strony swojej, przygotowywała się księżna ze swojej. Tę ostatnią zajmowała ona również żywo, przedstawiając się jej pod postacią kroku na drodze politycznej ważnego. Miało z niej wyniknąć opanowanie sytuacji — zapewnienie sobie wpływów na czas jakiś. Księżnej nie chodziło o zachowanie wpływów długich i trwałych; wiedziała, że jest to rzecz niemożliwa: gusta ludzkie zmieniają się, kobiety najpiękniejsze starzeją; tacy jak Leopold I potentaci nie lubią *du perdrix, toujours du perdrix*. Chodziło jej o wykrzesanie wszelkich możliwych z następczającej się okazji korzyści, które się w chwili obecnej skupiały w ubezpieczeniu dla syna ojcowizny. Franciszek I zajmował stano-

wisko chwiejne. Był panującym na pół uznawanym, na pół nieuznanym. Utwierdzić go na stanowisku tem, na tem, jak na dziś, ograniczały się księżny widoki i zamiary, do przeprowadzenia których wystarczało zapewnienie sobie wpływów na czas jakiś—jeżeli nie na lat parę, to... na godzinę może. Księżna znała potęgę spółzawodników swoich i wiedziała, że długo z nimi walczyć nie zdoła. Przygotowywała się przeto ze strony swojej do wizyty, przeznaczonej w mniemaniu jej na to, ażeby posłużyła, jako zakład zaciągniętego u niej przez cesarza długu. Potrzeba było zakład ów jak najcenniejszym uczynić.

W celu tym zarządziła niejakię w umeblowaniu komnaty swojej recepcjonalnej zmiany—komnaty nie tej, w której przyjmowała gości zwykłych, ale innej, mniejszej, zbliżającej tych, co w niej przebywają. W komnacie tej, zaopatrzonej w okno jedno i w komin duży, ustawić kazała krzesła rozłożyste i kanapę szeroką, miękką, poduszkami obstawioną. Z bożu nieco postawiła stolik okrągły. Okno osłoniła firanką ciężką. Podłogę okryć kazała kobiercem puszystym. Na ścianach pozostawione zostały malowidła i zwierciadła, które nie przeszkadzały temu, że pokoik ten przedstawiał się pod postacią utopionego w półcieniu zacisza ustronnego, zakątka rozkosznego, wyzywającego do cichego szeptania i wynurzeń serdecznych. Szum płomienia, jakim gorzało ognisko w kominie, stanowił rodzaj kołysanki, usposabiającej do wylewu uczuć i wypowiedania tajemnic.

Urządziwszy wszystko, jak należy, opatrzywszy i rzuciwszy wejrzenie ostatnie, księżna pojechała do nieuprzedzonej o niczem księżny Julii. Moment wizyty tej wypadł w porze dnia nie wizytowej. W porze tej czoło towarzystwa wiedeńskiego po spożyciu obiadu, oddawało się odpoczynkowi.

— Spadam na ciebie niespodzianie... — rzekła.

— Niespodzianka ta jest mi miłą... — odrzekła księżna Julia.

— Dziwi cię to?...

— Pani... — odpowiedziała z przymileniem.

— Zachwycająca jesteś... — zaczęła księżna, obrzucając młodą kobietę wejrzeniem od góry do dołu. No... ale, zdziwisz się bardziej jeszcze, gdy ci powiem, żem przyjechała po ciebie...

— O?... w celu?...

— Nie innym, jak przewiezieni: cię z pałacu twego do mego, posiedzenia przy kominie i spędzenia w towarzystwie twojem chwili czasu... Odpowiedz mi na to: czyżbyśmy nie mogły tego tu uczynić?... Mogłybyśmy, ale... kobiety stare mają swoje nawyki, kaprysy, które na niejaki może zasługują uwzględnienie... Co?...

— Jadę z wysokością waszą...

— Nie przeszkadza ci nic?... — i dodała słów parę do ucha.

— Nie... — odrzekła księżna Julia.

Odeszła i w chwilę później powróciła do wyjazdu gotowa.

Po upływie nie więcej, jak kwadransu, dwie księżny, jedna stara, żółta, pomarszczona, druga młodością kwitnąca, siedziały przy kominie w zaciszy błogiej. Księżna stara zabawiała młodą opowiadaniem zajmującym. Mówiła jej o Leopoldzie I, o wychowaniu jego. Przeznaczonego do stanu duchownego strzeżono od wszelkich pokus światowych i utrzymywano w stanie niewinności i nieświadomości absolutnej.

Księżna Julia nie odpowiedziała na to. Zdało się, jakby w zamyślenie wpadła, z którego wyprowadziło ją dalsze księżny Rakoczy opowiadanie.

Księżna prawila o osamotnieniu, w jakie ścisłe etykiety przestrzeganie wprawia młodego cesarza.

— Ciężyć mu to musi... Nigdzie, u nikogo nie bywa?... — zapytała księżna młoda.

— Bywa... Używa sobie... Mnie niekiedy odwiedza...

— O?...

— Spada niespodzianie...

— I jakże?...

— Wprawia mnie to w kłopot nie mały, sama go bowiem bawić i sama, gdy przekąskę jaką przyjmą raczy, posługiwać mu muszę...

— Zdarza się to jednak rzadko?...

— O tak... rzadko; zawsze atoli niespodzianie tak, że dnia, ani godziny przewidzieć nie mogę...

— Gdyby się w chwili tej zdarzyło...

— Hm?... może byś mnie opuścić musiała, a możeby ciebie do towarzystwa przypuścił... W tym ostatnim razie nadarzyłaby ci się sposobność podziękowania za mianowanie Piotra Zrini banem...

— Proszenia chyba... — poprawiła księżna Julia.

— Przeciwnie... dziękowania, jest to już bowiem czynem dokonany... Najjaśniejszy pan *proprio motu* reskrypt wydał... Szwagier męża twego jest już *de facto* i *de jure* banem Kroacyi...

— Niceśmy o tem nie wiedzieli...

— Nastąpiło to bowiem dziś, na posiedzeniu rady nadwornej... Hm... — dodała — nastąpiło to *in gratiam* wdzięków twoich, które cesarzowi spokoju nie dają...

Materya ta, przez księżnę Rakoczy poruszana już, młodej kobiecie do smaku nie przypadała. Mil-

czała jednak. Nie przypuszczała, ażeby wygłaszana przez księżną starą teorią znaleźć mogła zastosowanie tem bardziej, że się świeżo dowiedziała o szczegółach, które ją uspokajały. Uspokajały i zajmowały, powiedzieć nawet można, zaciekały do stopnia pewnego. Młody, lat dwudziestu czterech człowiek? cesarz? w stanie dziewiczym?... Wydawało się jej to rzeczą niesłychaną. Wianuszek dziewiczy na takiej głowie? na takiej peruce?... Zajmowało ją to żywo i wprowadzało w stan rozmarzenia, do utrzymywania którego przyczyniały się wyobrażenia wieku, jaskrawe a drażniące. Płomień się palił, księżna Julia się w ogień wpatrywała, księżna Rakoczy prawiła.

W ciągu tej przykominkowej konferencji słyszeć się dały w pokoju przyległym szmery jakieś. Księżna Rakoczy wyszła, przez chwilę jej nie było, wróciła wreszcie, poprzedzając cesarza...

Opowiedzieć, tem bardziej opisać nie sposób wrażenia, jakie pojawienie się Leopolda I na młodej kobiecie sprawiło. Zerwała się, stanęła, nie wiedziała co począć z sobą; przypomniała sobie ceremoniał pokłonny i dygnęła, przysiadając nisko, nisko, jak najniżej, tak, że się jej to za zbyt nisko wydało. To ją z równowagi niejako wyprowadziło. Czuła się mocno zmieszaną, nie wiedziała, czy się z miejsca ruszyć ma, czyli też na miejscu pozostać. Pozostała, oczy spuściła i słuchała. O uszy jej obłyły się następujące księżny Rakoczy wyrazy:

— Jego cesarska mość pozwala wam najłaskawiej, mościa księżno, pozostać w towarzystwie swoim... Wasza cesarska mość usiąść raczy... tu... po środku... naprzeciwko płomienia... pomiędzy mną a księżną... Niechże wasza książęca mość łaskawie siada...

Młoda kobieta nie wiedziała, do kogo się stośują wyrazy ostatnie. Usiadła jednak, a to dlatego,

że posadzoną została. Księżna stara za łokcie ją ujęła i lekko w tył popchnęła, łydki jej oparły się o krawędź krzesła, osunęła się więc na siedzeniu głęboko i przybrała położenie takie, jakie za czasów powtórnego cesarstwa we Francyi wprowadziły były w modę kobiety półświata do przejeżdżania się w landanach po lasku Bulońskim: popiersie podane w tył, nogi wystawione naprzód. Poprawić się chciała, nie mogła. Do poprawienia się, musiałaby oczy podnieść, a dla niej podniesienie w chwili tej oczów stanowiło czyn odwagi, na który się zdobyć w stanie nie była.

Rozpoczęło się posiedzenie we trójkę, cesarz i dwie księżne. Posiedzenia tego ciężar cały spadał na barki księżny Rakoczy, ona bowiem sama jedna za wszystkich mówiła, zapytywała, odpowiadała. Babcia tarabaniła, cesarzowi opowiadała o księżnej Julii, księżnej Julii o cesarzu, wystawiała piękność jednej, unosiła się nad dobrocią i wspaniałomyślnością drugiego, po razy kilka powtarzała jedno i to samo, odegrywała rolę autora, czytającego w głos sztukę dramatyczną. Usiłowała wydobyć słówko od niego lub od niej. Usiłowania jej szły na marne. Położenie stało się takiem: księżna Julia, z oczami osłoniętymi rzesami, siedziała w głębi krzesła i milczała; obok niej, na krawędzi krzesła wyprostowany siedział cesarz i milczał; stara księżna sama jeno zachowywała swobodę ruchów, podawała się w stronę raz tę, znów owę, mówiła i obserwowała. Obserwacya doprowadziła ją do dostrzeżenia u cesarza lekkiego w prawo głowy zwrócenia. Głowę zwrócił i wnet ją odwrócił, po chwili znów zwrócił i znów odwrócił, powtórzył to razy kilka, za każdym razem zatrzymując głowę w zwróceniu coraz to dłużej i pozwalając sobie słać wejrzenia ku nogom młodej kobiety. Z wejrzeniami działo się toż samo, co ze zwracaniem głowy. Były one zrazu krótkie, przelotne, powoli jednak przedłużały się i przewlekały.

Przewłoka odbywała się od dołu ku górze, idąc od stóp. Gdy wejrzenia te księżna Rakoczy spostrzegła i skonstatowała, podkreśliła je głową skinieniem i uśmiechem i, do cesarza się zwracając, przemówiła:

— Tak... dobrze, najjaśniejszy panie... Może wam przy kominie gorąco, oto — ręką wskazała — dywan... Pozwolę sobie zostawić was na chwilę w towarzystwie księżny Julii; zabawiać się raccie, nie czyniąc sobie przymusu, a ja tymczasem przygotuję kołacz czeski, piernik toruński, trochę ciasta francuskiego, pomarańcz portugalskich parę i butelkę wina hiszpańskiego... Nie znudzicie się bezemnie...

Kiedy słów ostatnich domawiała, cesarz podniósł na nią oczy pełne wyrazu błagalnego.

— W rzeczy samej — rzekła — płomień za blisko... Raccie, najjaśniejszy panie, powstać...

Pod ramię go ujęła. Leopold I wstał, księżna fotel odsunęła i posadziła cesarza na dywanie.

— Mościa księżno, proszę — przemówiła, ramię księżnej Julii podając.

Młoda kobieta wstała.

— Za reskrypt *proprio motu* podziękować wypada — szepnęła.

Do dywanu ją podprowadziła i byłaby tuż obok cesarza posadziła, gdyby się księżna Julia nie oparła i nie usiadła opodal nieco.

— Gołąbków para — akcentem rozrzewnienia, półszeptem wytchnęła i odeszła.

O Ludwiku XIV, gdybyś nieprzedsiębierczość „brata” twego widział, wstyd by ci było za niego! O Jowiszu, nie uznałbyś w Leopoldzie I sukcesora swego ziemskiego! O!... Długim by jednak był szereg imion, mogących być wywołaniami dla kontrastu obok imienia Leopolda I, który po odejściu księżny

Rakoczy i pozostaniu sam na sam, w zaciszy, w półcieniu, obok pięknej, młodej kobiety, nie wiedział, co i jak począć. Żaden student znajdować się nie mógł gorzej. Siedział i siedział, i byłby tak siedział kto wie jak długo, gdyby go księżna Julia sama ze stanu nieruchomości nie wyprowadziła. Cud ten sprawiło słowo. Rzekła:

— Waszej cesarskiej mości... najjaśniejszy panie... dziękuję... za reskrypt *proprio motu*...

Głosem od wzruszenia drżącym wypowiedziała, wyjąkała raczej wyrazy powyższe. Wyrazy ostatnie „*proprio motu*”, rozplynęły się w westchnieniu niby, nastrojonem na nutę wdzięczności, która zabrzmiała nakształt echa pieśni czy muzyki. Cesarz odetchnął z głębi piersi i oczy na księżnę podniósł. Wargom drżała, policzki powlekała bladość, w oczach świeciła pożądliwość, maskująca się wyrazem nie pewności lękliwej a błagalnej. Wyobraźmy sobie oblicze ropuchy przywalonej kamieniem. Leopold I czuł się przywalony ciężarem wpojonych wien przekonani i powziętych nawyków, czuł się pod ciężarem stanowiska swego ekstraludzkiego i nie umiał zastosować się do położenia człowieczego. Dałby pół cesarstwa temu, co by zeń w chwili tej ciężar ów zdjął. Dlatego to z wyrazem błagalnym, jak ropucha z pod kamienia, na młodą księżnę oczy podniósł. Niestety, ona nie patrzyła na niego. Wymowa przeto wejrzenia cesarskiego nie zdała się na nic. We względzie tym zawodu doznał, ale ośmielił się. Ośmielił się do patrzenia na nią, do nieodrywania od niej oczów, do pożerania jej oczami. Następowало to kolejno, jedno po drugim: stan jeden wyradzał się z drugiego i kiedy do tego przyszło, że się stan pożerania wytworzył, oczy Leopolda I krwią nabiegły, żarem karbunkulów zapalały. Nie mówiący dotychczas wydawać począł stękania:

— Eh... eh...

Przysunął się do księżny najprzód trochę, na-

stępnie jeszcze trochę, ręką ku niej pomknął, cofnął, znów pomknął i cofnął, głowę ku niej pochylił, peruką jej pierś całą osłonił, za ramię ją ujął i ścisnął, tak ścisnął, że z bólu krzyknęła i z siedzenia się zerwała.

Zerwała się ona, zerwał się on. Stanęli na przeciw siebie, oko w oko: księżna strwożona i oburzona, cesarz rozogniony i rozjuszony. Lody przełamał, niech się co chce dzieje! Ręce ku niej wyciągnął w celu ujęcia jej w ramiona; lecz się ona cofnęła w przerażeniu, w którym poczuła potrzebę wołania o ratunek i odezwała się nie krzykiem, ale tym rykiem przeciągłym, za pomocą którego wyraża się przerażenie ze wstrętem połączone. Wstręt wzbudzał w niej widok cesarza, na którego nakoniec pa-trzyła. Widziała przed sobą napastującą ją w postaci człowieka potworność.

Krzyk jej rozległ się po pałacu całym.

Wpadła księżna Rakoczy.

— Na Boga!... co to?...

Na widok jej cesarz ramiona do góry wyciągnął, z głębi piersi odetchnienie długie wydał, zachwiał się i na podłogę runął.

— Żywo, soli, wódki, lawendy! — odezwała się księżna.

Zawinęła się i wnet zemdlątemu pomoc niosła, a skronie mu nacierając i słoiki z solami pod nos tkając, do księżny Julii przemawiała:

— Mała rzecz... mała rzecz... wypadek; byle z tego hałasu nie zrobić... Niech to zostanie między nami...

— Odjeżdżam — podchwyciła księżna.

— Dobrze... i owszem... Zniknij: ja tu sprawę wyjaśnię i urządzę... Co się stało, dobrze się stało... Nie ceni się zdobywszy, która się sama oddaje...

— Ja, wysokość wasza, mam męża — księżna Julia za potrzebne na odchodnem dodać uważała.

— Tylko mężowi ani słówka... Gra niebez-

pieczna... Zgubić możesz i siebie i jego — odrzekła księżna Rakoczy, nacierając cesarzowi wodą lawen-dową skronie.

XXV.

Ślad w historyi.

Za powrotem do domu zastała księżna Julia gości huk. Zaimprovizowała się recepcya, której powód przyszedł niespodzianie a był podwójny: nominacya hrabiego Piotra banem i zdjęcie z markiza Frangopano aresztu. Winszowano markizowi, składano mu życzenia, wrócono podniesienie splendoru domu tyle zasłużonego i tylu czynami świetnymi wstawionego, a obecnie przez wyjście Anny Katarzyny za hrabiego Piotra złączonego z domem równie świetnym i zasłużonym. Wiadomem przytem było o udecydowanym już połączeniu się Franciszka I ze Zrinianką. Było więc czego winszować, było na czem życzenia opierać. Markiz rad przyjmował jedne i drugie i mimo nieobecność żony, zapraszał, zatrzymywał, kazał przysposobić wieczerzę. Księżna, wracając z wizyty, w czasie której przeszła przez opałę takie, wpadła w tłum, reprezentujący śmietankę towarzystwa wie-deńskiego. Wzruszenie znać na niej było. Policzki jej pały, irytacya się w oczach przebijała. Potrafiła jednak nad sobą zapanować. Oblicze w uśmiech przystroiła i ku zadowoleniu powszechnemu pełniła funkcję gospodyni domu uprzejmej a gościnnej.

Podejmowanie gości przeciągnęło się do późna. Noc od godzin paru nastąpiła, a ulicę zajmował jeszcze szereg pojazdów magnackich, oświetlonych szeregiem pochodni, co tak zbiegłych z więzienia Jowanowicza

Janosza zdziwiło. Nadchodziła już jednak pora spoczynku, oddalana gościnnością gospodarstwa. Roznoszono właśnie wina i ciasta, kiedy hrabia Orfeusz, który się był przed zgiełkiem do pokoju swego wcześniej usunął, wszedł, do markiza się zbliżył i słów kilka do ucha mu szepnął.

— Gdzie? — zapytał ten ostatni.

— W pokoju moim...

Markiz się z pośród gości wysunął, na schody wbiegł i w mieszkaniu krewniaka zastał człowieka od stóp do głowy zabłoconego.

— Z Czakowca?...

— Z Czakowca, dostojny panie...

— Cóż przynosisz?... listy?...

— Wiadomość... Hrabia Mikołaj zamordowany...

Markiz osłupiał. Jowanowicz w kilku słowach opowiedział o zdarzeniu i dodał:

— Przybywam z żądaniem, ażebyś, miłościwość wasza, domagał się sprawiedliwości...

— Nie spotkałeś się z huzarem Janoszem?...

— Spotkałem się...

— Gdzie?...

— W więzieniu...

I opowiedział, jak się to stało, motywując przyaresztowanie swoje i huzara tem, że wyprzedziła go w Wiedniu sztafeta, wyprawiona z Warasdina końmi rozstawnymi.

— W Wiedniu więc od wczora o morderstwie wiadzano — rzekł markiz, zamyślił się, ramionami ścisnął i dodał: — Nie rozumiem tego...

Powrócił do gości, którzy dla tego jeno na nim zmiany humoru nie dostrzegli, że się tłumnie wynosili. Markiz ich nie zatrzymywał. Żegnał, wyprowadzał, odbywając powinność tę, jak się odbywa pańszczyzna i kiedy pojazd ostatni odjechał, stanął przed żoną i krewniakiem, ręce załamał i rzekł:

— Wesołą wam na waletę powiem nowinę...

Powiedział nowinę tę.

Księżna i hrabia Orfeusz skamienieli.

— Rzeczą jest zastanawiającą, że wiadomość ta, znana w Wiedniu od wczora, nie przeszkodziła mianowania Piotra banem... Co to znaczyć może?...

— Parawan na morderstwo — odpowiedział hrabia Orfeusz.

W przypuszczeniu tem utwierdziła go jeszcze wiadomość o aresztowaniu gońca z Czakowca i gońca do Czakowca.

— Cios wyszedł ztąd... Kto wie, czy w sprawie tej Erdödi rąk nie umaczał... Przypominacie sobie spotkanie z nim w Nowem Mieście.

— Ah! — wythnęła księżna. — Cóż to za jaskinia... ten dwór! Jaki stek brzydoty, brudów!... O! — na męża patrzyła nastawiona do mówienia, patrzyła, wahała się i rzekła: — Jedźmy ztąd!...

Powiedziała to z przyciskiem szczególnym.

— Pojedziemy — odparł markiz.

— Jedźmy niezwłocznie...

— Wszakże nie dziś...

— Czemu nie? Do dnia daleko... przez noc ujedziemy mil nie mało...

— Powiedzą, że to ucieczka...

— Niech powiadają.. Ucieczka przed sromotą nie hańbi...

— Przed jaką sromotą? — zapytał markiz.

— O... o... — bąkała — ocierania się o brudy...

— Nie wybierzem się tak rychło...

— Nie potrzebujemy wyjeżdżać dworem całym...

Dwór wyciągnie jutro... pojutrze... później nawet, my zaś, jedźmy ztąd dziś jeszcze, natychmiast, za godzinę... Idę, do podróży się przedzieję i... dalej w drogę!...

— Przez rogatkę nas nie wypuszczą...

— Przez rogatkę czakowacką, ale są rogatki inne... Wszystkie drogi do Rzymu prowadzą... Jedź

my! — dodała — zbiera mnie bowiem ochota piechotę się wybrać... Jedźmy!...

Naleganie jej miało minę zachcianki kapryśnej. Była to jednak zachcianka kobiety pięknej: brzmiało w niej postanowienie niezłomne; markiz uczynił jeszcze obiecy parę i uległ. Hrabia Orfeusz wziął na siebie wyprowadzenie dworu i na kwadrans przed północą, po deszczu i błocie, z przed ganku pałacu przez markizostwo zamieszkiwanego, odjechała karetą, przez huzara z kagańcem poprzędzana. Huzarem był Janosz; na koźle obok woźnicy siedział Jowanowicz; wewnątrz karety zajmowało ludzi dwoje: markiz i żona jego. Wyjechali przez rogatkę presburską. O wyjeździe ich wiadomość poczęła po mieście krążyć nazajutrz dopiero około południa; do księżny Rakoczy wieczorem doszła, przyniesiona przez księdza Müllera.

— Być nie może! — wykrzyknęła.

— Niezawodnie...

— Chybaż to wyjazd symulowany...

— Najrzeczywistszy.

— A głupia... głupia... głupia... Wydawała się mi roztropniejszą... Zgubiła siebie, męża i...

— Sprawiała zawód wysokości waszej — podchwycił ksiądz. — Zyska jednak na tem chwała boża... Czy wysokość wasza da wiarę, że pod wrażeniem słabości dla niej najjaśniejszy pan pozwolić raczył pastorowi pewnemu, co zgorszenie szczepił, ująć całość...

— Czy o tem najjaśniejszy pan już wie?...

Leopold I o wyjeździe markizostwa nie wiedział. Zemdlenie wprawiło go w stan rozstroju moralnego i fizycznego. Gdy dzięki nacieraniom wódkami i wachaniu soli do przytomności powrócił, uległ temu, coby, ze względu na wyobrażenia jego o stanowisku ekstra-ludzkim, nazwać się dało słabością. Z tonu spuścił. Zapytał najprzód, jak śmiertelnicy zwyczajni w razach podobnych pytają:

— Gdzie jestem?...

— Wasza cesarska mość jest u mnie, u najoddańszej sobie poddanki swojej...

Obejrzał się:

— Gdzie ona?...

— Odjechała, najjaśniejszy panie...

— Odtrąciła mnie...

Nie mówił o sobie w liczbie mnogiej.

— Nie, najjaśniejszy panie...

— Nie?...

— Nie — powtórzyła. — To, co się waszej cesarskiej mości przytrafiło, jest rzeczą zwyczajną... Wasza cesarska mość pokochałeś... kochasz...

— Kocham? — odezwał się cesarz tonem zdziwienia.

— Pokochałeś wasza cesarska mość... kochasz... — powtórzyła księżna dobitnie — czujesz miłość, która nie przybiega i nie oddaje się sama... Miłość się zdobywa, najjaśniejszy panie, wszystko zaś, co się zdobywa, wywołuje opór obronny... Był to więc opór obronny, nie co innego...

— Nie odepchnięcie, nie... wstręt?...

— Zkądże wstręt?...

— Zkąd? — powtórzył i pierś się mu westchnieniem podniosła.

— Ale nie — perswadowała księżna. — Wstręt nie przypuszczalny jest do osoby cesarza... Nie, stokroć nie!... Był to opór obronny miłości, nie poddającej się na zawołanie najpierwsze... Do serca niewieściego szturmuje się, jak do twierdzy, tylko sposobami innemi...

— Innemi... Jakiemi? — podchwycił.

— Czyś wasza cesarska mość powiedział księżnej Julii: kocham?

— Nie ..

— Cóżeś jej powiedział?...

— Hm... che... te... nie powiedziałem nic...

— Ano... A to się od wyrazu tego szturm za-

czyna... Mówi się istocie umiłowanej: kocham... kocham... kocham... Można to powtarzać bez końca i przytem... Wszak — przerwała sobie — wasza cesarska mość cierpisz?...

— Oh! — westchnął.

— Opowiada się przytem o cierpieniach serca swego... Opowiadanie to wzrusza istotę umiłowaną, wzrusza ją, rozrzewnia, rozmarza, działa na nią jak muzyka, jak śpiew syreni, obezwładnia ją i powolną czyni... Te są, najjaśniejszy panie, do zdobywania serca sposoby...

— Nie wiedziałem o tem — wtrącił cesarz.

— Używając sposobów tych i będąc cesarzem, nie masz na kuli ziemskiej serca niewieściego, który się nie poddało...

— A nie będąc cesarzem? — zapytał.

— To rzecz zmienia o tyle, że powiększa odporność, niekiedy nawet nieprzełomną ją czyni... Nieprzełomność atoli neutralizuje z góry urok stanowiska twego, najjaśniejszy panie, tak, że dzięki urokowi temu, liczyć możesz z pewnością, pod warunkiem przypuszczenia szturm regularnie, na zdobycie serca księżny Julii...

Leopoldowi I łzy w oczach się pokazały.

— O Boże... — westchnął.

— Bądź więc wasza cesarska mość spokojnym i dobrej myśli... Wypadek pozostanie w tajemnicy pomiędzy waszą cesarską mością, mną a księżną Julią i... rzecz się do pomyślnego doprowadzi końca...

Podniósł na księżnę oczy i wejrzeniem powiedział: „Pomocą, przewodniczką i orędowniczką mi bądź”.

Księżna to zrozumiała i odrzekła:

— Bądź wasza cesarska mość dobrej, jak najlepszej myśli... Rzecz się rozstrzygnie pomyślnie, tymczasem zaś pozwolić racz ofiarować sobie ciastek i kieliszek wina hiszpańskiego...

Leopoldowi I w gębie wyszło, ofiarę więc przyjął, wina kieliszek duszkiem wychylił, piernikiem

zagryzł, wody szklankę wypił i uspokojony do zamku powrócił, czując się, jakby u początku życia nowego. Otworzyły się dla niego horyzonty nieznane. Odezwała się w nim człowieczość. Dowiedział się, że kocha i nastał w życiu jego moment, który, gdyby się był utrzymał, sprowadziłby w istocie jego moralnej przełom na stronę serca, wyziębionego wychowaniem teologicznem. Stał się na chwilę lepszym, łagodniejszym, wyrozumialszym, względniejszym. Nazajutrz rano kanclerz podał mu do podpisu wyroków kilka, opiewających jedne na roboty ciężkie, inne na śmierć — ułaskawił skazanych wszystkich, heretyków nawet.

O miłości marzył; analizował stan serca własnego i drogą analizy do tego doszedł, że księżna Julia przedstawiać się mu poczęła pod postacią narzędzia nie chuci zmysłowych, ale natchnień dobrych. Piękność jej z dobrem się w myśli jego zlewała w całość harmonijną a bardziej uroczą, aniżeli wszystko, co dotychczas upodobanie jego zyskiwało. Obiecywał sobie mówić z nią nietylko o stanie serca własnego, ale i o sprawach, wchodzących do zakresu dobra publicznego. Zamierzył nawet podstępem ją podchodzić, sprawy dobra publicznego wysuwając naprzód i pod osłoną ich przemycając sercowe! W sposób ten to, co się w nim jako popęd zwierzęcy zmanifestowało, oczyszczał, uszlachetniał, na wyżyny człowiecze podnosił i, niestety, nie podniósł.

Wiadomość o ucieczce księżny Julii przeraziła go. Udzielił mu jej kanclerz.

— Uciekła! — krzyknął — nie-go-dzi-wa...

Kazał kanclerzowi iść precz; gdy się on, wpół zgięty, tyłem wycofał i za portyerą znikł, przywołał go, popatrzył się na niego i znów go z przed oblicza swego wypędził. Snuła mu się po głowie myśl pogoni za zbiegłą, ale myśli tej od osoby własnej oderwać nie mógł. Chciał ścigać sam, konia dosiąść

i pędzić. Dziedziczność zapewne obudziła w nim instynkty przodków rycerskich, co wielkość rodu założyli, praktykując heroicznie porywanie, kradzież i rozbój. Instynkty te atoli rozluźniło wychowanie. Mógłże on, potomek różnych „żelaznych”, „zuchwałych”, „walecznych”, konia dosiadać i pędzić? Mógłże, konia dosiadłszy, nie spaść? Ochota przeto zmieścić się musiała w szarpanie się wewnętrzne, które mu w duszy powarkiwać poczęło głosem zemsty...

— Wszystko przepadł! — zawołał.

— Co, „wszystko?”

— Pan, w mądrości swojej — tłumaczył Leopoldowi I ksiądz Müller — zesał na waszą cesarską mość próbę pod postacią słabości, której szatan nadał kształty niewieście... Szatan kusił waszą cesarską mość, jak kusił świętego Bazylego... Bóg miłosierny jednak sam szatana zgromił i pokusę z przed oczu waszej cesarskiej mości usunął...

— Ależ ja cierpię... cierpię... ojciec wielbny...

— Cierpienie to — odrzekł ksiądz, głowę pochylając — jest dopustem bożym.. Jako takie przyjąć je i w modlitwie szukać na nie balsamu należy...

Modlił że się Leopold II! Dzieje przedstawiają go, jako monarchę jednego z najpobożniejszych i najokrutniejszych. Uczucie zemsty w sercu piastował, obejmując niem oporność wszelaką; zwracał je atoli szczególnie w kierunku tej sfery, w której jaśniała postać księżny Julii. Tamtędy miał uwagę ustawicznie skierowaną. Czekał jeno na sposobność, której się w końcu doczekał (patrz w historii).

Tak tedy moment przełomowy, dzięki „głupocie” (patrz powyżej) kobiecej, nieumiejącej wstrętów naturalnych przełamywać, przeminął bezpowrotnie.

Księżna Julia, a raczej markizostwo Frangopano podróż swoją odbyli pomyślnie. W Presburgu się zatrzymali, czując się tam, jako na terytorium, podległym jurysdykcji węgierskiej, bezpieczni. W Presbur-

gu doczekali się dworu i pociągnęli dalej krokiem żółtym z powodu stanu dróg, rozmiękłych od deszczów jesiennych. Hrabia Orfeusz przywoził wiadomości z Wiednia.

— Co tam słychać? — zapytała go księżna, jak skoro z pojazdu wysiadł.

— Słychać to jeno, że gdybyście państwo do stojni do Wiednia powrócili, o progi domu waszego nie biłaby już fala pokłonów i wynurzeń przyjaźni...

— Kto wie — odrzekła księżna.

Sensu odpowiedzi tej nie tłómaczyła nigdy nikomu pomimo, że nadarzyła się jej po temu sposobność w Czakowcu, dokąd markizostwo przybyli w dni kilka po pogrzebie i gdzie z tego powodu z gości nie zastali już nikogo, ani biskupa nawet. Wyjątek jedyny stanowił Franciszek I, formalny i uznany do ręki hrabianki pretendent.

Zbiegowie nasi, luboć powoli się wlekli, oni wszakże najpierwsi przywieźli wiadomość o zamianowaniu hrabiego Piotra banem. Wiadomość ta sprawiła wrażenie, zadziwiła, a zarazem zaniepokojenie niejake wniosła, zaniepokojenie, spowodowane rzuca-
niem przez księżnę wyrazów następujących:

„Może nominacya ta odwołaną zostanie...”

Jak powyższe „kto wie”, tak te ostatnie wyrazy nabrzmiały były zagadkowością, która uszła uwagi wszystkich, z wyjątkiem hrabiny Anny Katarzyny. Tę zafrapowały one. Jak czasu onego, przyszła do wylegającej się jeszcze w łóżku księżny, przy łóżku usiadła i w ciągu związanej z nią rozmowy zapytała jej zadała:

— Czemuś powiedziała, że nominacya męża mego odwołaną być może?...

Owóż, dzięki zapytaniu temu, nadarzała się księżnie Julii sposobność wyjaśnienia zagadkowości: zwierzenia się szwagierce, opowiedzenia jej o wszystkim, co ją spotkało. Ze sposobności tej nie skorzystała jednak. Dała odpowiedź wymijającą:

— W Wiedniu rządzą się... fantazyami...

— Cesarz wszakże fantastą, jak się zdaje, nie jest...

— Ach! cesarz...

— Cóż?... jakież na tobie wrażenie sprawił?...

— Obrzydliwości, wstętu, pajęczych ukłonów, ropusich uśmiechów, skorpionowych uścisków — odparła z uniesieniem. — Gdyby nas na świecie całym było dwoje tylko... — zaczęła i urwała.

— Tak się nie podobał tobie, bratowo kochana? — zapytała hrabina ze zdziwienia lekkiego akcentem.

— O! — odparła. — On się ożeni kiedyś, nie wyobrażam sobie, jak go przyjmie ta nieszczęśliwa, co mu się na małżonkę dostanie...

— Dostanie się jej z nim razem korona cesarska...

— Korona cesarska — powtórzyła księżna w zamyśleniu.

W dni parę później nadeszło oficjalne o nominacji zaświadczenie. Spóźniło się, przechodzić bowiem musiało przez kancelaryę węgierską. Przywiózł je specyalny z Presburga goniec i wręczył hrabiemu Piotrowi, który zwołał wnet po otrzymaniu onego radę familijną. Radę tę słuszniejby nazwać można domową, udział w niej bowiem wzięli: ksiądz Marek, który wcale do familii nie należał i Franciszek I, który jeszcze nie należał. Kwestya, do rozważania i rozstrzygnięcia podana, brzmiała:

— Przyjąć, czy nie?...

Kwestyę tę wywoływała sama przez się śmierć hrabiego Mikołaja. Zginął z ręki mordercy. Kto mordercę nastął? Zapytanie to jawiło się w chwili, kiedy z lasu wyniesiono martwe hrabiego zwłoki i w chwili onej nikt nie wątpił, że cios ten wymierzony został z Wiednia. Było to atoli wrażenie pierwsze, które pozostawało wprawdzie, nie tak atoli

żywo, jak w chwili onej. Dlatego na zapytanie: „przyjąć czy nie?” — odpowiedziała wręcz hrabianka tylko:

— Niel...

Jej „nie” powtórzył Franciszek I.

Hrabiance Helenie i Franciszkowi I odpowiedziała wnet hrabina Anna Katarzyna:

— Cóż nominacya znaczy!... Cesarz ją podpisał, o śmierci hrabiego Mikołaja wiedząc... Gdyby przeto śmierć ta... życzeniom jego odpowiadała, nie naznaczałby po hrabi Mikołaju brata rodzzonego...

Głos zabrał markiz i w te odezwał się słowa:

— Sprawa ta przedstawia się mętnie i nie w niej rozeznac nie sposób... Rozważyć ją przeto należy ze strony korzyści politycznej... Postawmy więc pytanie tak: czy przyjęcie przez Piotra urzędu bana sprawie publicznej korzyść jaką przyniesie, czy nie?...

— Przyniesie — odpowiedział hrabia Orfeusz.

— Przyniesie — powtórzył ksiądz Marek.

— Takiem jest i zdanie moje — odezwał się markiz.

— Zwłaszcza — zaczął Franciszek I — że ban w osobie hrabiego Piotra będzie miał sprzymierzeńca wiernego w księciu Węgier północnych w osobie naszej...

— Co na to bratowa dostojna? — zwrócił się hrabia Piotr z zapytaniem do zachowującej milczenie wdowy, obecnej obradom w sukniach żałobnych.

— Róbcie, jak się wam najlepiej zdaje... Głos mój jest głosem żalu po stracie, której mi ani wykrycie morderców, ani nic nie wynagrodzi... Łzy żalu ronić będę do śmierci... tyle mi tylko pozostaje...

Słowa te obecnych rozrzewniły i przyczyniły się do powzięcia decyzji. Hrabia Piotr nominację przyjął, o przyjęciu zawiadomił władze cywilne, woj-

skowe i kościelne w Zagrzebiu, dzień objęcia urzędowania oznaczył i w dniu tym odprawił uroczysty do stolicy wjazd. Z działo palono, w dzwony bito; w stolicy najprzód, następnie w krainie całej, po smutku, jaki sprawiła śmierć brata starszego, zapłonęła radość, gdy się wieść o objęciu namiestnictwa królewskiego przez brata młodszego rozeszła.

— *Vivat rex!... vivat banus!...*

W uradowaniu ogólnem udziału nie brali Niemcy, a z Niemcami tacy, jak hrabiostwo Erdödi. Ci ostatni atoli niezadowolenie ukrywali w serca głębi, na zewnątrz zaś okazywali uradowanie głośno i dobitnie. W ustach ich wiwaty najdonośniej brzmiały.

Najbardziej i najszczerzej cieszyła się hrabina Anna Katarzyna. Ona na nabożeństwo to najpierwsza zadzwoniła. Zachciało się jej banicą zostać i banicą została, za sprawą czyją? Serce jej przejmowało głęboka dla sprawczyńi wdzięczność, z którą się ukrywać nie myślała. Z najpierwszej przeto skorzystawszy sposobności, do księżny Julii się zwróciła i, za ręce ją ujmując a w oczy jej patrząc, przemówiła!

— Ach!... dziękuję ci, dziękuję...

— Za co?...

— Za twoje w Wiedniu starania...

— Jam się nie starała...

— Przecie?...

— Jam się nie starała — powtórzyła księżna z naciskiem — i proszę cię nie wspominać mi o tem nigdy...

— Nie lubisz, żebym ci dziękowała...

— Nie to, ale wspomnienie o pobycie moim w Wiedniu przejmuję mnie przerażeniem takim, jak naprzykład napad bandytów...

— Niezbyt to pochlebne dla dostojników, co cię hołdami otaczali... Wszak to nie bandyci...

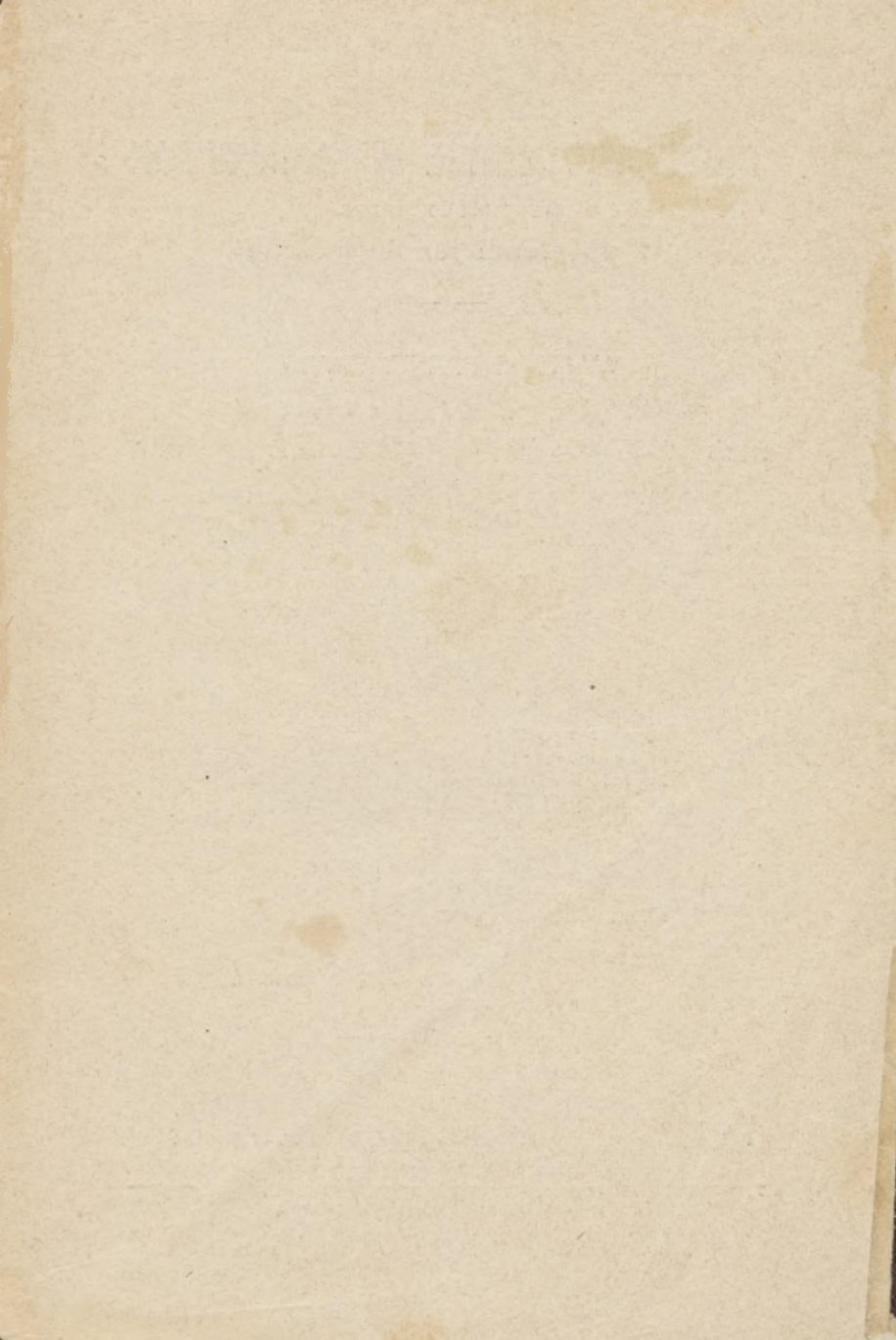
— Nie? — podchwyciła z akcentem wyrazistym. — Zresztą — dodała — nie obchodzą mnie już

oni... Oddzielię się od nich przestrzenią ogromną... Uprosiłam męża o wyjazd do Włoch, wyjedziemy i już do Wiednia nie powrócę...

Wyjechała i słowa dotrzymała. Zamieszkiwała naprzemian to w Trsacie, to na gruncie posiadłości weneckich, niekiedy w Wenecyi, trzymając się nieopodal od wybrzeży morza Adryatyckiego. Widok lazurowej toni i szum morskiej fali milszemi jej były, aniżeli wystawność, gwar i tajemnice życia dworskiego. Do Wiednia nie wracała więcej. Zostać była mogła postacią historyczną; została żoną ukochaną i kobietą szanowaną; ślady zaś w historii pozostały po niej te jeno, że ręka zemsty wiedeńskiej sięgała po nią, dosięgnąć jej nie mogła i przesłała jej w końcu list, pisany do niej przez męża w wigilię dnia, w którym głowa jego spadła na rusztowaniu. Był to list z pożegnaniem. „*Giulia mia cara! addio; mondo! addio*”. Ostatni z wielkiego Frangopanów rodu, zagnął ją a przez nią świat. I tyle.

KONIEC.





WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

130684

BIBLIOTEKA DZIEŁ

WYCHODZI

w objętości j



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10

Rocznie. . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Półrocznie . (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Kwartalnie . (13 tomów) „ 3

Za odosłanie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —

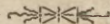
Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —

Kwartalnie (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.